

Agatha Christie

Śmierć lorda Edgware'a

Przełożyła Agnieszka Bihl

Tytuł oryginału: Lord Edgware Dies

I

Wieczór w teatrze

Pamięć ludzka jest krótka. Ogromne zainteresowanie i podniecenie wywołane zabójstwem George'a Alfreda St Vincenta Marsha, czwartego barona Edgware, jest już rzeczą minioną i zapomnianą. Jego miejsce zajęły nowsze sensacje.

Mojego przyjaciela, Herkulesa Poirota, nigdy otwarcie nie wymieniano w związku z tą sprawą. Mogę dodać, iż było to absolutnie zgodne z jego życzeniem. Nie chciał, by go z nią łączono. Uznanie przypadło komuś innemu, dokładnie tak, jak pragnął. Co więcej, z prywatnego punktu widzenia Poirota sprawa ta była jedną z jego porażek. Zawsze powtarza, że na właściwy ślad naprowadziła go przypadkowa uwaga rzucona przez jakiegoś przechodnia.

Niezależnie od tego, kto ma rację, to właśnie dzięki jego geniuszowi została odkryta prawda. Gdyby nie Poirot, wątpię, czy kiedykolwiek ujęto by sprawcę zbrodni.

Dlatego też czuję, że nadszedł czas, bym to, co wiem o sprawie, przedstawił czarno na białym. Dokładnie znam wszystkie szczegóły, a mogę też dodać, że opisując je, spełnię życzenie pewnej niezwykle fascynującej damy.

Często wspominam tamtą chwilę w pedantycznie wysprzątany saloniku Poirota, kiedy to mój mały przyjaciel, chodząc tam i z powrotem po wciąż tym samym pasie dywanu, przedstawił nam w mistrzowski i zaskakujący sposób kulisy zbrodni. Zamierzam zacząć swoje opowiadanie tam, gdzie i on je wówczas zaczął, to jest w londyńskim teatrze w czerwcu zeszłego roku.

W owym czasie wszyscy w Londynie szaleli na punkcie Carlotty Adams. Przed rokiem zagrała w kilku popołudniówkach, które okazały się olbrzymim sukcesem. W tym roku występowała przez trzy tygodnie, a to był jej przedostatni wieczór.

Carlotta Adams była amerykańską aktorką o zdumiewającym talencie do zabawnych monologów, których nie ograniczała ani charakteryzacja, ani scenografia. Wydawało się, iż swobodnie posługuje się każdym językiem. Jej skecz na temat wieczoru w zagranicznym hotelu był naprawdę wspaniały. Przez scenę przewinęli się kolejno amerykańscy i niemieccy turyści, angielskie rodziny z klasy średniej, damy wątpliwej kondyty, zubożali arystokraci rosyjscy i zmęczeni, dyskretni kelnerzy.

Wprawiała publiczność w nastrój powagi, potem wesołości i znów powagi. Scena z umierającą w szpitalu Czeszką sprawiła, że wzruszenie dławilo widzów w gardle. A w chwilę później skręcaliśmy się ze śmiechu na widok dentysty gawędzącego przyjacielsko z nieszczęśnikami, którym borował zęby.

Program zamykały, jak zapowiedziała aktorka, „Parodie”.

Tu ponownie udowodniła swój niezwykły talent. Bez żadnej charakteryzacji, samą tylko mimiką, potrafiła sprawić, że jej twarz przypominała oblicze słynnego polityka, znanej aktorki czy piękności z towarzystwa. Każda postać wygłaszała krótką, charakterystyczną mowę. Te przemówienia były zaskakująco trafne. Wydobywały każdą słabostkę wybranej osobistości.

Tematem jednej z ostatnich parodii była Jane Wilkinson, młoda, popularna w Londynie i utalentowana aktorka amerykańska. To było naprawdę doskonale zagrane. Spływające z ust Carlotty banały miały tak wielki ciężar emocjonalny, że wbrew sobie czuliśmy, iż każde wymawiane słowo niesie jakieś potężne, fundamentalne niemal przesłanie. Jej stonowany głos z lekko chropawą nutą wprost upajał. Powściągliwe gesty, każdy o szczególnym znaczeniu, gibkość ciała, nawet wrażenie niezwyklej urody... nie mam pojęcia, jak Carlotta to osiągnęła!

Zawsze podziwiałem piękną Jane Wilkinson. Jej dramatyczne role wzruszały mnie i wbrew tym, którzy uznawali jej urodę, lecz odmawiali talentu, twierdziłem, że ma spore umiejętności sceniczne.

To było trochę niesamowite — usłyszeć dobrze znany, lekko gardłowy głos z fatalistyczną nutą, który tak często mnie poruszał, i obserwować pozornie pełne znaczenia ruchy powoli zamykającej się i otwierającej dłoni, nagłe odrzucenie głowy w tył, co, jak sobie uświadomiłem, Jane zawsze robiła na zakończenie dramatycznej sceny.

Po wyjściu za mąż Jane Wilkinson opuściła scenę, ale powróciła na nią kilka lat później.

Trzy lata temu poślubiła zamożnego i dość ekscentrycznego lorda Edgware'a. Plotkowano, że zostawiła go wkrótce potem. W każdym razie osiemnaście miesięcy po ślubie wyjechała do Ameryki, gdzie zagrała w kilku filmach, a w obecnym sezonie pojawiła się w Londynie w odnoszącej sukcesy sztuce.

Obserwując udane, choć może trochę złośliwe parodie Carlotty Adams, zacząłem się zastanawiać, jak odbierają je naśladowane osoby. Czy są zadowolone z rozgłosu i reklamy, jaką te scenki im zapewniają? Czy też są złe, ponieważ — w gruncie rzeczy — ktoś ujawnia ich małe gierki? Przecież Carlotta Adams zachowywała się jak sztukmistrz, który zdradza zawodowe sekrety rywali. „Och, to stara sztuczka — mówi publicznie. — Bardzo prosta. Pokażę wam, jak się to robi”.

Uznałem, że gdyby to mnie dotyczyło, byłbym bardzo zły. Oczywiście ukryłbym rozdrażnienie, ale przedstawienie na pewno by mi się nie podobało. By docenić tak bezlitosny występ, trzeba by mieć naprawdę otwarty umysł i wyjątkowe poczucie humoru.

Właśnie gdy doszedłem do tego wniosku, z tyłu rozległ się cudowny, nieco gardłowy śmiech, identyczny jak ten na scenie.

Gwałtownie odwróciłem głowę. Na krześle zaraz za mną siedziała osoba, którą właśnie parodiowano: lady Edgware, lepiej znana jako Jane Wilkinson.

Natychmiast zdałem sobie sprawę, że moje wnioski były zupełnie błędne. Lady Edgware, pochylona do przodu, z półotwartymi ustami, z zachwytem i podnieceniem wpatrywała się w scenę.

Po zakończeniu parodii klaskała głośno i ze śmiechem mówiła do swego towarzysza:

— Jest cudowna, prawda?

Twarz wysokiego, wyjątkowo przystojnego mężczyzny o urodzie greckiego boga znałem raczej z ekranu niż sceny. Był to Bryan Martin, bohater najbardziej kasowych filmów. W kilku zagrał razem z Jane Wilkinson.

— Jane, wyglądasz na bardzo podekscytowaną — roześmiał się.

— No cóż, ona jest naprawdę świetna. Po stokroć lepsza, niż myślałam.

Bryan Martin odpowiedział z rozbawieniem coś, czego nie słyszałem. Carlotta Adams rozpoczęła kolejny skecz.

To, co stało się później, zawsze będę uważać za szczególny zbieg okoliczności.

Po przedstawieniu poszliśmy z Poirotem na kolację do Savoyu.

Przy stoliku obok nas siedzieli lady Edgware, Bryan Martin i jeszcze dwoje ludzi, których nie znałem. Właśnie wskazywałem ich Poirotowi, kiedy do restauracji weszła następna para i zajęła stolik za nimi. Twarz kobiety była mi znana, choć, o dziwo, przez chwilę nie mogłem jej rozpoznać.

I nagle uświadomiłem sobie, że gapię się na Carlottę Adams! Towarzyszącego jej mężczyzny nie znałem. Był doskonale ubrany i miał wesołą, choć trochę próżną minę. Nie lubię takich typów.

Carlotta Adams ubrana była w skromną, czarną suknię. Jej uroda nie przyciągała uwagi, właściwie nie rzucała się w oczy. Była to jedna z tych wciąż zmieniających się twarzy, zawsze gotowych do naśladownictwa. Carlotta łatwo przybierała cechy innej osoby, jakby nie miała własnego charakteru.

Podzieliłem się tymi refleksjami z Poirotem. Słuchał mnie z uwagą, przechylając lekko na bok jajowatą głowę i jednocześnie patrząc bystro na dwa omawiane stoliki.

— Więc to jest lady Edgware? Tak, przypominani sobie, widziałem ją na scenie. To *belle femme*.

— I świetna aktorka.

— Możliwe.

— Nie wyglądasz na przekonanego.

— Myślę, że to zależy od okoliczności, mój przyjacielu. Jeśli znajduje się w centrum uwagi, jeśli wszystko kręci się wokół niej, wówczas rzeczywiście potrafi grać. Wątpię, czy potrafiłaby zagrać poprawnie rolę drugoplanową albo charakterystyczną. Sztuka musi być napisana o niej i dla niej. Wydaje mi się, że należy do kobiet, które interesują się tylko sobą. — Umilkł, a po chwili dodał dość nieoczekiwanie: — Na takich ludzi czyha w życiu wielkie niebezpieczeństwo.

— Niebezpieczeństwo? — powtórzyłem zaskoczony.

— Widzę, że użyłem słowa, które cię zdziwiło, *mon ami*. Tak, niebezpieczeństwo. Ponieważ taka kobieta widzi tylko jedno: samą siebie. Nie dostrzega zagrożeń i ryzyka, jakie ją otaczają — tysiący sprzecznych interesów i życiowych układów. Widzi wyłącznie własny cel. Tak więc prędzej czy później czeka ją katastrofa.

To mnie zaciekało. Przyznałem w duchu, że nigdy bym na to nie wpadł.

— A ta druga? — spytałem.

— Panna Adams? — Jego wzrok przesunął się do drugiego stolika. — Więc? — podjął z uśmiechem. — Co mam o niej powiedzieć?

— Po prostu, jak ją odbierasz.

— *Mon cher*, czyżbym był dzisiejszego wieczoru wróżką, która odczytuje charakter z wnętrza dłoni?

— Zrobiłbyś to lepiej niż jakakolwiek wróżka — zauważyłem.

— Pokładasz we mnie wielką wiarę, Hastings. Jestem wzruszony. Czy wiesz, mój przyjacielu, że każdy z nas jest mroczną tajemnicą, kłębowiskiem sprzecznych namiętności, pragnień i poglądów? *Mais oui, c'est vrai*. Wydajemy swoje małe sądy, ale w dziewięciu przypadkach na dziesięć mylimy się.

— Wszyscy, lecz nie Herkules Poirot — powiedziałem z uśmiechem.

— Nawet Herkules Poirot! Och, wiem doskonale: uważasz mnie za zarozumiąłego, lecz zapewniam cię, w rzeczywistości jestem pełen pokory.

Roześmiałem się.

— Ty i pokora!

— Tak jest. Z jednym wyjątkiem, przyznaję. Jestem odrobinę dumny z mych wąsów. Nigdzie w Londynie nie znalazłem takich, które mogłyby się z nimi równać.

— Możesz być spokojny — powiedziałem oschle. — Nie znajdziesz. Nie zaryzykujesz więc wydania sądu na temat Carlotty Adams?

— *Elle est artiste!* — orzekł po prostu Poirot. — To wyjaśnia niemal wszystko, prawda?

— A więc uważasz, że na nią czyha jakieś niebezpieczeństwo?

— Ono czyha na nas wszystkich, mój przyjacielu — zaprzeczył Poirot z powagą. — Nieszczęście zawsze może wisieć nad nami, gotowe zaatakować znienacka. Jeśli jednak chodzi o twoje pytanie,

według mnie panna Adams odniesie sukces. Jest bystra i posiada coś jeszcze. Zauważyłeś, oczywiście, że jest Żydówką?

Nie zauważyłem. Lecz skoro o tym wspomniał, dostrzegłem w jej rysach nikłe ślady semickich przodków. Poirot pokiwał głową.

— To rokuje powodzenie. Choć pozostaje jeszcze pewne niebezpieczeństwo, jeśli już o nim mowa.

— To znaczy?

— Miłość do pieniędzy. To może sprowadzić osobę jej pokroju ze ścieżki przezorności i rozwagi.

— To samo dotyczy każdego — zauważyłem.

— Istotnie, lecz ty czy ja dostrzeglibyśmy związane z tym niebezpieczeństwo. Potrafilibyśmy zważyć wszystkie za i przeciw. Ale jeśli zwraca się uwagę tylko na pieniądze, jeśli tylko je się widzi, a cała reszta pozostaje w cieniu...

Roześmiałem się, słysząc jego poważny ton.

— Cygańska królowa Esmeralda jest w dobrej formie — rzuciłem złośliwie.

— Ciekawi mnie psychologia postaci — odparł nieporuszony Poirot. — Nie można interesować się zbrodnią i lekceważyć psychologii. Nie chodzi przecież o sam akt zabójstwa. Do eksperta przemawia to, co kryje się za nim. Rozumiesz mnie, Hastings?

Odparłem, że doskonale go rozumiem.

— Zauważyłem, że kiedy razem pracujemy nad jakąś sprawą, zawsze nakłaniasz mnie do działań fizycznych. Chcesz, bym badał ślady stóp, analizował popiół z papierosów, tracił zdrowie, poszukując detali. Nie rozumiesz, że siedząc wygodnie w fotelu, z przymkniętymi oczyma, można po stokroć bardziej zbliżyć się do rozwiązania problemu. Gdyż wtedy patrzy się oczyma umysłu.

— Nie ja — powiedziałem. — Kiedy ja siedzę wygodnie w fotelu z zamkniętymi oczami, przydarza mi się tylko jedno.

— Zauważyłem — odparł Poirot. — To dziwne. Przecież w takich chwilach mózg powinien gorączkowo pracować, a nie tonąć w rozleniwieniu. Aktywność umysłowa jest tak ciekawa i stymulująca! Uruchomienie małych szarych komórek to przyjemność czysto intelektualna. Tylko na nie można liczyć, że przeprowadzą nas przez mrok do prawdy...

Niestety, popadłem w nawyk kierowania mojej uwagi gdzie indziej, gdy tylko Poirot wspomina swoje małe szare komórki. Wystarczająco wiele już o nich słyszałem.

Tym razem zająłem się czterema osobami siedzącymi przy stoliku obok. Kiedy Poirot skończył swój monolog, zauważyłem ze śmiechem:

— Zrobiłeś wrażenie, Poirot. Piękna lady Edgware nie może oderwać od ciebie wzroku.

— Niewątpliwie poinformowano ją, kim jestem — powiedział Poirot, usiłując przybrać skromną minę, co mu się nie udało.

— To zapewne twoje słynne wąsy — rzuciłem. — Nie może oprzeć się ich urokowi.

Poirot pogładził je ukradkiem.

— To prawda, są wyjątkowe — przyznał. — Ta twoja „szczoteczka do zębów”, jak ją nazywasz, to potworność, skandal, dobrowolne odrzucanie szczodrości natury. Zgól tę imitację wąsów, przyjacielu, błagam cię.

— Na Jowisza! — wykrzyknąłem, nie zwracając uwagi na wezwanie Poirota. — Lady Edgware wstaje. Chyba chce z nami pomówić. Bryan Martin protestuje, ale ona go nie słucha.

W rzeczy samej — Jane Wilkinson podniosła się gwałtownie z krzesła i podeszła do naszego stolika. Poirot wstał i ukłonił się. Ja także wstałem.

— Pan Herkules Poirot, prawda? — spytała łagodnym, matowym głosem.

— Do pani usług.

— Chciałabym z panem porozmawiać, panie Poirot. Muszę z panem porozmawiać.

— Ależ oczywiście, *madame*. Niech pani spocznie.

— Nie, nie, nie tutaj. Chcę z panem porozmawiać w cztery oczy. Chodźmy na górę do mojego apartamentu.

Podszedł do nas Bryan Martin.

— Musisz trochę poczekać, Jane — zaproponował z uśmiechem, w którym wyczuwało się dezaprobatę. — Jesteśmy w środku kolacji. Podobnie jak pan Poirot.

Lecz Jane Wilkinson niełatwo było zawrócić z raz obranej drogi.

— Ależ dlaczego, Bryan? Jakże to ma znaczenie? Każemy przynieść kolację do pokoju. Przekaż to kelnerowi, dobrze? Aha, jeszcze jedno...

Kiedy się odwrócił, poszła za nim, najwyraźniej nakłaniając go, by spełnił jej polecenie. Po tym, jak potrząsał głową i marszczył brwi, domyśliłem się, że nie miał ochoty jej ulec. Ale ona nie ustępowała i wreszcie poddał się, wzruszając ramionami.

Rozmawiając z nim, kilkakrotnie spojrzała w stronę stolika, przy którym siedziała Carlotta Adams. Zastanawiałem się, czy to, co mówiła, miało coś wspólnego z Amerykanką.

Postawiwszy na swoim, powróciła do nas rozpromieniona.

— Idziemy na górę — rzuciła i objęła również i mnie swoim olśniewającym uśmiechem.

Najwyraźniej nie przyszło jej nawet przez myśl zapytać, czy zgadzamy się na jej plan. Wyprowadziła nas z sali bez słowa przeprosin.

— Miałam wielkie szczęście, że spotkałam tu pana dzisiejszego wieczoru, panie Poirot — powiedziała, wiodąc nas do windy. — Cudowne, jak wszystko układa się na moją korzyść. Właśnie się zastanawiałam, co, na Boga, mam uczynić. Podniosłam wzrok i zobaczyłam pana przy sąsiednim stoliku. Powiedziałam sobie: „Pan Poirot powie mi, co robić”. — Przerwała na chwilę, by rzucić do boya: — Drugie piętro.

— Jeśli mogę być w czymkolwiek pomocny... — zaczął Poirot.

— Na pewno. Słyszałam, że jest pan najwspanialszym detektywem, jaki kiedykolwiek istniał. Ktoś musi wypłatać mnie z tego, w co się wpakowałam, i czuję, że jest pan właściwym człowiekiem.

Wysiedliśmy na drugim piętrze. Jane Wilkinson poprowadziła nas korytarzem, zatrzymała się przy kolejnych drzwiach i weszliśmy do jednego z najlepszych apartamentów w Savoyu.

Aktorka rzuciła swoją białą etolę na krzesło, małą, wysadzaną klejnotami torebkę na stół, po czym opadła na fotel i wykrzyknęła:

— Panie Poirot, nie wiem, w jaki sposób, ale muszę pozbyć się mojego męża!

II

Kolacja

Po chwilowym zaskoczeniu Poirot doszedł do siebie.

— Ależ, *madame* — rzeki, mrugając oczyma — pozbywanie się mężów nie jest moją specjalnością.

— Wiem o tym.

— Potrzebuje pani prawnika.

— I tu się pan myli. Jestem już zmęczona prawnikami. Mam ich dosyć. Miałam prawników rzetelnych i oszustów, a żaden z nich na nic mi się nie przydał. Prawnicy znają się tylko na prawie, a za grosz nie mają instynktu.

— I sądzi pani, że ja go mam? Roześmiała się.

— Słyszałam, że jest pan kuty na cztery nogi, panie Poirot.

— *Comment?* Kuty na nogi? Nie rozumiem.

— Och... po prostu taki pan jest.

— Proszę pani, być może mam bystry umysł. W rzeczy samej, mam, czemuż by zaprzeczać? Lecz pani mały problem to nie mój *genre*.

— Nie rozumiem dlaczego. W końcu to jest problem.

— Ach! Problem!

— I jest trudny — ciągnęła Jane Wilkinson. — A powiedziałabym, że nie jest pan człowiekiem, którego onieśmielają trudności.

— Proszę pozwolić, że pogratuluję pani intuicji, *madame*. Lecz mimo wszystko nie zajmuję się prowadzeniem śledztwa w sprawach rozwodowych. Nie podoba mi się *ce métier l'r*.

— Mój drogi panie, nie proszę, żeby pan kogokolwiek śledził. To nie miałoby sensu. Po prostu muszę pozbyć się tego człowieka i jestem pewna, że powie mi pan, jak to zrobić.

Poirot wstrzymał się chwilę z odpowiedzią. Kiedy wreszcie przemówił, w jego głosie pojawiła się nowa nuta.

— Przede wszystkim, proszę mi powiedzieć, dlaczego tak bardzo chce się pani „pozbyć” lorda Edgware’a?

Odpowiedź była natychmiastowa, bez śladu wahania. Padła błyskawicznie:

— Ależ to oczywiste. Chcę powtórnie wyjść za mąż. Jakiż inny mogłabym mieć powód? — Wielkie niebieskie oczy otworzyły się niewinnie.

— Lecz przecież łatwo byłoby uzyskać rozwód?

— Nie zna pan mojego męża, panie Poirot. On... on jest... — Wzdrygnęła się. — Nie wiem, jak to wyjaśnić. To dziwny człowiek, niepodobny do innych.

Umilkła, a po chwili ciągnęła dalej:

— Nigdy nie powinien był się żenić — z kimkolwiek. Wiem, co mówię. Nie potrafię go opisać, ale to... dziwak. Widzi pan, pierwsza żona uciekła od niego. Zostawiając trzymiesięczne dziecko. Nigdy się z nią nie rozwiódł. Zmarła w nędzy gdzieś za granicą. Potem ożenił się ze mną. Ja... cóż, nie mogłam tego wytrzymać. Byłam przerażona. Opuściłam go i wyjechałam do Stanów. Nie mam podstaw do rozwodu, a gdybym je dała jemu, i tak by ich nie wykorzystał. To... fanatyk.

— W niektórych stanach USA mogłaby pani uzyskać rozwód.

— Do niczego mi się nie przyda, jeśli zamierzam mieszkać w Anglii.

— A zamierza pani? — Tak.

— Kogo pragnie pani poślubić?

— No właśnie. Księcia Merton.

Wciągnąłem gwałtownie oddech. Księzę Merton stanowił jak dotąd powód desperacji wszystkich matek pragnących wydać swoje córki za mąż. Ten młody człowiek o skłonnościach godnych mnicha, zagorzały anglikanin, znajdował się ponoć pod absolutnym wpływem swojej matki, groźnej księżnej wdowy. Wiódł życie surowe do przesady. Kolekcjonował chińską porcelanę i miał reputację estety. Powiadano, że nie zwraca uwagi na kobiety.

— Szaleję za nim — wyznała z uczuciem Jane. — Nie przypomina żadnego z moich dotychczasowych znajomych, a zamek Merton to przewspaniała siedziba. Wszystko jest takie romantyczne! W dodatku on jest bardzo przystojny... wygląda niczym rozmarzony zakonnik. — Urwała. — Zamierzam wycofać się ze sceny, kiedy go poślubię. Wtedy raczej nie będzie mi już zależało na karierze.

— A tymczasem na przeszkodzie tym romantycznym planom stoi lord Edgware — powiedział sucho Poirot.

— Tak, i to doprowadza mnie do szału. — Jane Wilkinson wyprostowała się, skupiona. —

Oczywiście, gdybyśmy byli w Chicago, poz byłabym się go z łatwością, ale tu trudno trafić na płatnych morderców.

— Tutaj uważamy, że każdy ma prawo żyć — zauważył Poirot z uśmiechem.

— Nie wiem, czy słusznie. Przypuszczam, że byłoby wam lepiej bez kilku polityków, a znając Edgware'a, jestem pewna, że nikt nie odczułby jego straty. Wręcz przeciwnie.

W tej chwili rozległo się pukanie do drzwi i do pokoju wszedł kelner z kolacją. Jane Wilkinson kontynuowała rozmowę, nie zwracając na niego uwagi.

— Lecz nie chcę, by pan go dla mnie zabił, panie Poirot.

— *Merci, madame.*

— Myślałam, że mógłby go pan przekonać. Nakłonić, by zgodził się na rozwód. Pan to na pewno potrafi.

— Chyba przecenia pani moją siłę perswazji.

— Na pewno może pan coś wymyślić, panie Poirot. — Pochyliła się do przodu. Otworzyła szerzej niebieskie oczy. — Przecież chce pan, żebym była szczęśliwa? — spytała miękim, niskim, uwodzicielskim głosem.

— Chciałbym, żeby wszyscy byli szczęśliwi — rzucił czujnie Poirot.

— Ale ja nie myślałam o wszystkich. Tylko o sobie.

— Zdaje się, że zawsze tak pani postępuje, *madame*. — Uśmiechnął się.

— Uważa pan, że jestem samolubna?

— Tego nie powiedziałem, *madame*.

— No więc jestem. Ale nie cierpię być nieszczęśliwa. To wpływa nawet na moją grę. A będę okropnie nieszczęśliwa, dopóki on nie zgodzi się na rozwód albo... nie umrze. W sumie — podjęła z namysłem po chwili — byłoby o wiele lepiej, gdyby umarł. Wtedy miałabym uczucie, że się go ostatecznie pozbyłam. — Zerknęła na Poirota, szukając oznak współczucia. — Pomoże mi pan, prawda, panie Poirot? — Wstała, wzięła z krzesła etolę i spojrzała prosząco w jego oczy. Usłyszałam jakieś głosy na korytarzu za niedomkniętymi drzwiami. — Bo jeśli nie... — ciągnęła.

— Jeśli nie? Roześmiała się.

— Będę musiała wezwać taksówkę i sama go wykończyć.

Ze śmiechem zniknęła za drzwiami do drugiego pokoju. Jednocześnie do środka wszedł Bryan Martin z Carlottą Adams i jej towarzyszem oraz dwójką ludzi, z którymi jadł kolację. Przedstawił ich

jako państwa Widburnów.

— Czołem — powiedział Bryan. — Gdzie Jane? Muszę jej powiedzieć, że udało mi się spełnić polecenie.

Jane pojawiła się w drzwiach sypialni. W dłoni trzymała szminkę.

— Przyprowadziłeś ją? Cudownie. Panno Adams, szczerze podziwiam pani występ. Czułam, że po prostu musimy się poznać. Proszę pójść ze mną, porozmawiamy, kiedy będę poprawiała makijaż. Wyglądam okropnie.

Carlottą Adams przyjęła zaproszenie. Bryan Martin wyciągnął się w fotelu.

— Więc został pan złapany w sidła, panie Poirot. Czy nasza Jane namówiła pana, by walczył pan po jej stronie? Wcześniej czy później i tak musiałyby się pan poddać. Jane nie rozumie słowa „nie”.

— Może jeszcze się na nie nie natknęła.

— Bardzo ciekawa osobowość z tej Jane — mówił Bryan Martin. Rozparł się na oparciu fotela i leniwie wydmuchiwał dym z papierosa w stronę sufitu. — Dla niej nie istnieją tematy tabu. Ani kwestie moralne. Co nie znaczy, że jest niemoralna, bo nie jest. Lepszym słowem będzie amoralna. W życiu widzi tylko jedno: to, czego sama chce. — Roześmiał się. — Wierzę, że beztróska popełniłaby morderstwo i czułaby się urażona, gdyby została złapana i skazana na śmierć. Problem w tym, że na pewno by ją złapano. Jest za głupia. Jej pomysł na zabójstwo polegałby na tym, by wezwać taksówkę, wejść do domu ofiary, podając swoje nazwisko, i strzelić.

— Ciekawe, czemu pan to mówi? — mruknął Poirot. — Co?

— Zna ją pan dobrze, *monsieur*?

— Raczej tak. — Znowu się roześmiał, a mnie uderzył gorzki ton tego śmiechu. — Zgadza się ze mną? — rzucił do pozostałych.

— Tak, Jane jest egoistką — odezwała się pani Widburn. — Chociaż aktorka musi być egoistką, jeśli chce wyrazić swoją osobowość.

Poirot nie odzywał się. Nie spuszczał wzroku z Bryana Martina, patrząc na niego z dziwnym, pełnym zastanowienia wyrazem twarzy, który nie całkiem rozumiałem.

W tej chwili Jane wpłynęła do środka z przyległego pokoju. Za nią szła Carlotta Adams. Uznałem, że Jane zdążyła już, ku swojemu zadowoleniu, „poprawić” makijaż, cokolwiek to znaczyło. Dla mnie jej twarz wyglądała dokładnie tak samo jak przedtem: doskonale.

Kolacja przebiegała wesoło, choć czasem miałem wrażenie, że dzieje się coś, co nie całkiem potrafię ocenić.

Jane Wilkinson pozbawiona była jakiegokolwiek subtelności. Po prostu: młoda kobieta, która w

danej chwili widzi tylko jedno. Chciała porozmawiać z Poirotem, bezzwłocznie przystąpiła do działania i osiągnęła cel. To, najwyraźniej, wprawiło ją w doskonały nastrój. Pragnienie, by zaprosić na przyjęcie Carlottę Adams, było, jak oceniłem, zwykłą zachcianką. Udana parodia jej osoby rozbawiła ją tak samo, jak rozbawiłaby dziecko.

Wyczuwane przeze mnie napięcie nie miało nic wspólnego z Jane Wilkinson. Gdzie zatem kryło się jego źródło?

Kolejno przyjrzałem się obecnym. Bryan Martin? Na pewno nie zachowywał się swobodnie. Lecz to mogła być jedynie typowa cecha gwiazdora filmowego. Przesadna pewność siebie mężczyzny próżnego, zbyt przyzwyczajonego do grania, by zachowywać się naturalnie.

Natomiast Carlotta Adams czuła się swobodnie. Była to cicha dziewczyna o miłym, niskim głosie. Przyglądałem się jej uważnie, korzystając z tego, że można to czynić z bliska. Pomyślałem, że ma pewien urok, choć opisać go można tylko przez przeczenie. Polegał na tym, że nie było w niej żadnej zgrzytliwej, ostrej nuty. Stanowiła uosobienie łagodności. W jej wyglądzie nie było nic charakterystycznego: miękkie ciemne włosy, bladoniebieskie oczy, jasna twarz i ruchliwe usta. Taką twarz można lubić, ale trudno rozpoznać, gdyby spotkało się właścicielkę po raz drugi, na przykład w innej sukience.

Wydawała się zadowolona z sympatii i pochlebnych słów Jane. Każda dziewczyna na jej miejscu cieszyłaby się z tego, pomyślałem. I właśnie w tej chwili zdarzyło się coś, co zmusiło mnie do zrewidowania tej raczej przedwczesnej opinii.

Carlotta Adams spojrzała ponad stołem na gospodynię, która zwróciła właśnie głowę w stronę Poirota. Spojrzenie dziewczyny było dziwnie badawcze. Wydawało się, że ocenia ją uważnie, a jednocześnie uderzyła mnie zdecydowana wrogość w jej bladoniebieskich oczach.

Przywidziało mi się. A może to zawodowa zazdrość? Jane była znaną aktorką, odniosła sukces. Carlotta dopiero wspinała się po szczeblach kariery.

Zerknąłem na troje pozostałych uczestników przyjęcia. Co z państwem Widburn? On — wysoki, o nieco trupim wyglądzie; ona — pulchna, jasnowłosa, wylewna. Wyglądali na zamożnych ludzi, interesujących się wszystkim, co ma związek ze sceną. Niechętnie rozmawiali na inne tematy. Ponieważ ostatnio wyjeżdżałem z Anglii, uznali, ku swojemu rozczerowaniu, że jestem osobą niezorientowaną, i pani Widburn odwróciła się do mnie pulchnymi plecami, zapominając o mojej obecności.

Ostatnim gościem był młody, ciemnowłosy człowiek o wesołej, krągłej twarzy, który towarzyszył Carlocie Adams. Od początku podejrzewałem, że nie jest zbyt trzeźwy. Wraz z kolejnymi kieliszkami szampana stawało się to coraz bardziej oczywiste.

Najwyraźniej cierpiał z powodu dotkliwie zranionych uczuć. Przez pierwszą część posiłku siedział w ponurym milczeniu. Natomiast pod koniec otworzył się przede mną, ponieważ wydało mu się, że jestem jego starym kumplem.

— Rzecz w tym, że to nie tak — bełkotał. — Nie, mój stary, to wcale nie tak... Rzecz w tym... no, pytam cię! Bo wyobraź sobie dziewczynę, która bez przerwy się wtrąca. Wściubia nochal we wszystko. Nie dlatego, żebym kiedykolwiek powiedział jej coś niewłaściwego. To nie ten typ. No wiesz: przodkowie purytanie, przyjechali do Stanów na „Mayflower” razem z pierwszymi osadnikami. Niech mnie, dziewczyna przyzwoita. Chodzi mi o to... o czym to ja mówiłem?

— Że było to bardzo trudne — powiedziałem uspokajająco.

— Niech to wszystko szlag. Cholera, musiałem pożyczyć forszę na to przyjęcie od mojego krawca. Bardzo sumienny z niego facet. Od lat wiszę mu pieniądze. To nas wiąże. Nie ma jak więź między ludźmi, staruszku. Jak między tobą i mną. Tobą i mną... A właściwie: kim ty, u diabła, jesteś?

— Nazywam się Hastings.

— Nie mów. Przysięgłbym, że ty to ten gość nazwiskiem Spencer Jones. Stary, kochany Spencer Jones. Spotkałem go w Eton i Harrow i pożyczyłem od niego piąta. Chcę powiedzieć, że jedna twarz przypomina drugą. Właśnie tak. Gdybyśmy byli żółtkami, nie moglibyśmy się odróżnić. — Pokiwał ze smutkiem głową, a potem nagle poprawił mu się humor. Wypił następny kieliszek szampana. — Na szczęście nie jestem cholernym czarnuchem — powiedział.

To odkrycie tak go podniosło na duchu, że rzucił kilka optymistycznych uwag.

— Zawsze patrz na jasną stronę życia, chłopie — pouczył mnie. — Mówię ci, patrz na jasną stronę. Pewnego dnia... kiedy będę miał na karku siedemdziesiąt pięć lat czy coś koło tego, będę bogaty. Kiedy umrze mój wuj. Wtedy spłacę krawca.

Siedział, uśmiechając się na tę myśl.

Było w nim coś, co, o dziwo, wzbudzało sympatię. Miał okrągłą twarz i absurdalnie malutkie, czarne wąsiki, które przywodziły na myśl rozbitka porzuconego na środku oceanu.

Zauważyłem, że Carlotta Adams ma go na oku. W pewnym momencie, spojrzawszy na niego, wstała, dając znak do odejścia.

— Jak miło, że zgodziłaś się przyjść — powiedziała Jane. — Uwielbiam robić coś pod wpływem chwili. Ty też?

— Nie — odparła panna Adams. — Niestety, każdą rzecz starannie planuję. To oszczędza... zmartwień.

W jej głosie pojawił się niezbyt sympatyczny ton.

— W każdym razie usprawiedliwiają cię twoje osiągnięcia — roześmiała się Jane. — Nie pamiętam, kiedy bawiłam się tak dobrze jak dziś wieczór na twoim przedstawieniu.

Twarz dziewczyny złagodniała.

— To bardzo miłe z twojej strony — powiedziała ciepło. — Doceniam, że to mówisz. Potrzebuję zachęty. Jak my wszyscy.

— Carlotto — odezwał się młody człowiek z czarnym wąsikiem. — Pożegnaj się ze wszystkimi, podziękuj cioci Jane za przyjęcie i chodź.

To, że zdołał trafić do drzwi, zakrawało na cud koncentracji. Carlotta szybko poszła za nim.

— A kimże było to coś, co pojawiło się znikąd i nazwało mnie ciocią Jane? Nie zauważyłam go wcześniej.

— Moja droga, nie wolno ci zwracać na niego uwagi — odparła pani Widburn. — Był błyskotliwym członkiem kółka dramatycznego w Oksfordzie. Trudno w to uwierzyć dzisiaj, prawda? Nie cierpię, jak młodzi obiecujący ludzie tak kończą. Cóż, ja i Charles musimy się już zbierać.

Tak więc Widburnowie zebrali się, a Bryan Martin wyszedł wraz z nimi.

— I cóż, panie Poirot? Uśmiechnął się do niej.

— *Eh bien*, lady Edgware?

— Na litość boską, proszę mnie tak nie nazywać. Niechże mi pan pozwoli o tym zapomnieć! Chyba że ma pan najtwardsze serce w całej Europie!

— Ależ nie, skąd, nie jestem twardego serca.

Pomyślałem, że Poirot wypił dość szampana, może nawet o kieliszek za dużo.

— W takim razie spotka się pan z moim mężem? I nakłoni, by zrobił, co chcę?

— Spotkam się z nim — obiecał ostrożnie Poirot.

— A jeśli odmówi, co pewnie się stanie, wymyśli pan coś sprytnego. Podobno jest pan najmądrzejszym człowiekiem w Anglii, panie Poirot.

— *Madame*, kiedy mówi pani o moim sercu, wymienia pani Europę. A tylko Anglię, gdy mowa o moim rozumie.

— Jeśli się panu powiedzie, powiem: wszechświat. Poirot uniósł rękę w proteście.

— Nic nie obiecuję. Podejmę ten trud i postaram się spotkać z pani mężem w imię psychologii.

— Może go pan poddawać psychoanalizie wedle woli. Możliwe, że to by mu dobrze zrobiło. Lecz musi pan załatwić moją sprawę. Dla mojego dobra. Muszę mieć mojego księcia, panie Poirot. — I dodała rozmarzona: — Niech pan tylko pomyśli o sensacji, jaką to wywoła.

III

Mężczyzna ze złotym zębem

Kilka dni później siedzieliśmy przy śniadaniu, kiedy Poirot podał mi list, który właśnie otworzył.

— I cóż, *mon ami*, co o tym sądzisz? — zapytał.

Notka pochodziła od lorda Edgware'a i w sztywnym, oficjalnym tonie wyznaczała spotkanie na godzinę jedenastą następnego dnia.

Muszę przyznać, że byłem bardzo zdziwiony. Obietnicę złożoną przez Poirota podczas przyjęcia wziąłem za nieobowiązującą i nie miałem pojęcia, że podjął kroki, by ją spełnić.

Poirot był bardzo bystrym człowiekiem; odgadł moje myśli i nieznacznie mrugnął okiem.

— Ależ nie, *mon ami*, to nie był tylko szampan.

— Nie o to mi chodziło.

— Ależ tak, ależ tak. Pomyślałeś sobie: biedny staruszek, zbyt się rozbawił i obiecuje coś, czego nigdy nie robi, czego nie zamierza zrobić. Tymczasem, przyjacielu, obietnice Herkulesa Poirot są święte.

Mówiąc to, wyprostował się z godnością.

— Wiem, wiem, oczywiście — rzuciłem pośpiesznie. — Myślałem tylko, że twoja decyzja została podjęta trochę... jak to powiedzieć... pod wpływem.

— Nie mam zwyczaju pozwalać, by cokolwiek wywierało „wpływ”, jak to nazwałeś, na moje decyzje, Hastings. Najlepszy i najwytrawniejszy szampan, najbardziej złotowłosa i uwodzicielska z kobiet — nic nie ma wpływu na decyzje Herkulesa Poirot. Nie, *mon ami*, jestem zainteresowany, i to wszystko.

— Romansem Jane Wilkinson?

— Niedokładnie. Jej romans, jak to określasz, to sprawa zwyczajna. Kolejny krok w udanej karierze pięknej kobiety. Gdyby książę Merton nie miał tytułu ani majątku, jego romantyczne podobieństwo do rozmarzonego mnicha zupełnie by jej nie obchodziło. Mnie, Hastings, intryguje aspekt psychologiczny. Gra, jaka toczy się między poszczególnymi charakterami. Z radością przyjmuję okazję przyjrzenia się lordowi Edgware'owi z bliska.

— Ale nie oczekujesz, że twoja misja się powiedzie?

— *Pourquoi pas?* Każdy człowiek ma swoją piętę Achillesa. Nie wyobrażaj sobie, Hastings, że ponieważ studiuję ten przypadek z psychologicznego punktu widzenia, nie będę starał się odnieść sukcesu w powierzonym mi zleceniu. Lubię sprawdzać swój talent.

Obawiałem się aluzji do małych szarych komórek i byłem wdzięczny, że została mi oszczędzona.

— A więc jutro o jedenastej idziemy na Regent Gate? — spytałem.

— My? — Poirot uniósł żartobliwie brwi.

— Poirot! — wykrzyknąłem. — Nie zostawisz mnie chyba? Zawsze ci towarzyszę.

— Gdyby to była zbrodnia, tajemnicze otrucie, morderstwo — takimi rzeczami się w duchu zachwycasz. Ale zwyczajna próba osiągnięcia porozumienia?

— Ani słowa więcej — rzuciłem zdeterminowany. — Idę z tobą.

Poirot roześmiał się łagodnie. W tej samej chwili przekazano nam, że przyszedł jakiś dżentelmen.

Ku naszemu ogromnemu zdumieniu gościem okazał się Bryan Martin.

W świetle dziennym aktor wyglądał starzej. Wciąż był przystojny, lecz na jego twarzy widać było znużenie. Przeszło mi przez myśl, że prawdopodobnie bierze narkotyki. Miał w sobie nerwowe napięcie, które wskazywało na taką możliwość.

— Dzień dobry, panie Poirot — powiedział wesoło. — Z zadowoleniem widzę, że śniadanie jadają panowie o rozsądnej godzinie. Przypuszczam, że jesteście teraz bardzo zajęci?

Poirot uśmiechnął się życzliwie.

— Nie — odparł. — W tej chwili nie mam praktycznie nic ważnego do zrobienia.

— Niemożliwe — roześmiał się Bryan. — Nie wezwał pana Scotland Yardu? Nie musi pan badać żadnej delikatnej sprawy w imieniu rodziny królewskiej? Trudno w to uwierzyć.

— Myli pan fikcję z rzeczywistością, przyjacielu — powiedział z uśmiechem Poirot. — Zapewniam pana, że obecnie jestem bezrobotny, chociaż jeszcze nie na zasiłku. *Dieu merci*.

— Więc mam szczęście — powiedział Bryan, ponownie wybuchając śmiechem. — Może zajmie się pan moją sprawą.

Poirot obrzucił młodego człowieka uważnym wzrokiem.

— Ma pan dla mnie jakiś problem do rozwiązania, czy tak? — spytał po chwili.

— Mniej więcej. I tak, i nie.

Tym razem jego śmiech brzmiał nerwowo. Poirot wskazał gościowi krzesło, nie spuszczając z niego zamyślnego spojrzenia. Martin usiadł twarzą do nas obu, gdyż ja siedziałem obok Poirota.

— A więc wysłuchajmy całej historii — zachęcił go detektyw. Wydawało się, że Bryan Martin nadal nie bardzo wie, jak zacząć.

— Rzecz w tym, że nie mogę powiedzieć panu wszystkiego, co bym chciał. — Zawahał się. — To dość trudne. Widzi pan, wszystko zaczęło się w Ameryce.

— W Ameryce? Tak?

— Z początku moją uwagę przyciągnął pewien drobny incydent. Jadąc pociągiem, zauważyłem pewnego mężczyznę. Mały, brzydki facet, gładko ogolony, w okularach, ze złotym zębem.

— Ach! Ze złotym zębem.

— No właśnie. Na tym polega sedno sprawy. Poirot pokiwał głową.

— Zaczynam rozumieć. Proszę mówić dalej.

— Tak jak mówiłem: zauważyłem tego faceta. Jechałem do Nowego Jorku. Pół roku później byłem w Los Angeles i znów go spotkałem. Nie wiem, jakim cudem, ale tak było. Niby nic szczególnego.

— Proszę nie przerywać.

— Miesiąc potem miałem okazję wyjechać do Seattle, a wkrótce po przybyciu na miejsce znów zobaczyłem mojego przyjaciela, tyle że tym razem miał brodę.

— Godne uwagi.

— Prawda? Oczywiście wtedy przez myśl by mi nie przeszło, że to ma jakiś związek ze mną, lecz kiedy zobaczyłem go powtórnie w Los Angeles, bez brody, w Chicago z wąsami i innymi brwiami, a w górskiej wiosce przebranego za włóczęgę... cóż, zacząłem się zastanawiać.

— Naturalnie.

— Wreszcie... to wydaje się dziwaczne, ale nie mam żadnych wątpliwości: jak to się mówi, śledzono mnie.

— To zupełnie jasne.

— Prawda? Wtedy już byłem tego pewny. Gdziekolwiek pojechałem, tuż za mną szedł mój cień w coraz to innym przebraniu. Na szczęście zawsze mogłem go rozpoznać po złotym zębie.

— Ten złoty ząb to bardzo dogodny zbieg okoliczności.

— Tak.

— Proszę mi wybaczyć, panie Martin, ale czy nigdy nie próbował pan z nim pomóc? Zapytać go, dlaczego tak uparcie pana śledzi?

— Nie — aktor zawahał się. — Myślałem o tym raz czy dwa, ale zawsze zmieniałem zdanie. Wydawało mi się, że to by go tylko zaalarmowało, a ja nie dowiedziałbym się niczego. Możliwe, że gdyby odkryli, iż go zauważyłem, kazano by mnie śledzić komuś innemu, kogo nie mógłbym rozpoznać.

— *En effet...* komuś bez użytecznego złotego zęba.

— Właśnie. Mogłem się mylić, ale tak to sobie wytłumaczyłem.

— Przed chwilą wspomniał pan jakichś „ich”, panie Martin. O kogo panu chodziło?

— Tego zaimka użyłem dla ułatwienia. Założyłem, właściwie nie wiem, dlaczego, że za tym wszystkim kryją się jacyś mgliści „oni”.

— Ma pan jakieś powody, by tak sądzić?

— Żadnych.

— To znaczy nie domyśla się pan, kto mógłby pana śledzić i dlaczego?

— W najmniejszym stopniu. Przynajmniej...

— *Continuez* — rzucił zachęcająco Poirot.

— Mam taki pomysł — zaczął powoli Bryan Martin. — Chociaż to tylko przypuszczenie.

— Przypuszczenie może być niekiedy bardzo trafne, *monsieur*.

— Dotyczy to pewnego zdarzenia, jakie miało miejsce mniej więcej dwa lata temu w Londynie. Nic wielkiego, lecz trudno je wytłumaczyć albo o nim zapomnieć. Często się nad tym zastanawiałem. Ale ponieważ nie mogłem wówczas znaleźć wyjaśnienia, zaczynam przypuszczać, że mój „cień” może mieć z tym jakiś związek... Choć, u diabła, nie rozumiem jaki i dlaczego.

— Może ja to zrozumieć.

— Tak, lecz widzi pan... — Martina powtórnie ogarnęło zakłopotanie — niezręczność sytuacji polega na tym, że teraz nie mogę o tym panu powiedzieć. Może za parę dni...

Ponaglony pytającym wzrokiem Poirota, rzucił desperacko:

— We wszystko zamieszana jest pewna dziewczyna.

— Aha! *Parfaitement!* Angielka?

— Tak. Ale skąd...?

— To bardzo proste. Nie może mi pan powiedzieć teraz, ale ma pan nadzieję, że za parę dni będzie pan mógł. To oznacza, że chce pan uzyskać pozwolenie młodej damy. Tak więc przebywa ona w Anglii. Musiała też być w Anglii w czasie, gdy pana śledzono, gdyż gdyby mieszkała wówczas w Ameryce, już tam by ją pan odszukał. A skoro jest w Anglii od osiemnastu miesięcy, prawdopodobnie, choć nie na pewno, jest Angielką. Dobrze to wywiodłem, co?

— Rzeczywiście. Ale proszę mi powiedzieć, panie Poirot, czy jeżeli uzyskam jej zgodę, zbada pan dla mnie tę sprawę?

Zapadła cisza. Najwyraźniej Poirot rozważał odpowiedź w myślach. Wreszcie spytał:

— Dlaczego przyszedł pan do mnie, zanim porozmawiał pan z nią?

— Pomyślałem... — zawahał się. — Chciałem ją namówić, byśmy wyjaśnili tę sprawę... to znaczy, żeby pozwoliła, by pan ją wyjaśnił. Chodzi mi o to, że jeśli pan się tym zajmie, nie będzie trzeba podawać niczego do publicznej wiadomości, prawda?

— To zależy — powiedział spokojnie Poirot.

— To znaczy?

— Jeśli w grę wchodzi przestępstwo...

— Ależ nie!

— Nigdy nie wiadomo. To możliwe.

— Ale postara się pan dla niej? Dla nas?

— Naturalnie.

Przez chwilę Poirot milczał, a potem zapytał:

— Proszę mi powiedzieć, ten pański szpieg, ten cień — w jakim jest wieku?

— Całkiem młody. Koło trzydziestki.

— Aha! — wykrzyknął Poirot. — To bardzo istotne. To czyni całą sprawę o wiele bardziej interesującą.

Spojrzałem na niego z niedowierzaniem. To samo zrobił Bryan Martin. Jestem pewien, że ta uwaga była równie niepojęta dla nas obu. Bryan rzucił mi nieme pytanie, unosząc w górę brwi. Potrząsnąłem głową.

— Tak — mruknął Poirot. — To czyni całą sprawę bardzo interesującą.

— Być może jest starszy — ciągnął z powątpiewaniem Bryan — ale nie sądzę.

— Nie, nie, jestem pewien, że pańskie spostrzeżenia są trafne, panie Martin. To bardzo interesujące. Nadzwyczaj interesujące.

Dość zaskoczony enigmatycznymi słowami Poirota, Bryan Martin stracił wątek. Zaczął bez związku:

— Wesołe przyjęcie mieliśmy wczoraj wieczorem. Jane Wilkinson to najbardziej despotyczna kobieta, jaka kiedykolwiek istniała.

— Ma dość ograniczony umysł — powiedział Poirot z uśmiechem. — Widzi tylko jedną rzecz naraz.

— I potrafi postawić na swoim — dodał Martin. — Nie wiem, jak ludzie to wytrzymują.

— Można wiele znieść od pięknej kobiety, przyjacielu — zauważył Poirot, mrugając okiem. — Gdyby miała perkaty nos, ziemistą cerę i tłuste włosy, wtedy... wtedy na pewno nie mogłaby „postawić na swoim”, jak pan to ujął.

— Pewnie nie — zgodził się Bryan. — Lecz czasem doprowadza mnie to do szaleństwa. Przywiązałem się do Jane, choć niekiedy myślę, że ma nierówno pod sufitem.

— Wprost przeciwnie. Powiedziałbym, że myśli bardzo trzeźwo.

— Nie o tym dokładnie mówiłem. Rzeczywiście, potrafi się zatroszczyć o swoje interesy. Ma kupiecki spryt. Mnie jednak chodziło o moralność.

— Moralność!

— O takich jak ona mówi się „amoralne”. Dla niej nie istnieje dobro i zło.

— Pamiętam, że mówił pan coś podobnego zeszłego wieczoru.

— Rozmawialiśmy przed chwilą o przestępstwach...

— Tak, mój drogi?

— Wcale bym się nie zdziwił, gdyby Jane popełniła zbrodnię.

— A zna ją pan dobrze — mruknął z zastanowieniem Poirot. — Często grał pan razem z nią, prawda?

— Tak. Przypuszczam, że znam ją na wylot. Mogę sobie wyobrazić, jak kogoś zabija, i to z łatwością.

— Aha! Ma ognisty temperament, prawda?

— Nie, wcale nie. Jest zimna jak ryba. Chodź mi o to, że gdyby ktoś stanął na jej drodze, po prostu by go usunęła, i to bez zastanowienia. I nie można by jej nawet obwiniać, to znaczy moralnie. Ona uważa, że każdy, kto przeszkadza Jane Wilkinson, musi zginąć.

W jego ostatnich słowach pojawiła się zawziętość, jakiej nie było wcześniej. Zastanawiałem się, jakie zdarzenie mu się przypomniało.

— Uważa pan, że popełniłaby... morderstwo? — Poirot obserwował go z uwagą.

Bryan odetchnął głęboko.

— Tak, na mą duszę. Może już wkrótce przypomni pan sobie moje słowa. Widzi pan, ja ją znam. Zabiłaby równie beztrzesko, jak pije swoją poranną herbatę. Mówię poważnie, panie Poirot.

Wstał z krzesła.

— Tak — powiedział Poirot spokojnie. — Widzę, że mówi pan poważnie.

— Znam ją na wylot — powtórzył Bryan Martin.

Stał przez chwilę ze zmarszczonym czołem, a potem rzucił innym tonem:

— Za parę dni poinformuję pana o sprawie, którą omawialiśmy. Zajmie się pan nią, prawda?

Przez jakiś czas Poirot patrzył na niego bez odpowiedzi.

— Tak — odparł wreszcie. — Zajmę się nią. Jest... interesująca.

W tonie, jakim wypowiedział ostatnie słowo, było coś dziwnego. Zszedłem na dół z Bryanem Martinem. Przy drzwiach zwrócił się do mnie:

— Rozumie pan, o co mu chodziło z wiekiem tego faceta? Dlaczego to ciekawe, że ma koło trzydziestki? Kompletnie tego nie pojmuję.

— Zupełnie jak ja — wyznałem.

— To nie ma żadnego sensu. Może po prostu się ze mną droczył?

— Nie — zaprzeczyłem. — Poirot nie jest taki. Może pan być pewien, że to ważne, skoro on tak mówi.

— Niech mnie, jeśli to rozumiem. Cieszę się, że i pan nie wie, o co chodzi. Nie cierpię czuć się jak ostatni głupek.

Wyszedł, a ja powróciłem do mojego przyjaciela.

— Poirot, jakie znaczenie ma wiek tego szpiega? — spytałem.

— Nie rozumiesz? Mój biedny Hastings! — Poirot uśmiechnął się i potrząsnął głową. A potem spytał: — A co w ogóle sądzisz o naszej rozmowie?

— Nie bardzo mam się nad czym zastanawiać. Trudno powiedzieć. Gdybyśmy wiedzieli więcej...

— A czy bez tego nic ci się nie nasuwa na myśl, *mon ami*? Dzwonek telefonu uratował mnie przed hańbą przyznania, że nic nie nasunęło mi się na myśl. Podniosłem słuchawkę. Usłyszałem głos kobiety, bardzo szorstki i urzędowy.

— Mówi sekretarka lorda Edgware'a. Milord z przykrością informuje, że musi odwołać spotkanie wyznaczone na jutrzejszy ranek. Niespodziewanie wyjeżdża do Paryża. Może zobaczyć się z panem Poirotem na krótko dziś kwadrans po dwunastej, jeśli to panom odpowiada.

Skonsultowałem się z Poirotem.

— Oczywiście, mój drogi, pojedziemy tam dzisiaj. Powtórzyłem to do słuchawki.

— Bardzo dobrze — odrzekł szorstki, oficjalny głos. — Dzisiaj o dwunastej piętnaście.

Rozłączyła się.

IV

Rozmowa

Do domu na Regent Gate dotarliśmy z Poirotem w nastroju przyjemnego oczekiwania. Choć nie podzielałem psychologicznych pasji mojego przyjaciela, te kilka słów, które lady Edgware rzuciła o swoim mężu, wzbudziły moją ciekawość. Chciałem się przekonać, jak sam go ocenię.

Dom był imponujący: solidnie zbudowany, elegancki i trochę ponury. Nie miał skrzynek na kwiaty ani żadnych podobnie frywolnych ozdób.

Drzwi otworzono nam natychmiast, choć nie zrobił tego starszy, siwowłosy lokaj, jakiego można by się spodziewać po zewnętrznym wystroju budynku. Wprost przeciwnie: otworzył je jeden z najprzystojniejszych młodzieńców, jakich kiedykolwiek widziałem. Wysoki, jasnowłosy, mógłby pozować rzeźbiarzowi do posągu Hermesa lub Apollina. Jednak w jego miękkim głosie pobrzmiwał zniewieściały ton, który mi się nie spodobał. Co więcej, przypominał mi kogoś poznanego całkiem niedawno, choć nie mogłem sobie za Boga przypomnieć, kogo.

Spytaliśmy o lorda Edgware'a.

— Tędy, proszę.

Powiódł nas obok biegnących na piętro schodów do drzwi w końcu korytarza. Otworzył je i zaanonsował nas tym miękkim głosem, który budził we mnie instynktowną nieufność.

Pokój, do którego nas wprowadzono, okazał się biblioteką. Ściany zastawiono półkami pełnymi książek, meble były ciemne, posępne, lecz eleganckie, krzesła proste i niezbyt wygodne.

Lord Edgware wstał na nasz widok. Był to mężczyzna wysoki, około pięćdziesiątki. Miał ciemne włosy przyprószone siwizną, szczupłą twarz i ironicznie wykrzywione usta. Wyglądał na człowieka łatwo wpadającego w złość i zawziętego. W jego oczach było coś tajemniczego, zdecydowanie dziwnego, jak oceniłem.

Zachowywał się sztywno, oficjalnie.

— Pan Herkules Poirot? Kapitan Hastings? Zechcą panowie spocząć.

Usiedliśmy. W pokoju panował chłód. Przez jedyne okno wpadało niewiele światła, a półmrok skutecznie pogłębiał zimne powitanie.

Lord Edgware podniósł list, skreślony, jak dostrzegłem, ręką mojego przyjaciela.

— Oczywiście, pańskie nazwisko jest mi znane, panie Poirot. Któż go nie zna?

W odpowiedzi na ten komplement Poirot skłonił głowę.

— Lecz nie całkiem rozumiem pańską rolę w tej sprawie. Pisze pan, że chce porozmawiać ze mną w imieniu... — urwał na chwilę — mojej żony.

Ostatnie dwa słowa wymówił w osobliwy sposób: jakby wymagało to od niego sporego wysiłku.

— Zgadza się — odparł mój przyjaciel.

— Sądziłem, że zajmuje się pan badaniem... zbrodni, panie Poirot.

— Badaniem problemów, lordzie Edgware. Na pewno zbrodni. Lecz są jeszcze inne problemy.

— Istotnie. A czego dotyczy ten?

Zawarte w tych słowach szyderstwo zabrzmiało zupełnie wyraźnie, lecz Poirot nie zwrócił na to uwagi.

— Mam honor rozmawiać z panem w imieniu lady Edgware — powiedział. — Jak pan prawdopodobnie wie, lady Edgware pragnie rozwodu.

— Tego jestem w pełni świadomy — odparł chłodno lord Edgware.

— Zaproponowała, bym omówił tę kwestię z panem.

— Nie ma czego omawiać.

— Więc nie zgadza się pan?

— Nie zgadzam się? Wręcz przeciwnie.

Czegokolwiek spodziewał się Poirot, to na pewno nie tego. Rzadko widzę mojego przyjaciela zupełnie zbitego z tropu, lecz tym razem tak się stało. Wyglądał trochę śmiesznie. Ramiona mu opadły, otworzył usta, uniósł w górę brwi. Wyglądał jak postać z komiksu.

— *Comment?* — wykrzyknął. — Co takiego? Pan się zgadza?

— Nie rozumiem pańskiego zaskoczenia, panie Poirot.

— *Écoutez*, zgadza się pan rozwieść z żoną?

— Oczywiście. Ona doskonale o tym wie. Poinformowałem ją o tym listownie.

— Poinformował ją pan listownie?

— Tak. Pół roku temu.

— Nic nie rozumiem. Zupełnie nic nie rozumiem.

Lord Edgware nie odezwał się.

— Sądziłem, że pańskie zasady każą panu sprzeciwiać się rozwodom.

— Moje zasady nie powinny chyba pana interesować. To prawda, że nie rozwiodłem się z pierwszą żoną. Nie pozwoliło mi na to sumienie. Moje drugie małżeństwo było błędem, co szczerze przyznaję. Kiedy żona zaproponowała rozwód, zdecydowanie odmówiłem. Sześć miesięcy temu napisała do mnie, ponawiając żądanie. Domyślałem się, że chce powtórnie wyjść za mąż, za jakiegoś aktora lub kogoś podobnego. Tymczasem moje poglądy uległy zmianie. Napisałem jej o tym, kiedy była w Hollywood. Nie rozumiem, po co tu pana przysłała. Przypuszczam, że chodzi o pieniądze.

Przy ostatnich słowach jego wargi znów wygięły się w szyderczym grymasie.

— To wyjątkowo dziwne — mruknął Poirot. — Wyjątkowo dziwne. Jest tu coś, czego zupełnie nie rozumiem.

— Wracając do pieniędzy — podjął lord Edgware. — Żona opuściła mnie samowolnie. Jeśli pragnie poślubić kogoś innego, mogę dać jej wolność, lecz nie ma żadnego powodu, by otrzymała ode mnie choć pensa, i nie otrzyma.

— Nie ma mowy o jakichkolwiek układach finansowych.

Lord Edgware uniósł w zdumieniu brwi.

— Zatem Jane wychodzi za bogatego człowieka — mruknął cynicznie.

— Czegoś w tej sprawie nie rozumiem — powiedział Poirot. Marszczył zaskoczony czoło, usiłując się skupić. — Usłyszałem od lady Edgware, że wielokrotnie rozmawiała z panem za pośrednictwem prawników.

— Tak było — przyznał sucho lord Edgware. — Angielskich, amerykańskich, wszystkich, łącznie z największymi kanalami. Wreszcie, jak wspomniałem, napisała do mnie osobiście.

— Poprzednio pan odmawiał?

— Tak jest.

— Lecz otrzymawszy jej list, zmienił pan zdanie. Dlaczego zmienił pan zdanie, lordzie Edgware?

— Na pewno nie z powodu listu — rzucił ostro. — Zmieniłem poglądy, to wszystko.

— Ta zmiana była cokolwiek raptowna.

Lord Edgware nie odpowiedział.

— Jakie okoliczności wpłynęły na zmianę decyzji, lordzie Edgware?

— To naprawdę moja sprawa, panie Poirot. Nie zamierzam poruszać tego tematu. Powiedzmy, że stopniowo dostrzegłem korzyści płynące z zerwania tego... proszę wybaczyć mi bezpośredniość... tego, co uważałem za poniżający związek. Moje drugie małżeństwo było pomyłką.

— Pańska żona mówi to samo — powiedział cicho Poirot.

— Naprawdę?

W oczach lorda Edgware'a zabłysło coś przez chwilę, lecz niemal natychmiast zniknęło.

Wstał, kończąc tym samym rozmowę, lecz przy pożegnaniu trochę się rozchmurzył.

— Proszę wybaczyć mi przesunięcie spotkania. Jutro muszę wyjechać do Paryża.

— Oczywiście. Nic się nie stało.

— Na wyprzedaż dzieł sztuki, jeśli chodzi o ścisłość. Mam na oku mały posążek, rzecz perfekcyjną, może trochę makabryczną. Tyle że ja lubię *macabre*. Mam osobliwy gust.

Znów uśmiechnął się ironicznie. Patrzyłem na książki na pobliskiej półce. Stały tam pamiątki Casanovy, opracowanie na temat markiza de Sade'a, książka o średniowiecznych torturach.

Przypomniało mi się, jak Jane Wilkinson wzdrygnęła się, wspominając swojego męża. Nie udawała. Naprawdę zadrżała. Zastanawiało mnie, jakim właściwie człowiekiem jest George Alfred St Vincent Marsh, czwarty baron Edgware.

Pożegnał się z nami bardzo uprzejmie i zadzwonił na lokaja. Wyszliśmy za próg. W holu czekał na nas grecki bożek w skórze odźwiernego. Kiedy zamykałem za sobą drzwi biblioteki, zerknąłem po raz ostatni na pokój. I niemal krzyknąłem.

Uprzejma, uśmiechnięta twarz arystokraty kompletnie się zmieniła. Wargi ściągnęły się, odsłaniając w grymasie zęby, oczy błyszczały z wściekłości, z niemal obłąkańczej furii.

Nie dziwiłem się już, że obie żony opuściły lorda Edgware'a. Zdumiewała mnie natomiast jego żelazna samokontrola. Przejść przez całą rozmowę z takim opanowaniem, tak wyszukaną uprzejmością!

Kiedy doszliśmy do wyjścia, uchyliły się drzwi po prawej. Na progu stanęła dziewczyna, lecz na nasz widok zawahała się.

Była wysoka, szczupła, o ciemnych włosach i bladej twarzy. Jej ciemne oczy na chwilę spotkały się z moimi. A potem niczym cień cofnęła się w głąb pokoju, zamykając drzwi.

W chwilę później znaleźliśmy się na ulicy. Poirot zatrzymał taksówkę. Kiedy wsiedliśmy, kazał kierowcy jechać do Savoyu.

— I cóż, Hastings — powiedział z błyskiem w oku — rozmowa nie potoczyła się tak, jak

przewidywałem.

— Rzeczywiście. Co za niesamowity człowiek z lorda Edgware’a! Opowiedziałem mu, jak spojrzełem za siebie, zamykając drzwi biblioteki, i co tam zobaczyłem. Kiwał głową powoli, z zastanowieniem.

— Mam wrażenie, że ten człowiek jest na granicy szaleństwa, Hastings. Wydaje mi się, że ma wiele na sumieniu i że jego chłodny spokój skrywa głęboko zakorzeniony instynkt okrucieństwa.

— Nic dziwnego, że opuściły go obie żony.

— No właśnie.

— Czy zauważyłeś tę dziewczynę, kiedy wychodziliśmy? Błądą i ciemnowłosą?

— Tak, zauważyłem ją, *mon ami*. Młodą damę, przerażoną i nieszczęśliwą. — Mówił poważnym tonem.

— Jak sądzisz, kim ona jest?

— Prawdopodobnie jego córką. Ma jedną córkę.

— Rzeczywiście wyglądała na przerażoną — powiedziałem wolno. — Ten dom to ponure miejsce dla młodej dziewczyny.

— Istotnie. Ach, jesteśmy na miejscu. Pora przekazać milady dobrą nowinę.

Jane była w swoim apartamencie. Recepcjonista zadzwonił do niej i po chwili rozmowy przekazał nam, że mamy udać się na górę. Boy hotelowy zaprowadził nas pod same drzwi.

Otworzyła je schludnie ubrana kobieta w średnim wieku, w okularach i z pedantycznie ułożonymi włosami. Jane krzyknęła do niej z sypialni:

— Czy to pan Poirot, Ellis? Poproś go, by usiadł. Włożę tylko na siebie jakąś szmatę i już przychodzę.

To, co Jane Wilkinson rozumiała pod pojęciem „szmaty”, okazało się cienkim jak pajęczyna szlafrockiem, który odsłaniał więcej, niż skrywał. Weszła pośpiesznie, mówiąc:

— I co?

Poirot podniósł się i skłonił nad jej dłonią.

— Wszystko dobrze, *madame*.

— Jak to? Co pan ma na myśli?

— Lord Edgware zgadza się na rozwód.

— Co takiego?

Albo zdumienie na jej twarzy było szczere, albo naprawdę była świetną aktorką.

— Panie Poirot! Dokonał pan tego! I to z miejsca! Ot, tak! Jest pan geniuszem. Jak, na miłość boską, zdołał pan to zrobić?

— Nie mogę przyjmować komplementów, na które nie zasługuję, *madame*. Sześć miesięcy temu mąż napisał do pani, wycofując swój sprzeciw.

— Co pan mówi? Napisał do mnie? Gdzie?

— O ile wiem, była pani wówczas w Hollywood.

— Nigdy nie dostałam tego listu. Pewnie zginął gdzieś po drodze. I pomyśleć, że przez wszystkie te miesiące denerwowałam się, układałam szalone plany i niemal odchodziłam od zmysłów.

— Lord Edgware odniósł wrażenie, że zamierza pani poślubić jakiegoś aktora.

— Oczywiście. Tak mu powiedziałam. — Uśmiechnęła się jak zadowolone dziecko, lecz raptem jej spokój prysł. — Chyba nie powiedział mu pan o mnie i o księciu, panie Poirot?

— Nie, nie, może pani być spokojna. Jestem dyskretny. To by nie było dobrze, co?

— Widzi pan, on jest złośliwy z natury. Czułby, że wychodząc za Mertona, wspinam się szczebel wyżej od niego, więc pokrzyżowałby moje plany. Inna sprawa aktor filmowy. Mimo to jestem zdziwiona. Ty nie, Ellis?

Pokojówka kręciła się między pokojem a sypialnią, składając wierzchnie okrycia rozrzucone na oparciach krzeseł. Zauważyłem, że uważnie przysłuchuje się rozmowie. Najwyraźniej Jane darzyła ją pełnym zaufaniem.

— Tak, rzeczywiście, milady. Jego lordowska mość musiał się bardzo zmienić, odkąd go widziałyśmy ostatni raz — powiedziała z pogardą.

— Prawda?

— Nie rozumie pani jego zachowania? Zaskoczył panią? — podsunął Poirot.

— Och, tak. Ale co nas to obchodzi. Jakie ma znaczenie to, dlaczego zmienił zdanie, skoro je zmienił?

— To może nie interesować pani, lecz mnie — bardzo.

Jane nie zwróciła na niego uwagi.

— Rzecz w tym, że wreszcie jestem wolna!

— Jeszcze nie, *madame*.

Spojrzała na niego ze zniecierpliwieniem.

— Będę wolna. To to samo.

Poirot wyglądał tak, jakby się z nią nie zgadzał.

— Książę jest w Paryżu — ciągnęła Jane. — Muszę zaraz wysłać mu telegram. Ależ jego stara matka będzie wściekła!

Poirot wstał.

— Cieszę się, *madame*, że wszystko układa się zgodnie z pani życzeniem.

— Do widzenia, panie Poirot. Bardzo panu dziękuję.

— Nic nie zrobiłem.

— Przyniósł mi pan dobre wieści. Jestem panu bardzo wdzięczna. Naprawdę.

— Otóż to — powiedział Poirot, kiedy opuściliśmy apartament — Widzi tylko jedno: samą siebie! Nie zastanawia jej, nie ciekawi, dlaczego ten list nigdy do niej nie dotarł. Zauważyłeś, Hastings, że jest niewiarygodnie sprytna, gdy mowa o interesach, za to nie ma za grosz inteligencji? Cóż, dobry Pan Bóg nie może dać wszystkiego.

— Chyba że chodzi o Herkulesa Poirota — rzuciłem kąśliwie.

— Żartujesz ze mnie, przyjacielu — odparł z powagą. — Chodź, Przejdziemy się brzegiem Tamizy. Muszę uporządkować myśli.

Dachowałem dyskretne milczenie, oczekując, aż wyrocznia sama przemówi.

— Ten list — odezwał się Poirot, kiedy szliśmy wolno wzdłuż rzeki — bardzo mnie intryguje. Jego zaginięcie można wytłumaczyć na cztery sposoby.

— Aż cztery?

— Tak. Po pierwsze, mógł zaginać na poczcie. Sam wiesz, że to się zdarza, choć niezbyt często. Jednak gdyby błędnie go zaadresowano, dawno wróciłby do lorda Edgware'a. Skłaniam się raczej ku odrzuceniu tej możliwości, choć, oczywiście, może się okazać prawdziwa. Rozwiązanie drugie: nasza piękna dama kłamie, mówiąc, że nigdy go nie otrzymała. To jest całkiem prawdopodobne. Ta czarująca kobieta jest zdolna powiedzieć z dziecinną szczerością każde kłamstwo, które może jej przynieść korzyść. Tyle że nie widzę, jaką odniosłaby z tego korzyść. Jeśli wie, że mąż da jej rozwód, po co mnie do niego wysyła? To nie ma sensu. Rozwiązanie trzecie: kłamie lord Edgware.

Jeśli którakolwiek ze stron kłamie, bardziej prawdopodobny jest lord niż jego żona. Choć nie bardzo widzę cel takiego kłamstwa. Po co miałby wymyślać fikcyjny list? Dlaczego po prostu nie zgodził się na moją propozycję? Skłaniam się ku twierdzeniu, że rzeczywiście wysłał do niej list, choć nie potrafię odgadnąć motywu tak nagłej zmiany zdania. Dochodzimy tym samym do czwartego rozwiązania: że ktoś przechwycił list. I tu, Hastings, wkraczamy na teren bardzo intrygujących spekulacji, gdyż list można było przechwycić po obu stronach, w Ameryce lub w Anglii. Ktokolwiek go zatrzymał, nie chciał, by małżeństwo zostało rozwiązane. Dałbym wiele, by się dowiedzieć, co się kryje za całą sprawą. A coś się kryje — na to mogę przysiąc. — Zamilkł, a po chwili dodał wolno: — Coś, na co jak dotąd mogłem jedynie rzucić kątem oka.

V

Morderstwo

Następnego dnia był trzydziesty czerwca.

Dochodziło dopiero wpół do dziesiątej, kiedy powiedziano nam, że na dole czeka inspektor Japp i pilnie chce się z nami zobaczyć.

Minęło kilka lat od czasu, kiedy ostatnio widzieliśmy inspektora.

— Ach! *Ce bon* Japp — wykrzyknął Poirot. — Ciekawe, po co przyszedł?

— Po pomoc — strzeliłem. — Nie może rozwikłać jakiejś sprawy i przybiegł do ciebie.

Nie darzyłem Jappa takim pobłażaniem jak Poirot. Nie tyle przeszkadzało mi to, że wykorzystywał inteligencję Poirota — w końcu mojego przyjaciela to bawiło, jak delikatne pochlebstwo — ile irytowała mnie pełna hipokryzji maniera Jappa, który udawał, że nic takiego nie robi. Lubię ludzi prostolinijnych. Powiedziałem to na głos, a Poirot roześmiał się.

— Jesteś kąśliwy jak osa, Hastings. Musisz jednak pamiętać, że biedny Japp stara się ratować twarz, więc udaje mądrzejszego, niż jest. To bardzo naturalne.

Ja uważałem, że to głupie, i nie omieszkałem powiedzieć tego Poirotowi. Nie zgodził się ze mną.

— Zewnętrzna forma to *bagatelle*, lecz mimo wszystko ma znaczenie dla ludzi. Pozwala im zachować *amour propre*.

Osobiście uważałem, że odrobina kompleksu niższości nie zaszkodziłaby Jappowi, ale nie było sensu o to się kłócić. A poza tym ciekawiło mnie, po co Japp przyszedł.

Przywitał się z nami serdecznie.

— Mieliście panowie zamiar zasiąść do śniadania, jak widzę. Nie namówił pan jeszcze kur, by niosły dla pana kwadratowe jaja, Poirot?

Była to aluzja do narzekań Poirota na różną wielkość jaj, co obrażało jego wyczucie symetrii.

— Jak dotąd nie — odparł z uśmiechem. — Co sprowadza pana do nas o tak wczesnej porze, drogi panie Japp?

— Nie jest wczesna — przynajmniej nie dla mnie. Już od dobrych dwóch godzin jestem na nogach i pracuję. A to, co sprowadza mnie do was, to... morderstwo.

— Morderstwo?

Japp twierdząco pokiwał głową.

— Zeszłej nocy w swoim domu przy Regent Gate został zabity lord Edgware. Żona zabiła go ciosem noża w szyję.

— Żona? — wykrzyknąłem.

Z miejsca przypomniałem sobie słowa Bryana Martina, wypowiedziane poprzedniego ranka. Czy wyprorokował wtedy, co się stanie? Pamiętałem również beztróską uwagę Jane o zamordowaniu męża. Bryan Martin nazwał ją amoralną. Rzeczywiście taka była. Nieczuła, egoistyczna i głupia. Jakże słuszny był jego osąd.

Tymczasem Japp ciągnął dalej:

— Tak, to aktorka, jak pewnie wiecie. Sławna. Nazywa się Jane Wilkinson. Wyszła za niego trzy lata temu. Nie układało się im i zostawiła go.

Poirot wyglądał na zaskoczonego. Spytał z powagą:

— Dlaczego uważa pan, że to ona go zabiła?

— Nie uważam, wiem. Została rozpoznana. Nawet się nie ukrywała. Podjechała taksówką...

— Taksówką — powtórzyłem mimo woli, ponieważ przypomniały mi się słowa, jakie wypowiedziała tamtej nocy w Savoyu.

— Zadzwoiła do drzwi i spytała o lorda Edgware'a. Była dziesiąta. Lokaj powiedział, że dowie się, czy pan ją przyjmie. — „Och — rzuciła zimno. — Nie trzeba. Jestem lady Edgware. Zapewne siedzi w bibliotece”. Z tymi słowami minęła go, otworzyła drzwi biblioteki, weszła do środka i zamknęła je za sobą.

Lokaj uznał to za dziwne, ale nie protestował. Zszedł na dół. Dziesięć minut później usłyszał, jak ktoś zatrząskuje frontowe drzwi. Nie zabawiła więc długo. O jedenastej zamknął je na klucz na noc. Zajrzał do biblioteki, lecz w środku było ciemno. Pomyślał więc, że jego pan poszedł spać. Dziś rano pokojówka znalazła ciało. Z nożem wbitym w kark tuż u nasady włosów.

— Nie krzyczał? Nikt niczego nie usłyszał?

— Mówią, że nie. Widzi pan, w bibliotece są dźwiękoszczelne drzwi. Do tego ruch uliczny. Przy takim ciosie śmierć nadchodzi zdumiewająco szybko. Nóż przeszedł między kręgami i trafił prosto w rdzeń, tak powiedział lekarz. Jeśli trafi się we właściwe miejsce, śmierć jest natychmiastowa.

— Co oznacza, że trzeba wiedzieć, gdzie celować, a to wskazuje na niemal medyczną wiedzę.

— Tak, przyznaję, to przemawia na jej korzyść. Lecz stawiam dziesięć do jednego, że to

przypadek. Miała szczęście. Niektórzy mają zadziwiające szczęście.

— Nie tak duże, skoro skończy się tym, że zostanie powieszona, *mon ami* — zauważył Poirot.

— To prawda. Zachowała się głupio, podjeżdżając pod sam dom i podając swoje nazwisko.

— Rzeczywiście. To bardzo dziwne.

— Może nie zamierzała popełnić zbrodni. Na przykład pokłócili się, wyciągnęła scyzoryk i zadała cios.

— To był scyzoryk?

— Coś w tym stylu, tak mówi lekarz. Cokolwiek to było, narzędzie zbrodni zabrała ze sobą. Przy ciele niczego nie ma.

Poirot potrząsnął głową, nieusatisfakcjonowany.

— Nie, nie, przyjacielu, to nie tak. Znam ją. Jest całkowicie niezdolna do tak gwałtownego, impulsywnego czynu. Poza tym zupełnie nieprawdopodobne, by miała przy sobie scyzoryk. Niewiele kobiet go nosi, a na pewno nie Jane Wilkinson.

— Więc zna ją pan, Poirot? — Tak.

Nie odzywał się przez chwilę. Japp patrzył na niego pytająco.

— Trzyma pan coś w rękawie, Poirot? — zaryzykował wreszcie.

— Ach! — wykrzyknął Poirot. — A propos, co pana do mnie sprowadza? Nie chodzi przecież o to, by spędzić chwilę ze starym znajomym? Na pewno nie. Ma pan proste morderstwo. Ma pan sprawcę, a także motyw. Przy okazji, jaki jest motyw?

— Chciała powtórnie wyjść za mąż. Słyszano, jak mówiła o tym niecały tydzień temu. Podobno też odgrażała się, że zabije męża.

— Coś takiego! — wykrzyknął Poirot. — Jest pan bardzo dobrze poinformowany, naprawdę bardzo dobrze. Ktoś był niezwykle usłużny.

Dostrzegłem w jego wzroku pytanie, lecz Japp nie zareagował.

— Słyszemy różne rzeczy — rzekł powściągliwie.

Poirot skinął głową. Sięgnął po gazetę. Wcześniej przeglądał ją Japp, kiedy na nas czekał, a gdy weszliśmy, odrzucił ze zniecierpliwieniem. Poirot mechanicznie otworzył ją na środkowej stronie, wygładził i uporządkował. Choć oczy miał skierowane na gazetę, jego umysł pochłonięty był zagadką.

— Nie odpowiedział pan — odezwał się po chwili. — Jeśli wszystko układa się tak jasno, po co przyszedł pan do mnie?

— Ponieważ słyszałem, że był pan na Regent Gate wczoraj rano.

— Rozumiem.

— Jak tylko się o tym dowiedziałem, powiedziałem sobie: coś w tym jest. Jego lordowska mość posłał po Poirota. Dlaczego? Co Podejrzewał? Czego się obawiał? Zanim postanowię coś definitywnie, lepiej pójdę i porozmawiam z Poirotem.

— Co pan rozumie przez „definitywnie”? Zapewne aresztowanie lady Edgware?

— Dokładnie.

— Nie był pan jeszcze u niej?

— Ależ tak. Najpierw poszedłem do Savoyu. Nie chciałem ryzykować, że się nam wymknie.

— Ach tak! Więc...

Urwał. Jego oczy, wpatrzone dotąd ze skupieniem, w rozłożoną gazetę, przybrały inny wyraz. Podniósł głowę i zapytał zmienionym tonem:

— Co powiedziała? No, przyjacielu? Co takiego powiedziała?

— Przekazałem jej to, co zwykle, o składaniu zeznań i ostrzegłem przed konsekwencjami. Nie można twierdzić, że angielska policja nie jest uczciwa.

— Według mnie czasami aż zanadto uczciwa, lecz proszę mówić dalej. Co odpowiedziała milady?

— Zaczęła histeryzować. Dosłownie. Zadrzała, wyciągnęła ramiona i padła na podłogę. Dobrze to odegrała, tyle jej przyznam. Odstawiła niezłe przedstawienie.

— Ach tak — powiedział spokojnie Poirot. — Odniósł pan zatem wrażenie, że jej histeria nie była autentyczna?

Japp ordynarnie puścił oko.

— A co pan myśli? Ja się nie nabiorę na takie sztuczki. Nie zemdląca. Nie ona! Po prostu udawała i tyle. Mogę przysiąc, że świetnie się przy tym bawiła.

— Tak — przyznał z zastanowieniem Poirot. — Powiedziałbym, że to całkiem możliwe. Co stało się potem?

— Och, przyszła do siebie, to znaczy udawała, że przychodzi do siebie. Jęczała, rozpaczała, histeryzowała, aż ta jej wiecznie skwaszona pokojówka podała jej sole trzeźwiące. Potem odzyskała

zmysły na tyle, że poprosiła o adwokata. Powiedziała, że bez niego nie powie słowa. W jednej chwili histeria, w następnej mówi o adwokacie — czy to jest naturalna reakcja?

— W tym wypadku całkowicie — ocenił spokojnie Poirot.

— Ponieważ jest winna?

— Bynajmniej. Mówiłem o jej usposobieniu. Najpierw pokazuje panu, jak, według niej, należy odegrać rolę żony, która dowiaduje się o śmierci męża. Zadowolony swój instynkt aktorski, wzywa adwokata, co nakazuje jej wrodzony spryt. Fakt, że odgrywa jakąś scenę i bawi się tym, nie dowodzi jej winy. Wskazuje jedynie, że jest urodzoną aktorką.

— Niemożliwe, żeby była niewinna. To pewne.

— Jest pan o tym przeświadczony. Zapewne tak powinno być. Mówi pan, że nie złożyła żadnych zeznań? Nic?

Japp skrzywił się.

— Nie powie słowa bez adwokata. Pokojówka wezwała go telefonicznie. Zostawiłem dwóch ludzi na miejscu i przyszedłem do pana. pomyślałem, że równie dobrze mogę spytać, co się działo, zanim sam wkroczyłem do akcji.

— Ale jest pan pewien jej winy?

— Oczywiście. Jednak chcę znać jak najwięcej faktów. Widzi pan, wokół tej sprawy powstanie sporo zamieszania. To nie jest jakiś pomniejszy wypadek. Będą o tym pisać wszystkie gazety. A wie pan, jacy są dziennikarze.

— Mówiąc o gazetach, jak wytłumaczy pan to. — Poirot pochylił się nad stołem i wskazał palcem akapit w dziale informacji towarzyskich. — Nie czytał pan uważnie porannej prasy.

Japp odczytał wskazany fragment na głos:

— „Sir Montagu Corner wydał wczorajszego wieczoru bardzo udane przyjęcie z kolacją, które odbyło się w jego domu nad rzeką w Chiswick. Wśród gości znaleźli się sir George i lady du Fisse, pan James Blunt, znany krytyk teatralny sir Oscar Hammerfeldt z Overton Film Studios oraz panna Jane Wilkinson (lady Edgware)”.

Przez chwilę Japp był zupełnie zaskoczony, lecz zaraz się otrząsnął.

— A co to ma wspólnego z morderstwem? Informację wysłano do gazety wcześniej. Zobacz pan, okaże się, że naszej damy tam nie było albo że się spóźniła. Przyszła o jedenastej lub później. Na Boga, przecież nie może pan wierzyć we wszystko, co drukują w prasie, jak w Ewangelię. Pan powinien to wiedzieć lepiej niż inni.

— Ależ wiem, wiem. Po prostu wydało mi się to ciekawe.

— Zdarzają się takie zbiegi okoliczności. Wracając do sprawy: z przykrego doświadczenia wiem, że woli pan milczeć jak grób. Ale podzieli się pan ze mną tym, co wie? Powie mi pan, dlaczego lord Edgware posłał po pana?

Poirot potrząsnął przecząco głową.

— Lord Edgware nie posyłał po mnie. To ja poprosiłem go o spotkanie.

— Naprawdę? A dlaczego? Poirot zawahał się.

— Odpowiem na pańskie pytanie — zaczął wolno — ale na własny sposób.

Japp jęknął. Współczułem mu skrycie. Poirot potrafi być okropnie irytujący.

— Proszę jednak — ciągnął — by wpierw pozwolił mi pan zadzwonić do pewnej osoby i zaprosić ją tutaj.

— Co to za osoba?

— Pan Bryan Martin.

— Ten aktor? A co on ma z tym wspólnego?

— Uzna pan, jak sądzę, że ma do powiedzenia rzeczy interesujące i prawdopodobnie użyteczne. Będiesz tak dobry, Hastings?

Wziąłem do ręki książkę telefoniczną. Bryan Martin mieszkał w dużym domu przy St James Park.

— Victoria cztery, dziewięć, cztery, dziewięć, dziewięć — poprosiłem.

Po chwili odezwał się trochę zaspany głos Bryana Martina.

— Halo? Kto mówi?

— Co mam powiedzieć? — wyszeptalem, zakrywając mikrofon dłonią.

— Powiedz mu, że lord Edgware został zamordowany — odparł Poirot — i że będę bardzo wdzięczny, jeśli natychmiast się ze mną spotka.

Powtórzyłem to słowo w słowo. Po drugiej stronie rozległ się okrzyk zaskoczenia.

— Mój Boże! Więc zrobiła to. Zaraz przyjdę.

— Co powiedział? — spytał Poirot.

Powtórzyłem mu.

— Aha! — Poirot wyglądał na zadowolonego. — „Więc zrobiła to”. Tak właśnie powiedział? Jest

więc tak, jak myślałem. Dokładnie tak, jak myślałem.

Japp popatrzył na niego pytająco.

— Nie potrafię pana rozgryźć, Poirot. Najpierw zachowuje się pan tak, jakby według pana ta kobieta była niewinna. A teraz okazuje się, że od samego początku wiedział pan, że to ona zabiła męża.

Poirot tylko się uśmiechnął.

VI

Wdowa

Bryan Martin dotrzymał słowa. Dołączył do nas w ciągu niecałych dziesięciu minut. Czekał na jego przybycie, Poirot rozmawiał na tematy niezwiązane ze sprawą i nie zgadzał się choć w najmniejszym stopniu zaspokoić ciekawości Jappa.

Było widać, że nasza wiadomość zupełnie wytrąciła młodego aktora z równowagi. Miał bladą, ściągniętą twarz.

— Na Boga, panie Poirot — zaczął, kiedy podali sobie dłonie — to potworne. Jestem wstrząśnięty, choć nie mogę powiedzieć, że zaskoczony. Zawsze podejrzewałem, że coś takiego się stanie. Może pamięta pan, że mówiłem o tym wczoraj.

— *Mais oui, mais oui* — odparł Poirot. — Doskonale pamiętam, co pan wczoraj mówił. Proszę pozwolić, że przedstawię panu inspektora Jappa, który prowadzi tę sprawę.

Bryan Martin rzucił Poirotowi pełne wyrzutu spojrzenie.

— Nie miałem pojęcia — mruknął. — Powinien mnie pan ostrzec. Chłodno skinął głową inspektorowi. Usiadł, zaciskając wargi.

— Nie rozumiem, po co mnie pan tu wezwał — zaprotestował. — To nie ma nic wspólnego ze mną.

— Sądzę, że ma — zaprzeczył łagodnie Poirot. — W przypadku morderstwa trzeba odłożyć na bok osobiste uprzedzenia.

— Nie, nie. Grywałem z Jane. Dobrze ją znam. Niech to, jest moją przyjaciółką.

— A jednak słysząc, że lord Edgware został zamordowany, natychmiast dochodzi pan do wniosku, że to ona go zabiła — zauważył sucho Poirot.

Aktor podskoczył.

— Chce pan powiedzieć, że... — Oczy niemal wyszły mu z orbit. — Chce pan powiedzieć, że się mylę? Że ona nie ma z tym nic wspólnego?

— Ależ, nie, panie Martin — wtrącił się Japp. — Jej wina jest pewna.

Młody człowiek z powrotem opadł na krzesło.

— Przez chwilę myślałem, że popełniłem straszny błąd — mruknął.

— W sprawie takiej jak ta nie może pan pozwolić sobie na uleganie sentymentom — powiedział stanowczo Poirot.

— Łatwo panu mówić, ale...

— Czy naprawdę chce pan stanąć po stronie kobiety, która popełniła morderstwo? Morderstwo, najbardziej odrażającą z ludzkich zbrodni?

Bryan Martin westchnął.

— Nie rozumie pan. Jane nie jest zwyczajną morderczynią. Ona... ona nie odróżnia dobra i zła. Mówię poważnie: ona nie odpowiada za to, co robi.

— To sprawa dla ławy przysięgłych — zauważył Japp.

— Spokojnie — łagodził Poirot. — To nie pan ją oskarża. Już wcześniej została oskarżona. Nie może pan odmówić ujawnienia tego, co pan wie. Ma pan dług wobec społeczeństwa.

Bryan ponownie westchnął.

— Zapewne ma pan rację — powiedział. — Co chcecie wiedzieć?

Poirot spojrzał na Jappa.

— Czy kiedykolwiek słyszał pan, jak lady Edgware... lepiej nazywajmy ją Jane Wilkinson, groziła mężowi? — spytał Japp.

— Tak, kilkakrotnie.

— Co mówiła?

— Że jeśli nie da jej rozwodu, będzie musiała go wykończyć.

— To nie był żart?

— Nie. Wydaje mi się, że mówiła to poważnie. Kiedyś powiedziała, że wezwie taksówkę, pojedzie do niego i go zabije. Pan też to słyszał, panie Poirot — zwrócił się do mojego przyjaciela z naciskiem.

Poirot potwierdził to ruchem głowy. Japp kontynuował pytania.

— Poinformowano nas, że chciała odzyskać wolność, by poślubić innego człowieka. Wie pan, kogo, panie Martin?

Bryan przytaknął.

— Kogo?

— Księcia Merton.

— Księcia Merton! Niech mnie! — Detektyw gwizdnął przez zęby. — Wysoko mierzy, co? Podobno to najbogatszy człowiek w Anglii.

Bryan skinął głową, coraz bardziej przygnębiony.

Nie potrafiłem zrozumieć zachowania Poirota. Siedział rozparty na krześle, złożywszy razem dłonie, a rytmiczne potakiwanie głową nasuwało na myśl człowieka, który nastawił płytę gramofonową i teraz z przyjemnością jej słucha.

— Mąż nie chciał dać jej rozwodu?

— W żadnym wypadku.

— Jest pan tego pewien?

— Tak.

— Teraz widzi pan, gdzie zaczyna się moja rola, drogi inspektorze — odezwał się Poirot, nieoczekiwanie włączając się do rozmowy. — Lady Edgware poprosiła mnie, bym zobaczył się z jej mężem i spróbował nakłonić go do wyrażenia zgody na rozwód. Spotkanie wyznaczono na dziś rano.

Bryan Martin potrząsnął głową.

— To bezcelowe — orzekł z przekonaniem. — Edgware nigdy by się nie zgodził.

— Tak pan sądzi? — Poirot rzucił mu przyjacielskie spojrzenie.

— Jestem pewien. Jane wiedziała o tym w głębi duszy. Nie wierzyła, że się panu powiedzie. Straciła nadzieję. Ten człowiek miał obsesję na punkcie trwałości małżeństwa.

Poirot uśmiechnął się. Jego oczy stały się nagle bardziej zielone.

— Myli się pan, drogi chłopcze — powiedział łagodnie. — Widziałem się z lordem Edgware'em wczoraj. Zgodził się na rozwód.

Bryan Martin osłupiał. Gapił się na Poirota, wytrzeszczając oczy.

— Pan... pan widział się z nim wczoraj? — wykrztusił.

— Kwadrans po dwunastej — rzekł Poirot z właściwą sobie dokładnością.

— I zgodził się na rozwód?

— Zgodził się.

— Powinien był pan natychmiast przekazać to Jane! — wykrzyknął młody człowiek z wyrzutem.

— Tak zrobiłem, panie Martin.

— Tak pan zrobił? — zawołali jednocześnie Martin i Japp.

Poirot uśmiechnął się.

— To nieco osłabia jej motyw, prawda? — mruknął. — A teraz, panie Martin, pozwoli pan, że zwrócę pańską uwagę na to. — Pokazał mu notatkę w gazecie.

Bryan przeczytał ją, lecz bez zbytniego zainteresowania.

— To ma być alibi? Przypuszczam, że lord Edgware został zastrzelony wczoraj wieczorem?

— Został zabity nożem, nie zastrzelony — poprawił go Poirot.

Martin wolno odłożył gazetę.

— Obawiam się, że to nie ma znaczenia — powiedział z żalem. — Jane nie poszła na to przyjęcie.

— Skąd pan wie?

— Nie pamiętam. Ktoś mi mówił.

— A to szkoda — rzucił Poirot z zastanowieniem.

Japp spojrzał na niego pytająco.

— Nie rozumiem pana. Teraz wygląda na to, że nie chce pan, by młoda dama okazała się winna.

— Nie, nie, mój drogi panie Japp. Nie jestem stronnicy, jak pan podejrzewa. Jednak, mówiąc szczerze, pańska wersja zaprzecza zdrowemu rozsądkowi.

— A cóż to ma znaczyć? Nie zaprzecza mojemu.

Widziałem, że Poirot ma coś na końcu języka. Powstrzymał się jednak.

— Oto młoda kobieta pragnie, jak pan twierdzi, pozbyć się męża. Temu nie przeczę. Sama otwarcie mi to powiedziała. *Eh bien*, jak się do tego zabiera? Kilkakrotnie powtarza głośno, w obecności świadków, że rozważa, jak go zabić. Któregoś wieczoru wychodzi, podjeżdża pod jego dom, podaje swoje nazwisko, przebija go nożem i wychodzi. Jak by pan to nazwał, przyjacielu? Czy nie brak w tym zdrowego rozsądku?

— Oczywiście, to było głupie.

— Głupie? Idiotyczne!

— Cóż — zaczął Japp, wstając — kiedy przestępcy tracą głowę, policja może na tym tylko skorzystać. Teraz muszę wrócić do Savoyu.

— Pozwoli pan, że będę mu towarzyszył?

Japp nie wyraził sprzeciwu, więc wyszliśmy razem. Bryan Martin rozstał się z nami niechętnie. Był wyraźnie zdenerwowany. Gorąco prosił, byśmy przekazali mu, jak się sprawa rozwinie.

— Nerwowy facet — skomentował Japp. Poirot przytaknął.

W hotelu natknęliśmy się na dżentelmena, którego wygląd wyraźnie wskazywał na prawniczą profesję, i razem udaliśmy się do apartamentu Jane. Japp zamienił kilka słów z jednym ze swoich ludzi.

— Coś nowego? — rzucił lakonicznie.

— Chciała zadzwonić.

— Gdzie? — spytał niecierpliwie.

— Do Jaya. W sprawie kostiumu na pogrzeb. Japp zaklął pod nosem. Weszliśmy do środka.

Owdowiała lady Edgware przymierzała przed lustrem kapelusze. Miała na sobie przejrzystą, czarno—białą kreację. Powitała nas oszałamiającym uśmiechem.

— Jak miło, że pan przyszedł, panie Poirot. Panie Moxon — to było do prawnika — dobrze, że pan jest. Niech pan usiądzie obok mnie i powie, jak powinnam odpowiadać na pytania. Ten oto człowiek najwyraźniej uważa, że rano wyszłam z hotelu i zabiłam George'a.

— Zeszłej nocy, proszę pani — poprawił ją Japp.

— Powiedział pan, że dziś rano o dziesiątej.

— Dziesiątej wieczór.

— No cóż. Myślałam, że chodzi o rano.

— Dopiero teraz dochodzi dziesiąta rano — oznajmił surowo inspektor.

Jane otworzyła szeroko oczy.

— Na litość boską — mruknęła — od lat nie wstałam tak wcześnie. Musiał pan przyjść do mnie bladym świtem.

— Chwileczkę, inspektorze — wtrącił się pan Moxon, wypowiadając słowa wolno, tonem urodzonego prawnika. — Właściwie o której godzinie to godne pożalowania... nadzwyczaj szokujące wydarzenie miało miejsce?

— Około dziesiątej zeszłej nocy, proszę pana.

— No to wszystko w porządku — rzuciła ostro Jane. — Byłam na przyjęciu. Och! — Nagle zakryła usta dłonią. — Chyba nie powinnam była tego mówić.

Rzuciła błagalne spojrzenie prawnikowi.

— Jeżeli o dziesiątej zeszłej nocy była pani... hm... na przyjęciu, lady Edgware, nie widzę... hm... nie widzę przeszkód, by poinformowała pani o tym fakcie inspektora. Żadnych przeszkód.

— Właśnie — dołączył się Japp. — Prosiłem panią jedynie o złożenie zeznań na temat tego, co robiła pani zeszłej nocy.

— Nieprawda. Pytał pan tylko o godzinę dziesiątą. A w dodatku okropnie mnie pan przeraził. Z miejsca zemdlałam, panie Moxon.

— Co z przyjęciem, lady Edgware?

— Urządzał je sir Montagu Corner, w Chiswick.

— O której godzinie pani tam pojechała?

— Kolacja zaczynała się o ósmej trzydzieści.

— Wyszła pani z domu... mniej więcej kiedy?

— Koło ósmej. Po drodze wpadłam na chwilę do Piccadilly Palace, by pożegnać się z amerykańską przyjaciółką, która wracała do Stanów, z panią van Dusen. Dotarłam do Chiswick kwadrans przed dziewiątą.

— O której godzinie opuściła pani przyjęcie?

— Około wpół do dwunastej.

— Wróciła pani prosto do hotelu?

— Tak.

— Taksówką?

— Nie. Moim samochodem. Wynajęłam go u Daimlera.

— W czasie przyjęcia nigdzie pani nie wychodziła?

— Cóż...

— Więc jednak?

Przypominało to pościg teriera za szczurem.

— Nie wiem, o co panu chodzi. Kiedy siedzieliśmy za stołem, zawołano mnie do telefonu.

— Kto dzwonił?

— Myślę, że to był jakiś dowcip. Ktoś powiedział: „Czy to lady Edgware?”. A ja odparłam: „Tak, to ja”, a wtedy ta osoba roześmiała się i rozłączyła.

— Czy wychodziła pani z domu, by odebrać telefon?

Jane rozszerzyły się ze zdumienia.

— Oczywiście, że nie.

— Jak długo nie było pani przy stole?

— Jakies półtorej minuty.

Japp się załamał. Byłem przekonany, że nie wierzy w ani słowo, lecz usłyszawszy wersję zdarzeń Jane, nie mógł zrobić nici póki jej nie potwierdzi albo nie podważy.

Pożegnał się, dziękując chłodno za rozmowę.

My również zbieraliśmy się do wyjścia, lecz Jane zatrzymała Poirota.

— Czy robi pan coś dla mnie, panie Poirot?

— Oczywiście, *madame*.

— Proszę zatelegrafować do Paryża do księcia. Zatrzymał się w hotelu Crillon. Powinien się o tym dowiedzieć. Nie chcę sama wysłać mu wiadomości. Myślę, że parę tygodni powinnam udawać pogrążoną w żałobie wdowę.

— Nie ma potrzeby wysłać telegramu, *madame* — powiedział łagodnie Poirot. — Informacja o tym wydarzeniu na pewno pojawi się w tamtejszej prasie.

— Ależ ma pan głowę! Oczywiście. Lepiej nic nie pisać. Teraz kiedy wszystko układa się dobrze, wiem, że tylko ode mnie zależy czy utrzymam swoją pozycję. Chcę zachować się tak, jak przystoi wdowie. Wie pan, z godnością. Myślałam o wieńcu z orchidei. To chyba najdroższe kwiaty. Pewnie będę musiała pójść na pogrzeb! Jak pan sądzi?

— Najpierw będzie pani musiała poddać się przesłuchaniu, *madame*.

— Tak, pewnie tak. — Zastanawiała się przez chwilę. — Nie podoba mi się ten inspektor ze Scotland Yardu. Śmiertelnie mnie wystraszył. Panie Poirot...

— Tak?

— Wygląda na to, że miałam szczęście, zmieniając zdanie i jednak idąc na przyjęcie.

Poirot zmierzał właśnie do drzwi, lecz na te słowa odwrócił się raptownie.

— Co pani powiedziała, *madame*? Zmieniła pani zdanie?

— Tak. Nie chciałam tam iść. Po południu potwornie rozbolała mnie głowa.

Poirot kilkakrotnie przełknął ślinę. Najwyraźniej miał trudności z mówieniem.

— Czy... czy powiedziała pani o tym komukolwiek? — spytał wreszcie.

— Oczywiście. Był nas cały tłum. Piliśmy herbatę. Chcieli, żebym poszła z nimi na przyjęcie, a ja powiedziałam: nie. Powiedziałam, że głowa pęka mi z bólu i że wracam prosto do domu. Zamierzałam nawet zrezygnować z kolacji.

— I dlaczego zmieniła pani zdanie?

— Ellis naskoczyła na mnie. Mówiła, że nie mogę sobie pozwolić na odrzucanie zaproszeń. Stary sir Montagu pociąga za wiele sznurków, a przy tym jest kapryśny i łatwo się obraża. Nie przejęłam się tym zbyt. Skończę z nimi wszystkimi, kiedy wyjdę za Mertona. Ale Ellis woli być ostrożna. Mówiła, że zawsze można się potknąć i mimo wszystko sądzę, że miała rację. Ostatecznie więc poszłam.

— Ma pani dług wdzięczności wobec Ellis, *madame* — powiedział z powagą Poirot.

— Tak przypuszczam. Ten inspektor wszystko już sobie poukładał, prawda?

Roześmiała się, Poirot nie. Odezwał się cicho:

— Cała sprawa daje do myślenia. Naprawdę.

— Ellis! — zawołała Jane. Pokojówka wyszła z drugiego pokoju.

— Pan Poirot mówi, że bardzo szczęśliwie namówiłaś mnie na to przyjęcie wczoraj wieczorem.

Ellis ledwie rzuciła okiem na Poirota. Jej zawzięta twarz wyrażała dezaprobatę.

— Nie można zrywać umówionych spotkań, milady. A pani za bardzo lubi to robić. Nie zawsze ludzie to wybaczą. Mogą się stać nieprzyjemni.

Jane wzięła kapelusz, który przymierzała przed naszym przyjściem, i włożyła go na głowę.

— Nie cierpię czerni — wyznała strapiona. — Nigdy jej nie noszę. Jednak przypuszczam, że jako przyzwoita wdowa po prostu nie mam wyjścia. Te kapelusze są okropne. Zadzwoń do tego drugiego sklepu, Ellis. Muszę odpowiednio wyglądać, przecież wszyscy będą na mnie patrzeć.

Razem z Poirotem po cichu wysunęliśmy się z pokoju.

VII

Sekretarka

Na pewien czas straciliśmy Jappa z oczu. Pojawił się ponownie jakąś godzinę później, rzucił kapelusz na stół i oznajmił, że jest przeklęty na wieki.

— Sprawdził pan jej alibi? — spytał ze współczuciem Poirot. Japp przytaknął ponuro.

— Nie zrobiła tego, chyba że czternaście osób kłamie — burknął. Po chwili ciągnął dalej: — Muszę się panu przyznać, Poirot, że spodziewałem się zmywy. Na pierwszy rzut oka wydawało się niemożliwe, żeby ktokolwiek inny mógł zabić lorda Edgware'a. Ona jako jedyna miała motyw.

— Tego bym nie powiedział. *Mais continuez.*

— Cóż, jak mówiłem, spodziewałem się zmywy. Wie pan, jacy są aktorzy: będą trzymać się razem, żeby osłonić kumpla. Lecz tu sytuacja była inna. Goście z wczorajszego przyjęcia to same grube ryby. Nie przyjaźnią się z nią, a niektórzy nawet się nie znali. Ich oświadczenia są niezależne i wiarygodne. Miałem nadzieję odkryć, że wymknęła się na jakieś pół godzinki. Mogła to łatwo zrobić, na przykład pod pretekstem przypudrowania sobie nosa. Ale nie. Rzeczywiście odeszła od stołu tak, jak nam powiedziała, żeby odebrać telefon, a i wtedy stał przy niej lokaj. Przy okazji, rozmowa brzmiała dokładnie tak, jak opisała. Lokaj słyszał, co mówiła. Tak, tu lady Edgware. I wtedy ten ktoś po drugiej stronie rozłączył się. Wie pan, to dziwne. Chociaż nie ma związku ze sprawą.

— Może nie, ale jest interesujące. Dzwonił mężczyzna czy kobieta

— Mówiła, że kobieta, o ile pamiętam.

— Intrygujące — powiedział w zamyśleniu Poirot.

— Ale nieważne — rzucił niecierpliwie Japp. — Wracajmy do istotnej kwestii. Cały wieczór potoczył się dokładnie tak, jak powiedziała. Dotarła kwadrans przed dziewiątą, wyszła wpół do dwunaste i przyjechała do hotelu kwadrans przed północą. Widziałem się z szoferem, który ją przywiózł. To jeden z pracowników Daimlera. Również obsługa hotelu zauważyła ją i potwierdziła czas przybycia.

— *Eh bien*, to wydaje się rozstrzygające.

— W takim razie co z tą dwójką na Regent Gate? Chodzi nie tylko o lokaja. Widziała ją również sekretarka lorda Edgware'a. Oboje przysięgają, że osobą, która zjawiała się o dziesiątej, była lady Edgware.

— Jak długo ten lokaj tam pracuje?

— Pół roku. Przy okazji, to przystojny facet.

— To prawda. *Eh bien*, przyjacielu, jeśli jest tam zaledwie od pół roku, nie mógł rozpoznać lady Edgware, ponieważ nigdy wcześniej jej nie widział.

— Ale zna ją ze zdjęć w prasie. A na pewno zna ją sekretarka. Pracowała dla lorda Edgware'a od pięciu lub sześciu lat i jest absolutnie pewna tego, co mówi.

— Aha! — powiedział Poirot. — Chciałbym spotkać się z tą sekretarką.

— Wobec tego czemu nie pójdzie pan tam teraz ze mną?

— Dziękuję, *mon ami*. Będę zachwycony. Mam nadzieję, że zaproszenie obejmuje również Hastingsa?

Japp uśmiechnął się szeroko.

— A co pan myśli? Pies zawsze idzie za swoim panem — dodał, dowodząc według mnie nie najlepszego smaku.

— To przypomina mi sprawę Elizabeth Canning — ciągnął Japp. — Pamięta pan? Cały tłum świadków, i to zarówno ze strony oskarżenia, jak i obrony. Przysięgali, że widzieli tę Cyganekę, Mary Squires, w dwóch różnych częściach Anglii. I również byli to świadkowie godni zaufania. A ona miała tak odrażającą twarz, że nie znalazłoby się drugiej podobnej. Nigdy nie wyjaśniono tej tajemnicy. Ta sprawa jest bardzo podobna. I tu wielu niezwiązanych ze sobą ludzi gotowych jest przysiąc, że jedna kobieta była w tym samym czasie w dwóch różnych miejscach. Kto mówi prawdę?

— To chyba nietrudno odkryć?

— Tak się panu wydaje, ale ta kobieta, panna Carroll, naprawdę dobrze znała lady Edgware. Przebywała z nią w jednym domu i widziała ją dzień w dzień. Mało prawdopodobne, żeby się myliła.

— Wkrótce to sprawdzimy.

— Kto dziedziczy tytuł? — spytałem.

— Bratanek, kapitan Ronald Marsh. Jak słyszałem, to skończony łobuz.

— O której według lekarza nastąpił zgon? — zapytał Poirot.

— Musimy jeszcze poczekać na dokładny wynik sekcji zwłok. Rozumie pan, sprawdzić, gdzie w jelitach utknęła mu kolacja. — Z przykrością muszę powiedzieć, że sposób, w jaki Japp przedstawiał sprawy, był daleki od delikatności. — Ale wydaje się, że dziesiąta pasuje jak ulał. Ostatni raz widziano go żywego parę minut po dziewiątej, kiedy wstał od stołu, a lokaj zaniósł mu whisky z sodą do biblioteki. O jedenastej, kiedy służący szedł na górę spać, światło było zgaszone. Więc już wtedy musiał być martwy. Nie siedział by przecież po ciemku.

Poirot w zamyśleniu pokiwał głową. Chwilę później zajechaliśmy pod dom. Tym razem żaluzje były opuszczone.

Otworzył nam przystojny lokaj.

Japp objął prowadzenie i wszedł pierwszy. Ja i Poirot za nim Drzwi otwierały się w lewo, więc kamerdyner stał z tej właśnie strony przy ścianie. Poirot szedł po mojej prawej, a ponieważ jest niższy ode mnie, lokaj zauważył go dopiero, gdy znaleźliśmy się w holu. Stałem tuż obok i dzięki temu dosłyszałem, jak gwałtownie wciąga oddech. Popatrzyłem na niego ostro i odkryłem, że przypatruje się Poirotowi z wyraźnym przerażeniem. Zapamiętałem to sobie na wszelki wypadek.

Japp wmaszerował do jadalni, usytuowanej po prawej stronie i wezwał do siebie służącego.

— Słuchajcie, Alton, chcę jeszcze raz dokładnie to omówić. Była dziesiąta, kiedy przyszła pani Edgware?

— Milady? Tak, proszę pana.

— Jak pan ją rozpoznał? — włączył się Poirot.

— Podała mi swoje nazwisko, proszę pana, a poza tym widziałem jej zdjęcie w gazetach. Widziałem też, jak gra.

Poirot pokiwał głową.

— Jak była ubrana?

— Na czarno, proszę pana. Miała czarną suknię i mały czarny kapelusz. Do tego sznur pereł i szare rękawiczki.

Poirot rzucił pytające spojrzenie Jappowi.

— Biała suknia z tafty i szal z gronostajów — odparł zwięźle Japp. Lokaj odpowiadał na dalsze pytania. To, co mówił, pokrywało się dokładnie z informacjami, które inspektor przekazał nam wcześniej.

— Czy ktoś jeszcze przyszedł do twojego pana wczorajszego wieczoru? — zapytał Poirot.

— Nie.

— Czy frontowe drzwi były zamknięte na klucz?

— Mają zamek yale. Kiedy idę spać, zazwyczaj zasuwam zasuwę o jedenastej. Lecz wczoraj panna Geraldine była w operze, więc nie zaciągałem zasuw.

— A jak to wyglądało dziś rano?

— Drzwi były zamknięte na zasuwę, proszę pana. Zrobiła to pan na Geraldine po powrocie.

— O której wróciła?

— Myślę, że mniej więcej kwadrans przed dwunastą.

— Tak więc przez cały wieczór do za piętnaście dwunasta drzwi nie można było otworzyć z zewnątrz bez klucza? Od środka wystarczyło nacisnąć klamkę.

— Tak, proszę pana.

— Ile jest kluczy?

— Jego lordowska mość ma własny, a w szufladzie w holu leży drugi. Wzięła go panna Geraldine. Nie wiem, czy są jeszcze jakieś inne.

— Czy ktoś z domowników ma klucz?

— Nie, proszę pana. Panna Carroll zawsze dzwoni.

Poirot oświadczył, że to wszystko, o co chciał spytać, i poszliśmy na poszukiwanie sekretarki.

Znaleźliśmy ją przy dużym biurku, pochłoniętą pisaniem.

Panna Carroll okazała się sympatyczną, profesjonalnie wyglądającą kobietą w wieku czterdziestu pięciu lat. Miała jasne, siwiejące włosy. Nosiła binokle, zza których błysnęły ku nam bystre, niebieskie oczy. Kiedy się odezwała, rozpoznałem urzędowy, wyraźny głos osoby, z którą rozmawiałem przez telefon.

— Ach, pan Poirot — powiedziała, kiedy Japp nas przedstawił. — To z panami milord miał spotkać się wczoraj rano.

— W rzeczy samej, *mademoiselle*.

Pomyślałem, że wywarła na Poirocie korzystne wrażenie. Cóż, była uosobieniem schludności i precyzji.

— I co, inspektorze? Co jeszcze mogę dla pana zrobić? — spytała.

— Tylko jedno. Czy jest pani absolutnie pewna, że osobą, która przysła tu wczoraj, była lady Edgware?

— Pyta pan o to po raz trzeci. Oczywiście, że jestem pewna. Widziałam ją.

— Gdzie ją pani widziała, *mademoiselle*?

— W holu. Rozmawiała przez chwilę z lokajem, a potem poszła korytarzem i zniknęła w drzwiach

biblioteki.

— A gdzie pani stała?

— Na piętrze i patrzyłam na dół.

— Jest pani przekonana, że nie pomyliła się?

— Absolutnie. Wyraźnie widziałam jej twarz.

— Nie zwiódło panią podobieństwo?

— Na pewno nie. Twarz Jane Wilkinson jest niepowtarzalna. To była ona.

Japp skierował na Poirota wzrok, który mówił: sam pan widzi.

— Czy lord Edgware miał jakichś wrogów? — spytał nagle Poirot.

— Nonsens — odparła panna Carroll.

— Dlaczego „nonsens”, *mademoiselle*?

— Wrogów! W dzisiejszych czasach nikt nie ma wrogów. Nie w Anglii!

— A jednak lord Edgware został zamordowany.

— Przez swoją żonę — zauważyła panna Carroll.

— Żona nie jest wrogiem?

— Jestem przekonana że to, co się wydarzyło, jest zupełnie wyjątkowe. Nigdy nie słyszałam o podobnym zdarzeniu, to znaczy wśród ludzi naszej klasy.

Było jasne, że według panny Carroll morderstwa popełniają wyłącznie pijani przedstawiciele klas niższych.

— Ile jest kluczy do frontowych drzwi?

— Dwa — odparła błyskawicznie panna Carroll. — Lord Edgware zawsze nosi jeden przy sobie. Drugi leży w szufladzie w holu, tak b; mógł go wziąć każdy, kto planuje późny powrót. Był jeszcze trzeci ale zgubił go kapitan Marsh. Jest bardzo nierozważny.

— Czy kapitan Marsh często przychodził do domu?

— Mieszkał tu trzy lata temu.

— Dlaczego się wyprowadził? — spytał Japp.

— Nie wiem. Myślę, że nie mógł wytrzymać ze swoim wujem.

— Sądzę, że wie pani coś więcej, *mademoiselle* — rzekł łagodni Poirot.

Rzuciła mu ostre spojrzenie.

— Nie lubię plotek, panie Poirot.

— Lecz może pani powiedzieć nam, jak dalece prawdziwe są plotki dotyczące poważnego nieporozumienia pomiędzy lordem Edgware'em a jego bratankiem.

— Wcale nie było poważne. Lord Edgware był człowiekiem trudnym we współżyciu.

— Pani też tak uważała?

— Nie mówię o sobie. Między nami nigdy nie doszło do nieporozumień. Zawsze uważał, że można na mnie w pełni polegać.

— Lecz jeśli chodzi o kapitana Marsha...

Poirot uczepił się tematu, łagodnie nakłaniając ją do dalszych zwierzeń.

Panna Carroll wzruszyła ramionami.

— Był ekstrawagancki. Wpadł w długi. Do tego była jeszcze jakaś inna kłopotliwa sprawa, nie wiem dokładnie, jaka. Pokłócili się. Lord Edgware zabronił mu wstępu do domu. To wszystko.

Zacisnęła usta. Było oczywiste, że nie zamierza powiedzieć nic więcej.

Pokój, w którym toczyła się rozmowa, znajdował się na pierwszym piętrze. Kiedy wyszliśmy, Poirot wziął mnie pod rękę.

— Jedną chwilkę. Zostań tu, jeśli możesz, Hastings. Schodzę na dół z Jappem. Patrz uważnie, dopóki nie wejdziemy do biblioteki, a potem dołącz do nas.

Dawno temu zrezygnowałem z zadawania Poirotowi pytań zaczynających się od *dłaczego*. Jak w piosence lekkiej brygady: Nie mniej pytać *dłaczego*, ja mam walczyć lub zginąć. Choć na szczęście umieranie nie wchodziło, na razie, w grę. Pomyślałem, że może podejrzewa, że lokaj go szpieguje, i chce to sprawdzić.

Zająłem pozycję przy balustradzie. Poirot i Japp podeszli do frontowych drzwi i zniknęli z pola widzenia. Pojawili się ponownie, idąc wolno holem. Nie spuszczałem wzroku z ich pleców, póki nie weszli do biblioteki. Odczekałem chwilę na wypadek, gdyby pojawił się lokaj, lecz ponieważ nikt się nie pokazał, zbiegłem po schodach i dołączyłem do nich.

Ciało zostało już, oczywiście, usunięte. Zaciągnięto zasłony, paliło się elektryczne światło. Poirot i Japp stali na środku pokoju, rozglądając się wokół.

— Niczego tu nie znajdziemy — mówił Japp.

Na co Poirot odrzekł z uśmiechem:

— Niestety! Ani popiołu z papierosa, ani śladów stóp, damskiej rękawiczki, nawet zapachu perfum! Nic, co detektyw z powieści tak dogodnie dla siebie znajduje.

— W kryminałach policjant jest zawsze ślepy jak kret — dorzucił z grymasem Japp.

— Kiedyś znalazłem jedną wskazówkę — ciągnął w rozmarzeniu Poirot. — Lecz ponieważ liczyła sobie cztery stopy zamiast czterech centymetrów, nikt nie chciał mi uwierzyć.

Przypomniałem sobie wspomniane okoliczności i roześmiałem się. A potem powróciłem do mojej misji.

— Wszystko w porządku, Poirot — powiedziałem. — Patrzyłem uważnie, ale nikt cię nie śledził.

— Mój przyjaciel Hastings patrzył uważnie — powiedział Poirot z łagodną kpina. — Powiedz mi, mój drogi, czy dostrzegłeś różę w moich zębach?

— Różę w twoich zębach? — spytałem zaskoczony.

Japp odwrócił się, wybuchając śmiechem.

— Kiedyś przez pana umrę, Poirot — powiedział. — Umrę ze śmiechu. Róża! Co jeszcze?

— Miałem ochotę odegrać Carmen — powiedział niezmiuszony Poirot.

Zastanawiałem się, czy to oni oszaleli, czy ja.

— Nie zauważyłeś, Hastings? — spytał Poirot z wyrzutem.

— Nie — odparłem, gapiąc się na niego. — Ale przecież nie widziałem twojej twarzy.

— Nie szkodzi. — Pokręcił łagodnie głową. Czy naśmiewają się ze mnie?

— Cóż, nic tu po nas — powiedział Japp. — Chciałbym, jeśli to możliwe, jeszcze raz zobaczyć się z córką. Poprzednio była zbyt zdenerwowana, bym cokolwiek z niej wyciągnął. Zadzwonił po lokaja. — Spytajcie pannę Marsh, czy mogę się z nią spotkać na chwilę.

Mężczyzna odszedł. W kilka minut później do pokoju wszedł jednak nie on, lecz panna Carroll.

— Geraldine śpi — powiedziała. — Przeżyła potworny szok, biedne dziecko. Po pana wyjściu podałam jej coś na sen i teraz jej nie obudzę. Może za godzinę lub dwie.

Japp przystał na to.

— Zresztą i tak nie powie wam więcej niż ja — oznajmiła stanowczo panna Carroll.

— Co pani sądzi o lokaju? — spytał Poirot.

— Nie przepadam za nim, to fakt — odparła panna Carroll. — nie potrafię jednak wyjaśnić, dlaczego.

Dotarliśmy do frontowych drzwi.

— To tu stała pani wczorajszej nocy, prawda? — spytał nagle Poirot, wskazując ręką schody.

— Tak. Dlaczego...?

— I widziała pani, jak lady Edgware idzie hołem do gabinetu?

— Tak.

— Wyraźnie widziała pani jej twarz?

— Oczywiście.

— Ale pani nie mogła widzieć jej twarzy, *mademoiselle*. Z miejsca, w którym pani stała, mogła pani zobaczyć jedynie tył jej głowy.

Panna Carroll zaczerwieniła się ze złości. Wyglądała na zaskoczoną.

— Tył jej głowy, jej głos, sposób chodzenia! To to samo. Nie do pomylenia! Mówię, że wiem, że to była Jane Wilkinson — najgorsza kobieta, jaka kiedykolwiek istniała.

Odwróciła się i żwawo ruszyła na górę.

VIII

Możliwości

Japp musiał nas opuścić. Razem z Poirotem skręciliśmy w stronę Regent's Park i znaleźliśmy ustronne miejsce.

— Teraz rozumiem, dlaczego trzymałeś różę w zębach — powiedziałem ze śmiechem. — Przez chwilę podejrzewałem, że zwariowałeś.

Skinął głową z powagą.

— Zauważyłeś, Hastings, że sekretarka jest niebezpiecznym świadkiem? Niebezpiecznym, ponieważ niedokładnym. Pamiętasz, twierdziła stanowczo, że widziała twarz gościa. Od razu uznałem to za niemożliwe. Gdyby wychodził z gabinetu — tak, byłoby to możliwe, lecz nie wtedy, gdy wchodził. Więc przeprowadziłem mały eksperyment i wynik był taki, jak myślałem. Potem zastawiłem na nią pułapkę. Natychmiast zmieniła argumentację.

— Lecz nie swoje przekonania — sprzeciwiłem się. — Poza tym głos sposób poruszania się są równie charakterystyczne.

— Nie, nie.

— Dlaczego, Poirot? Uważam, że głos i chód najbardziej charakteryzują daną osobę.

— Zgoda. I dlatego najłatwiej je naśladować.

— Myślisz, że...

— Cofnij się pamięcią kilka dni. Pamiętasz, jak siedzieliśmy w teatrze...

— Carlotta Adams? No tak, ale ona jest geniuszem.

— Nietrudno naśladować kogoś znanego. Jednak zgadzam się, że na niezwykle talent. Sądzę, że potrafiłaby zrobić to samo bez pomocy oświetlenia...

Nagle zaświtała mi w głowie pewna myśl.

— Poirot! — wykrzyknąłem. — Nie przypuszczasz chyba, że... Nie, nie, to byłby za duży zbieg okoliczności.

— To zależy, jak na to spojrzysz. Pod pewnym kątem to wcale nie tylko zbieg okoliczności.

— Lecz dlaczego Carlotta Adams miałaby zabijać lorda Edgware'a? Nawet go nie znała.

— Skąd wiesz, że go nie znała? Nie zakładaj niczego z góry, Hastings. Może łączyło ich coś, o czym nie mamy pojęcia. Chociaż nie taka dokładnie jest moja teoria.

— Więc masz jakąś teorię?

— Tak. Możliwość, że Carlotta Adams zamieszana jest w całą sprawę, uderzyła mnie już na samym początku.

— Ale...

— Poczekaj. Pozwól, że zestawię kilka faktów. Lady Edgware nie potrafiąca zachować powściągliwości, opisuje związek łączący ją z mężem, posuwa się nawet do mówienia o zabiciu go. Nie tylko my to słyszeliśmy. Także kelner, pokojówka — i to prawdopodobnie wielokrotnie, Bryan Martin, sądzę, że nawet Carlotta Adams. Powtarza ją to innym. Tego samego wieczoru omawiamy doskonałość, z jaką Carlotta Adams naśladowała Jane. Kto miał motyw, by zabić lorda Edgware'a? Jego żona.

Przypuśćmy, że ktoś jeszcze pragnie usunąć lorda Edgware'a. I oto ma pod ręką kozła ofiarnego. W dniu, kiedy Jane Wilkinson obwieszcza, że boli ją głowa i zamierza spędzić spokojny wieczór plan zostaje wprowadzony w życie.

Ktoś musi widzieć, jak lady Edgware wchodzi do domu przy Regent Gate. I widzi. Kobieta posuwa się nawet do tego, by podać swoje nazwisko. Ach! *C'est peu trop, ça!* Obudziłoby podejrzenia nawet w dziecku.

Kolejny punkt, choć przyznaję, że nie najistotniejszy. Kobieta która przyszła wczoraj do domu, była ubrana na czarno. A Jane Wilkinson nigdy nie ubiera się na czarno. Słyszeliśmy, jak to mówiła. Załóżmy zatem, że osobą, która zjawiała się wczoraj na Regent Gate nie była Jane Wilkinson — lecz jedynie kobieta, która ją udawała. Czy to ona zabiła lorda Edgware'a?

Czy może ktoś trzeci wszedł do środka i go zabił? Jeśli tak, to czy zrobił to przed, czy po wizycie lady Edgware? Jeśli po, co ta kobieta powiedziała milordowi? Jak wyjaśniła swoją obecność? Mogła oszukać lokaja, który jej nie znał, i sekretarkę, która nie widziała jej z bliska. Nie mogła jednak liczyć na to, że oszuka me za. A może w pokoju leżało tylko martwe ciało? Czy lord Edgware został zabity, zanim weszła do domu? Gdzieś między dziewiątą a dziesiątą?

— Stop, Poirot! — zawołałem. — Kręci mi się w głowie.

— Nie, nie, mój drogi. Na razie jedynie rozważamy możliwości, To jak przymierzanie ubrań. Czy pasują? Nie, rękaw się marszczy, A to? Tak, to jest lepsze, ale nie dość duże. A tamto jest za małe, I tak dalej, póki nie dotrzemy do idealnego stroju — do prawdy.

— Kogo podejrzewasz o tak szatański plan? — spytałem.

— Za wcześnie, by to powiedzieć. Najpierw trzeba rozważyć pytanie: kto miał powód, by życzyć lordowi Edgware'owi śmierci? Jest oczywiście bratanek, który po nim dziedziczy. Choć to trochę zbyt oczywiste. Mimo zdecydowanego oświadczenia panny Carroll, pozostaje kwestia wrogów.

Odebrałem lorda Edgware'a jako człowieka, który łatwo ich sobie przysparza.

— Tak — zgodziłem się. — Tak jest w istocie.

— Ktokolwiek to był, musiał czuć się zupełnie bezpiecznie. Pamiętaj, Hastings, że gdyby nie zmiana zdania w ostatniej chwili, Jane Wilkinson nie miałyby żadnego alibi. Mogłyby zostać w apartamencie w Savoyu, a to trudno udowodnić. Zostałyby aresztowana, osądzona... prawdopodobnie powieszona.

Wzdrygnąłem się.

— Jedno mnie zaskakuje — ciągnął Poirot. — Pragnienie, by ją obciążyć, jest jasne. Lecz w takim razie po co ten telefon? Dlaczego ktoś zadzwonił do niej do Chiswick i, upewniwszy się co do jej obecności, natychmiast się rozłączył? Zupełnie jakby chciał się upewnić, że tam jest, zanim przystąpi do... czego? Dzwoniono o dziewiątej trzydzieści, prawie na pewno przed popełnieniem morderstwa. To wskazuje na... nie ma na to innego słowa — życzliwie intencje. Nie mógł dzwonić morderca. On zaplanował wszystko tak, by obciążyć Jane. W takim razie, kto to był? Najwyraźniej mamy tu dwie zupełnie odmienne sprawy.

Potrząsnąłem głową, kompletnie zagubiony.

— Może to czysty zbieg okoliczności? — podsunąłem.

— Nie, nie, nie wszystko może być zbiegiem okoliczności. Sześć miesięcy temu przechwycono list. Dlaczego? Zbyt wiele jest tu rzeczy niewyjaśnionych. Musi być coś, co je wszystkie łączy.

Westchnął. Po chwili podjął:

— Ta historia, z którą przyszedł do nas Bryan Martin...

— To, Poirot, na pewno nie ma związku z morderstwem.

— Jesteś ślepy, Hastings, ślepy i rozmyślnie tępy. Nie widzisz, że całość układa się w jeden wzór? Obecnie jeszcze niespójny, ale z czasem stanie się jasny...

Miałem wrażenie, że Poirot jest zbytnim optymistą. Nie czułem, żeby cokolwiek miało stać się kiedykolwiek jasne. W mojej głowie panował zamęt.

— To bez sensu — rzuciłem gwałtownie. — Nie uwierzę, że zrobiła to Carlotta Adams. Wydawała się tak... cóż, tak do szpiku kości miła.

A jednak mówiąc to, pamiętałem słowa Poirota o miłości do pieniędzy. Miłość do pieniędzy — czy to właśnie leżało u podstaw pozornie niezrozumiałej sprawy? Czułem, że tej nocy Poirot miał natchnienie. Widział Jane w niebezpieczeństwie wynikłym z jej egoistycznego charakteru. Widział Carlottę zbaczającą z prostej drogi przez chciwość.

— Nie uważam, że to ona popełniła morderstwo, Hastings. Na to jest zbyt chłodna i rozważna.

Możliwe, że nawet nie wiedziała, że zostanie popełniona zbrodnia. Może jest niewinna, może ją tylko wykorzystano. Lecz w takim razie... — Urwał i zmarszczył brwi. — W takim razie teraz jest tylko niewygodnym rekwizytem. Przeczyta dzisiejszą gazetę i uświadomi sobie... — Z jego piersi wyrwał się ochryply okrzyk. — Szybko, Hastings. Szybko! Byłem ślepy. Głupi. Taksówka. Natychmiast.

Patrzyłem na niego. Zamachał rękoma.

— Taksówka! Natychmiast.

Akurat mijała nas taksówka. Zatrzymał ją i wskoczyliśmy do środka.

— Znasz jej adres?

— Mówisz o Carlocie Adams?

— *Mais oui, mais oui.* Szybko, Hastings, szybko. Każda minuta jest cenna. Nie rozumiesz tego?

— Nie — odparłem — nie rozumiem.

Poirot zaklął pod nosem.

— Książka telefoniczna? Nie, tam jej nie będzie. Teatr.

W teatrze nie chcieli podać nam adresu Carlotty, lecz Poirotowi udało się ich przekonać. Mieszkała w budynku niedaleko Sloane Road. Pojechaliśmy tam, a Poirot gorączkował się i niecierpliwił.

— Żebym się tylko nie spóźnił, Hastings. Żebym się tylko nie spóźnił.

— Po co cały ten pośpiech? Nie rozumiem. Co to ma znaczyć?

— To znaczy, że byłem zbyt powolny. Za późno uświadomiłem sobie to, co oczywiste. Ach! Mon Dieu, obyśmy tylko zdążyli na czas.

IX

Druga śmierć

Chociaż nie rozumiałem przyczyn niepokoju Poirota, znałem go dostatecznie dobrze, by być pewnym, że jego obawy są uzasadnione.

Dotarliśmy do Rosedew Mansions, Poirot wyskoczył, zapłacił kierowcy i pośpieszył do domu. Mieszkanie panny Adams znajdowało się na pierwszym piętrze, o czym dowiedzieliśmy się z wizytówki przypiętej do tablicy.

Nie czekając na windę zjeżdżającą z wyższego piętra, Poirot popędził na górę schodami.

Zapukał i zadzwonił. Przez chwilę nic się nie działo, a potem otworzyła nam schludnie ubrana kobieta w średnim wieku, z włosami zaczesanymi gładko do tyłu. Miała zaczerwienione jak od płaczu oczy.

— Czy jest panna Adams? — rzucił niecierpliwie Poirot. Kobieta spojrzała na niego.

— Nic pan nie słyszał?

— Czego nie słyszałem?

Jego twarz zbladła śmiertelnie i uświadomiłem sobie, że cokolwiek się stało, właśnie tego się obawiał. Kobieta powoli potrząsnęła głową.

— Nie żyje. Odeszła we śnie. To straszne. Poirot oparł się o framugę.

— Za późno — mruknął.

Jego poruszenie było tak wyraźne, że kobieta przyjrzała mu się uważniej.

— Proszę mi wybaczyć, ale czy jest pan jednym z jej przyjaciół?

Chyba nie widziałam tu pana wcześniej. Poirot nie odpowiedział wprost.

— Rozmawiała pani z lekarzem? Co powiedział? — zapytał.

— Przedawkowała środki nasenne. Och, jaka szkoda! Taka miła młoda dama. Te proszki są naprawdę niebezpieczne. Lekarz mówił, że to był weronal.

Poirot wyprostował się raptownie. Odzyskał zwykłą sobie władczość.

— Muszę wejść do środka — oświadczył.

Kobieta najwyraźniej nabrała wątpliwości.

— Nie sędzę... — zaczęła.

Lecz Poirot zamierzał postawić na swoim. Obrął prawdopodobnie jedyną metodę, jaka mogła przynieść pożądany rezultat.

— Musi mnie pani wpuścić — powiedział. — Jestem detektywem i muszę zbadać okoliczności śmierci pani chlebowodziny.

Kobieta odetchnęła gwałtownie. Usunęła się na bok. Weszliśmy do mieszkania.

Od tej chwili Poirot przejął kontrolę nad sytuacją.

— To, co powiedziałem — zaczął autorytatywnie — jest ściśle poufne. Nie wolno tego powtarzać. Wszyscy powinni nadal uważać, że śmierć panny Adams była wypadkiem. Proszę podać mi nazwisko i adres lekarza, którego pani wezwała.

— Doktor Heath, Carlisle Street siedemnaście.

— A pani nazwisko?

— Bennett, Alice Bennett.

— Widzę, że była pani przywiązana do panny Adams.

— O tak, proszę pana. To taka miła panienka. Pracowałam dla niej również rok temu, gdy tu mieszkała. Nie zachowywała się tak jak inne aktorki. To prawdziwa dama. Miała gust i chciała, żeby wszystko było odpowiednio przygotowane.

Poirot słuchał z uwagą i współczuciem. Nie okazywał ani śladu zniecierpliwienia. Zdałem sobie sprawę, że łagodność była najlepszym sposobem na wydobywanie informacji, jakich szukał.

— To musiał być dla pani ogromny szok — zauważył ciepło.

— O tak, proszę pana. Zaniiosłam jej herbatę jak zwykle o wpół do dziesiątej. Leżała na łóżku i pomyślałam, że pewnie śpi. Postawiłam tacę. Odsunęłam zasłony. Jedna żabka zacięła się, więc musiałam mocno szarpnąć. Ależ hałasu narobiłam! Obejrzałam się i zdziwiłam, że jej nie obudziłam. A potem nagle coś mnie tknęło. Leżała nie całkiem naturalnie. Podeszłam z boku do łóżka i dotknęłam jej ręki. Była zimna jak lód, proszę pana. Aż krzyknęłam.

Urwała, do oczu napłynęły jej łzy.

— Tak, tak — rzucił ze współczuciem Poirot. — To musiało być dla pani straszne. Czy panna Adams często brała środki nasenne?

— Czasami łykała coś od bólu głowy, proszę pana. Takie małe tabletki we flakoniku. Ale

zeszłej nocy wzięła coś innego, tak przynajmniej powiedział lekarz.

— Czy ktoś odwiedził ją wczoraj wieczorem? Miała jakichś gości?

— Nie, proszę pana. Wychodziła wieczorem.

— Czy mówiła pani, dokąd idzie?

— Nie, proszę pana. Wyszła gdzieś koło siódmej.

— Aha! Jak była ubrana?

— W czarną sukienkę, proszę pana. W czarną sukienkę i czarny kapelusz.

Poirot zerknął na mnie.

— Miała jakąś biżuterię?

— Tylko sznur pereł, które zawsze nosiła.

— A rękawiczki? Szare rękawiczki?

— Tak, proszę pana. Włożyła szare rękawiczki.

— Aha! A teraz proszę mi opisać, jak się zachowywała. Była wesoła? Podniecona? Smutna? Zdenerwowana?

— Zdaje mi się, że cieszyła się na coś. Cały czas uśmiechała się do siebie, jakby szykowała jakiś żart.

— O której wróciła?

— Tuż po północy, proszę pana.

— I jak zachowywała się wtedy? Tak samo?

— Była okropnie zmęczona.

— Ale nie zdenerwowana? Lub zmartwiona?

— Och nie, proszę pana. Myślę, że cieszyła się z czegoś, tylko była wykończona, jeśli mnie pan rozumie. Zaczęła dzwonić do kogoś, a potem powiedziała, że nie ma na to sił i że zrobi to rano.

— Ach! — Oczy Poirota rozblęły z podniecenia. Pochylił się i rzucił pozornie obojętnym tonem:

— Słyszała pani nazwisko osoby, do której dzwoniła?

— Nie, proszę pana. Poprosiła telefonistkę o numer, czekała, a potem centrala musiała

powiedzieć: „Łączę”, tak jak to oni mówią. Panna Adams powiedziała: „W porządku”, a potem raptem ziewnęła i dodała: „Och, nie mam na to sił. Jestem zbyt zmęczona”. Odłożyła słuchawkę i zaczęła się rozbierać.

— A pod jaki numer dzwoniła? Przypomina pani sobie? Proszę pomyśleć. To może być ważne.

— Przykro mi, nie pamiętam. To było gdzieś na Victoria Street, to wszystko, co pamiętam. Rozumie pan, nie zwróciłam na to szczególnej uwagi.

— Czy zjadła lub wypła coś przed snem?

— Szklanekę gorącego mleka, jak zawsze.

— Kto je przygotował?

— Ja, proszę pana.

— I nikt nie wchodził do mieszkania?

— Nikt, proszę pana.

— A wcześniej?

— Nie przypominam sobie, żeby ktoś wchodził. Panna Adams jadła lunch i podwieczorek na mieście. Wróciła o szóstej.

— Kiedy dostarczono mleko? To, które piła zeszłej nocy?

— To było świeże mleko. Z popołudniowej dostawy. Chłopak od mleczarza zostawia je pod drzwiami o czwartej. Och! Ale proszę pana, ja jestem pewna, że z mlekiem było wszystko w porządku. Sama piłam je do herbaty dziś rano. A doktor powiedział, że na pewno wzięła to paskudztwo na sen.

— Mogę się mylić. Tak, mogę się zupełnie mylić. Zobaczę się z lekarzem. Powinna pani wiedzieć, czy panna Adams miała wrogów. W Ameryce jest zupełnie inaczej... — Zawahał się, lecz pocziwa Alice złapała się na haczyk.

— Och, ja to wiem, proszę pana. Czytałam o Chicago i rewolwerowcach. To musi być podły kraj. Nie mam pojęcia, co robi tamtejsza policja. Nie to, co nasza.

Poirot z wdzięcznością przerwał temat w tym miejscu, zdając sobie sprawę, że umysłowe ograniczenie Alice Bennett oszczędza mu trudu wyjaśnień.

Jego wzrok padł na leżącą na krześle niewielką walizkę, a właściwie kuferek.

— Czy panna Adams wzięła to ze sobą, wychodząc wczorajszej nocy?

— Zabrała go rano, proszę pana. Na herbatę wróciła bez kuferka, ale przyniosła go, gdy wróciła po raz ostatni.

— Ach! Pozwoli pani, że go otworzę?

Alice Bennett pozwoliłaby na wszystko. Podobnie jak większość ostrożnych i podejrzliwych kobiet, kiedy raz pozbyła się nieufności, pozwalała manipulować sobą jak dziecko. Zgodziłaby się na każdą propozycję Poirota.

Kuferek nie był zamknięty na klucz. Podeszedłem i zerknąłem nad ramieniem Poirota.

— Widzisz, Hastings? Widzisz to? — mruczał podniecony. Na pewno zawartość była znacząca.

Leżało tam pudełko z przyborami do makijażu, dwa przedmioty, które rozpoznałem jako korki wkładane do butów, by zwiększyć wzrost o jakiś cal, poza tym para szarych rękawiczek i, owinięta w bibułę, doskonale zrobiona peruka, dokładnie w odcieniu złotych włosów Jane Wilkinson, uczesana w jej stylu, z przedziałkiem na środku i lokami z tyłu.

— Czy masz jeszcze jakieś wątpliwości, Hastings? — spytał Poirot. Miałem do tej pory, lecz teraz nie mogłem dłużej wątpić. Poirot na powrót zamknął kuferek i zwrócił się do służącej.

— Nie wie pani, z kim panna Adams jadła wczoraj kolację?

— Nie, proszę pana.

— A z kim jadła lunch lub podwieczorek?

— O podwieczorku nic nie wiem. A lunch jadła z panną Driver.

— Z panną Driver? Kto to jest?

— To jej bliska przyjaciółka. Ma sklep z kapeluszami na Moffat Street, zaraz za Bond Street. Nazywa się Genevieve.

Poirot zapisał adres w notesie, tuż pod adresem lekarza.

— Jeszcze jedno, *madame*. Czy przypomina sobie pani, żeby *mademoiselle* Adams mówiła lub robiła po swoim powrocie o szóstej coś, co odebrała pani jako niezwykle lub w jakiś sposób ważne?

Pokojówka myślała przez chwilę.

— Nie mogę powiedzieć, proszę pana — odezwała się wreszcie. — Spytałam ją, czy chce herbatę, a ona odpowiedziała, że już piła.

— Och, więc powiedziała, że już piła — przerwał jej Poirot. — Pardon. Proszę mówić dalej.

— A potem pisała listy, póki nie wyszła.

— Listy... Nie wie pani, do kogo?

— Wiem, proszę pana. Właściwie to był tylko jeden list, do siostry w Waszyngtonie. Pisywała do niej regularnie dwa razy w tygodniu. Zabrała go ze sobą, by wysłać najbliższą pocztą. Ale zapomniała.

— Więc jest tu nadal?

— Nie, proszę pana. Sama go wysłałam. Przypomniała sobie o nim wczoraj, gdy kładła się spać. Powiedziałam, że pobiegnę go wysłać. Wystarczy nakleić dodatkowy znaczek i nadać w specjalnym okienku.

— Aha! A czy poczta jest daleko stąd?

— Nie, proszę pana, tuż za rogiem.

— Czy wychodząc, zamknęła pani za sobą drzwi?

Pani Bennett wytrzeszczyła oczy.

— Nie, proszę pana. Zostawiłam uchylone... jak zawsze, gdy biegnę na pocztę.

Poirot zamierzał coś powiedzieć, ale powstrzymał się.

— Chce pan na nią spojrzeć? — spytała bliska płaczu pokojówka. — Wygląda naprawdę ślicznie.

Poszliśmy za nią do sypialni.

Carlotta Adams wydawała się dziwnie spokojna i o wiele młodsza niż tamtej nocy w Savoyu. Przypominała śpiące, zmęczone dziecko.

Kiedy Poirot stanął i spojrzął na nią, na jego twarzy pojawił się dziwny wyraz. Zobaczyłem, że się przeżegnał.

— *J'ai fait un sermen*, Hastings — powiedział, gdy schodziliśmy po schodach.

Nie spytałem, co takiego przysiągł. Domyślałem się.

Chwilę później odezwał się:

— Przynajmniej jedno mam z głowy. Nie mogłem jej uratować. Gdy dowiedziałem się o śmierci lorda Edware'a, ona już nie żyła. To mnie pociesza. I to bardzo.

X

Jenny Driver

Naszym następnym ruchem była wizyta u lekarza, którego adres podała nam pokojówka.

Okazał się zrzedliwym, dość roztargnionym staruszkciem. Znał Poirota ze słyszenia i żywo wyraził radość ze spotkania.

— Co mogę dla pana zrobić, panie Poirot? — spytał po wstępnych powitaniach.

— Wezwano pana dziś rano, *monsieur le docteur*, do panny Carlotty Adams.

— A tak. Biedaczka. Zdolna z niej była aktorka. Dwa razy wybrałem się na jej występ. Po tysiąckroć szkoda, że tak się to skończyło. Nie rozumiem, po co tym dziewczynom narkotyki.

— Uważa pan, że była narkomanką?

— Nie mam medycznych dowodów. Na pewno nie robiła sobie zastrzyków, nie znalazłem śladów po igle. Musiała brać je doustnie. Pokojówka twierdzi, że miała dobry sen, ale służba nigdy nic nie wie. Nie przypuszczam, że zażywała weronal co noc, ale z pewnością łykała go od jakiegoś czasu.

— Dlaczego tak pan uważa?

— To... niech to, gdzie ja to położyłem? Zajrzał do swojej walizeczki.

— A! Tu jest.

Wyciągnął niewielką, czarną torebkę z marokinu.

— Oczywiście, śledztwo odbędzie się tak czy inaczej. Zabrałem to ze sobą, żeby pokojówka nie zniszczyła dowodu.

Otworzył torebkę i wyjął z niej małe złote puzderko. Na wieczku widniały wysadzone rubinami inicjały C.A. Było to drogie cacko. Lekarz otworzył pudełko. Niemal w całości wypełniał je biały proszek.

— To weronal — wyjaśnił krótko. — Proszę spojrzeć, co napisano w środku.

Na wewnętrznej stronie wieczka wygrawerowano:

„Dla C. A. od D. Paryż, 10 listopada. Słodkich snów”.

— Dziesiąty listopada — powtórzył w zamyśleniu Poirot.

— Właśnie, a teraz mamy czerwiec. To oznacza, że miała zwyczaj zażywać ten środek od co najmniej sześciu miesięcy. A ponieważ nie wygrawerowano pełnej daty, może chodzić nawet o półtora lub dwa i pół roku — jeśli nie więcej.

— Paryż, D. — powtarzał Poirot ze zmarszczonym czołem.

— Tak. Czy to coś panu mówi? Przy okazji, nie spytałem o pańską rolę w tej sprawie. Najwyraźniej jest pan świetnie zorientowany. Zapewne chce pan wiedzieć, czy nie chodzi o samobójstwo? Cóż, ja panu tego nie powiem. Nikt tego nie powie. Według słów pokojówki wczoraj dziewczyna była w bardzo dobrym humorze. To wskazywałoby na wypadek i według mnie tak właśnie jest. Weronal to lek bardzo zdradliwy. Można zażyć sporą ilość i przeżyć, można wziąć niewiele i umrzeć. Dlatego jest tak niebezpieczny. Nie mam najmniejszych wątpliwości, że w śledztwie uznają to za zgon na skutek wypadku. Obawiam się, że więcej nie mogę panu pomóc.

— Czy mogę przejrzeć torebkę *mademoiselle*?

— Ależ oczywiście, oczywiście.

Poirot wysypał całą zawartość na stół. Składały się na nią delikatna chusteczka z inicjałami C.M.A. w rogu, puszek do pudru, szminka, banknot jednofuntowy i trochę drobnych oraz para binokli.

Ten ostatni przedmiot obejrzał z zainteresowaniem. Okulary, oprawione w złotą ramkę, były dość proste i akademickie w stylu.

— Ciekawe — powiedział głośno. — Nie wiedziałem, że panna Adams nosiła okulary. A może służą do czytania?

Lekarz wziął je do ręki.

— Nie, to szkła dla krótkowidzów — stwierdził. — Są bardzo silne. Osoba, która je nosi, musi mieć dużą wadę wzroku.

— Zapewne nie wie pan, czy panna Adams...

— Nigdy nie była moją pacjentką. Do jej domu zostałem wezwany tylko raz, aby zbadać zraniony palec pokojówki. Panna Adams, którą widziałem wówczas przez chwilę, na pewno nie nosiła szkieł.

Poirot podziękował mu i wyszliśmy.

Na twarzy mojego przyjaciela malowało się zdziwienie.

— Być może jednak się mylę — przyznał.

— Nie przebrała się za Jane Wilkinson?

— Nie, nie. Jak dla mnie, to zostało już dowiedzione. Nie, chodzi mi o jej śmierć. Oczywiście, że weronal należał do niej. Możliwe, że zeszłej nocy była zmęczona i wyczerpana, więc postanowiła

zapewnić sobie porządną odpoczynek.

Nagle zatrzymał się ku zaskoczeniu innych przechodniów i zaczął mocno uderzać dłońią w dłoń.

— Nie, nie, nie, nie! — powtarzał z naciskiem. — Dlaczego ten wypadek zdarzył się w tak dogodnej chwili? Bo to nie był wypadek. I nie samobójstwo. Nie, odegrawszy swoją rolę, podpisała na siebie wyrok śmierci. Wybrano weronał dlatego, że ktoś wiedział, iż czasem go zażywa i że ma to puderko. W takim jednak razie mordercą musi być ktoś, kto dobrze ją znał. Kim jest D., Hastings? Dałbym wiele, żeby się tego dowiedzieć.

— Poirot — odezwałem się, ponieważ znów pogrążył się w myślach — może lepiej chodźmy dalej? Wszyscy się na nas gapią.

— Co? Ach, może i masz rację. Chociaż nie przeszkadza mi, że ktoś się na mnie gapi. W najmniejszym stopniu nie zakłóca to toku moich myśli.

— Zaczynali się już podśmiewać — mruknąłem.

— To bez znaczenia.

Nie całkiem się zgadzałem. Przeraza mnie robienie czegokolwiek, co zwraca uwagę. Natomiast jedyną rzeczą, którą przejmuje się Poirot, jest to, jak na jego słynne wąsy może podziałać upał lub wilgoć.

— Weźmiemy taksówkę — postanowił mój przyjaciel, machając laską.

Samochód zatrzymał się przy nas i Poirot polecił kierowcy jechać do Genevieve przy Moffat Street.

Genevieve okazała się jednym z tych sklepików, w których na wystawie leży jeden nijaki kapelusz i szalik, a prawdziwe centrum operacyjne znajduje się na piętrze, gdzie dociera się po cuchnących stęchlizną schodach.

Wspięliśmy się po nich i stanęliśmy przed drzwiami z plakietką: „Genevieve. Proszę wejść”. Spełniwszy to polecenie, znaleźliśmy się w małym pokoju wypełnionym kapeluszami. Jednocześnie podeszło ku nam imponujące stworzenie o blond włosach, zerkając podejrzliwie na Poirota.

— Panna Driver? — spytał detektyw.

— Nie wiem, czy *madame* może się z panami zobaczyć. O co chodzi?

— Proszę przekazać panie Driver, że chciałby z nią porozmawiać przyjaciel panny Adams.

Jasnowłosa piękność nie musiała przekazywać tej informacji. Czarna zamszowa zasłona gwałtownie się odsunęła, a zza niej wyłoniła się mała, żywa postać o ogniste rudych włosach.

— O co chodzi? — zapytała.

— Czy pani nazywa się Driver?

— Tak. O co chodzi z Carlottą?

— Słyszała pani o tragedii?

— Jakiej tragedii?

— Panna Adams zmarła wczoraj we śnie. Przedawkowała weronal.

Dziewczyna wytrzeszczyła oczy.

— Okropne! — wykrzyknęła. — Biedna Carlotta. Trudno mi w to uwierzyć. Przecież wczoraj była pełna życia.

— Niemniej to prawda, *mademoiselle*. Dochodzi właśnie pierwsza. Chciałbym, by wyświadczyła mi pani uprzejmość i zjadła lunch ze mną i z moim przyjacielem. Muszę zadać pani kilka pytań.

Dziewczyna zmierzyła go wzrokiem. Była drobną, energiczną osobką i w jakiś sposób przypominała mi teriera.

— Kim pan jest? — zapytała ostro.

— Nazywam się Herkułes Poirot. A to mój przyjaciel kapitan Hastings.

Ukloniłem się.

Jej oczy wędrowały od Poirota do mnie i z powrotem.

— Słyszałam o panu — rzuciła gwałtownie. — Pójdę z wami. Zawołała do blondynki:

— Dorothy!

— Tak, Jenny?

— Pani Lester przyjdzie w sprawie modelu Rose Descartes, który dla niej robimy. Wypróbuj różne pióra. Cześć. Pewnie zaraz wrócę.

Wzięła czarny kapelusik, przekrzywiła go nad uchem, energicznie przypudrowała sobie nos i spojrzała na Poirota.

— Gotowa — rzuciła krótko.

Pięć minut później siedzieliśmy w małej restauracji przy Dover Street. Poirot złożył zamówienie i kelner przyniósł koktajle.

— A teraz chcę wiedzieć, co to wszystko znaczy — zażądała Jenny Driver. — W co Carlotta była zamieszana?

— A była w coś zamieszana, *mademoiselle*?

— Kto zadaje pytania, pan czy ja?

— Sądziłem, że ja — odparł Poirot z uśmiechem. — Dano mi do zrozumienia, że pani i Carlotta byłyście bliskimi przyjaciółkami.

— Zgadza się.

— *Eh bien*, w takim razie proszę, by przyjęła pani moje szczere zapewnienie, że to, co robię, robię w interesie pani zmarłej przyjaciółki. Zapewniam panią, że tak jest.

Zapadła cisza, kiedy panna Driver rozważała jego prośbę. Na koniec energicznie skinęła głową na zgodę.

— Wierzę panu. Proszę przystąpić do rzeczy. Co chce pan wiedzieć?

— O ile wiem, jadła pani wczoraj lunch z przyjaciółką?

— Tak.

— Czy mówiła pani o swoich planach na wieczór?

— Nie mówiła dokładnie o wczorajszym wieczorze.

— Ale coś mówiła?

— Wspomniała o czymś, o co być może panu chodzi. Proszę pamiętać, że powiedziała mi o tym w tajemnicy.

— To zrozumiałe.

— Niech się zastanowię. Chyba będzie lepiej, jeśli wyjaśnię to własnymi słowami.

— Bardzo proszę, *mademoiselle*.

— Carlotta była podniecona. Nieczęsto się to jej zdarza. To nie ten typ. Nie powiedziała mi nic konkretnego, obiecała to komuś, ale w coś się wplątała. Jak zrozumiałam, chodziło o jakiś kawał na dużą skalę.

— Kawał?

— Tak to nazwała. Nie mówiła jaki, gdzie i kiedy. Tylko... — Urwała i zmarszczyła czoło. — Widzi pan, Carlotta nie należy do osób, które lubią dowcipy czy kawały. To poważna, zrównoważona, ciężko pracująca dziewczyna. Rzecz w tym, że ktoś musiał ją do tego namówić. Pomyślałam... choć ona nic takiego nie powiedziała...

— Tak, rozumiem. Co pani pomyślała?

— Wydawało mi się, a nawet byłam pewna, że w grę wchodzi pieniądze. Tak naprawdę nic oprócz pieniędzy nie podniecało Carlotty. Taką już miała naturę. Świetna głowa do interesów, jedna z najlepszych, jakie widziałam. Nie byłaby tak podekscytowana ani wesoła, gdyby nie chodziło o pieniądze, i to ‘duże. Miałam wrażenie, że podjęła się czegoś, bo się założyła, i była zupełnie pewna wygranej. Choć to nie cała prawda. Carlotta nie zakładała się. Nigdy nie widziałam, żeby to robiła. W każdym razie musiało chodzić o pieniądze.

— Nie powiedziała tego dokładnie?

— Nnnie... Tylko że w najbliższej przyszłości będzie mogła zrobić to czy tamto. Zamierzała sprowadzić siostrę z Ameryki i spotkać się z nią w Paryżu. Szalała za swoją siostrzyczką. Jest chyba bardzo delikatna i muzykalna. To wszystko, co wiem. Tego pan chciał?

Poirot skinął potakująco głową.

— Tak. To potwierdza moją teorię. Choć przyznaję, że miałem nadzieję na więcej. Spodziewałem się, że panna Adams została zobowiązana do zachowania tajemnicy. Lecz liczyłem na to, że jako kobieta nie uzna za zdradę wyjawienia sekretu najlepszej przyjaciółce.

— Próbowałam ją namówić — przyznała Jenny. — Jednak roześmiała się tylko i przyrzekła, że pewnego dnia mi o tym opowie.

Poirot przez chwilę milczał. Potem zapytał:

— Czy znane jest pani nazwisko lorda Edgware’a?

— Co? To ten, który został zamordowany? Czytałam w gazecie pół godziny temu.

— Właśnie. Wie pani, czy panna Adams go znała?

— Nie sądzę. Na pewno nie. Och! Chwileczkę!

— Tak, *mademoiselle*? — rzucił z zapalem Poirot.

— O co to chodziło? — Zmarszczyła czoło i brwi, jakby usiłowała sobie coś przypomnieć. — Tak, już mam. Wspomniała kiedyś o nim. Nieprzyjaznym tonem.

— Nieprzyjaznym?

— Tak. Powiedziała... jak to było? Że mężczyźni tacy jak on nie powinni mieć prawa rujnować innym życia swoim okrucieństwem i brakiem zrozumienia. Powiedziała, naprawdę tak powiedziała, że to człowiek, którego śmierć przyniosłaby każdemu ulgę.

— Kiedy to było?

— Jakiś miesiąc temu, jak sądzę.

— Dlaczego poruszyła ten temat?

Przez jakiś czas Jenny starała się sobie przypomnieć, wreszcie potrząsnęła głową.

— Nie pamiętam. Jakoś natrafiłyśmy na jego nazwisko. Może w gazecie. Przypominam sobie, że zdziwiła mnie gwałtowna wrogość Carlotty do kogoś, kogo nawet nie znała.

— To na pewno dziwne — przyznał z zastanowieniem Poirot. Po chwili zapytał: — Wie pani może, czy panna Adams była uzależniona od weronalu?

— Nie. Nigdy nie widziałam, żeby go brała lub wspominała o tym.

— Czy kiedykolwiek zauważyła pani w jej torebce małe złote pudełko z rubinowymi inicjałami C.A. na wieczku?

— Małe złote pudełko? Nie. Na pewno nie.

— A może wie pani przypadkiem, gdzie panna Adams przebywała w listopadzie zeszłego roku?

— Niech pomyślę. Wróciła do Stanów w listopadzie. Pod koniec miesiąca. Wcześniej była w Paryżu.

— Sama?

— Oczywiście, że tak! Przepraszam, może nie miał pan tego na myśli. Sama nie wiem, czemu każda wzmianka o Paryżu zawsze nasuwa na myśl najgorsze. A tak naprawdę to takie miłe, szacowne miasto. Carlotta nie należała do osób robiących sobotnie wypadki do Paryża, jeśli do tego pan zmierza.

— Teraz chciałbym zadać pani bardzo ważne pytanie, *mademoiselle*. Czy panna Adams była szczególnie zainteresowana jakimś mężczyzną?

— Odpowiedź brzmi: nie — odparła wolno Jenny. — Odkąd ją znam, Carlottę pochłaniała praca i jej delikatna siostra. Bardzo poważnie traktowała swoje obowiązki, była jedną z tych osób, które uważają, że jeśli są głową rodziny, to wszystko od nich zależy. Więc, mówiąc zwięźle, odpowiedź brzmi: nie.

— Ach! A nie mówiąc zwięźle?

— Nie zdziwiłabym się, gdyby ostatnio Carlotta zainteresowała się jakimś mężczyzną.

— Aha!

— Proszę pamiętać, że tylko zgaduję. Po prostu oceniam jej zachowanie. Była inna, nie tyle rozmarzona, ile raczej rozkojarzona. I wyglądała jakoś inaczej. Nie potrafię tego wyjaśnić. Takie

rzeczy druga kobieta wyczuwa, choć, oczywiście, może się kompletnie mylić.

Poirot przytaknął.

— Dziękuję pani, *mademoiselle*. Jeszcze jedno. Czy panna Adams miała przyjaciela, którego imię lub nazwisko zaczynało się na „D”?

— D — powtórzyła z zastanowieniem Jenny. — D? Nie, przykro mi. Nikt nie przychodzi mi na myśl.

XI

Egoistka

Nie sędzę, by Poirot spodziewał się innych odpowiedzi na swoje pytania, mimo to jednak ze smutkiem potrzasał głową. Wciąż pochłaniały go myśli. Jenny Driver pochyliła się, wspierając łokcie na stole.

— A czy teraz pan z kolei coś mi powie? — spytała.

— Przede wszystkim proszę pozwolić, że panią skomplementuję — odparł Poirot. — Pani odpowiedzi były wyjątkowo inteligentne. To jasne, że potrafi pani myśleć. Pyta pani, czy zamierzam coś powiedzieć. Otóż: niezbyt wiele. Podam pani jedynie kilka nagich faktów. — Milczał przez chwilę, a potem powiedział cicho: — Zeszłej nocy lord Edgware został zamordowany w swojej bibliotece. O dziesiątej wieczorem dama, którą, jak sędzę, była pani przyjaciółka Carlotta Adams, poprosiła o spotkanie z lordem Edgware'em i przedstawiła się jako jego żona. Miała złotowłosą perukę i makijaż, dzięki któremu wyglądała jak lady Edgware, czyli aktorka Jane Wilkinson, jak pani prawdopodobnie wie. Panna Adams, o ile to była ona, została u niego tylko przez chwilę. Wyszła pięć minut po dziesiątej, ale do siebie wróciła dopiero o północy. Poszła spać, wzięwszy uprzednio zbyt dużą dawkę weronalu. Teraz być może rozumie pani cel niektórych moich pytań, *mademoiselle*.

Jenny głęboko westchnęła.

— Tak — powiedziała — teraz rozumiem. Wierzę, że ma pan rację, panie Poirot. To znaczy, że to była Carlotta. Wczoraj kupiła u mnie nowy kapelusz.

— Nowy kapelusz?

— Tak. Powiedziała, że potrzebuje takiego, który ocieniałby lewą stronę twarzy.

Tu muszę dodać kilka słów wyjaśnienia, gdyż nie wiem, kiedy ta historia będzie czytana. W swoim czasie widziałem wiele rodzajów kapeluszy: czepki tak dokładnie zasłaniające twarz, że z rozpaczą porzucało się nadzieję rozpoznania znajomych; kapelusze nasuwane na czoło; przypinane lekko z tyłu głowy; wreszcie berety. Tamtego czerwca najmodniejszy kapelusz przypominał odwrócony do góry dnem talerz na zupę; przyczepiano go nad uchem (wyglądał jak przyssany), tak że tylko jedna część twarzy i fryzury mogła zostać poddana inspekcji.

— Te kapelusze nosi się zwykle nasunięte na prawą stronę? — spytał Poirot.

Modystka przytaknęła.

— Chociaż mamy kilka do noszenia odwrotnie — wyjaśniła — ponieważ niektórzy ludzie wolą swój prawy profil albo mają w zwyczaju robić przedziałek zawsze po jednej stronie. Czy jest jakiś

szczególony powód, by Carlotta chciała osłonić tę właśnie stronę twarzy?

Przypomniałem sobie, że drzwi przy Regent Gate otwierają się na lewo, więc lokaj mógł wyraźnie zobaczyć jedynie lewy profil wchodzącego. Pamiętałem też, że Jane Wilkinson (jak zauważyłem zeszłej nocy) miała maleńki pieprzyk w kącie lewego oka.

Podekscytowany, powiedziałem to wszystko na głos. Poirot zgodził się, energicznie potakując głową.

— Właśnie, właśnie. *Vous avez parfaitement raison*, Hastings. Tak, to wyjaśnia zakup kapelusza.

— Panie Poirot? — Jenny wyprostowała się raptownie. — Nie sądzi pan... nie myślał pan chyba ani przez chwilę, że zrobiła to Carlotta? To znaczy, zabiła go? Nie może pan tak myśleć, tylko dlatego, że mówiła o nim z wrogością.

— Nie, nie myślę tak. Mimo to jej słowa były dość dziwne. Chciałbym znać ich przyczynę. Co takiego zrobił, co takiego o nim wiedziała, że wyraziła się w ten sposób?

— Nie wiem... ale na pewno go nie zabiła. Jest... och! była... zbyt wyrafinowana.

Poirot z aprobatą skinął głową.

— Tak, tak. Dobrze to pani określiła. To kwestia psychologii. Zgadzam się. To była przemyślana zbrodnia, jednak nie wyrafinowana.

— Przemyślana?

— Morderca dokładnie wiedział, gdzie zadać cios, by trafić w splot najważniejszych nerwów u podstawy czaszki, gdzie łączą się z rdzeniem kręgowym.

— To wskazuje na lekarza — zauważyła z zastanowieniem Jenny.

— Czy panna Adams znała jakichś lekarzy? To znaczy, czy wśród jej przyjaciół był jakiś lekarz?

Jenny potrząsnęła przecząco głową.

— Nigdy o żadnym nie słyszałam. W każdym razie nie w Anglii.

— Kolejne pytanie: czy panna Adams nosiła binokle?

— Okulary? Nigdy.

— Ach! — Poirot zmarszczył czoło.

W moich myślach pojawił się pewien obraz: lekarz cuchnący karbolem, z oczami powiększonymi przez potężne szkła. Co za bzdura!

— Przy okazji, czy panna Adams знаła Bryana Martina, tego aktora filmowego?

— Ależ tak. Mówiła mi, że znają się od dziecka. Choć nie sędzę, by często go widywała. Raz na jakiś czas. Według niej stał się bardzo zarozumiały. — Zerknęła na zegarek i wykrzyknęła: — Na Boga! Muszę lecieć. Czy w czymkolwiek panu pomogłam, panie Poirot?

— Tak. Zapewne poproszę panią o dalszą pomoc.

— Jestem do dyspozycji. Ktoś zrealizował swój szatański plan i musimy go dopaść.

Pożegnała się krótkim uściskiem dłoni, błysnęła białymi zębami w nagłym uśmiechu i opuściła nas z właściwą sobie gwałtownością.

— Ciekawa osobowość — rzucił Poirot, płacąc rachunek.

— Lubię ją — powiedziałem.

— Zawsze przyjemnie jest spotkać bystry umysł.

— Choć trochę chłodny — zauważyłem. — Śmierć przyjaciółki nie wytrąciła jej z równowagi tak bardzo, jak mógłbym się spodziewać.

— Na pewno nie należy do kobiet, które płaczą — zgodził się sucho Poirot.

— Czy dowiedziałeś się tego, czego się spodziewałeś?

Zaprzeczył ruchem głowy.

— Nie. Miałem nadzieję, i to dużą, otrzymać wskazówkę dotyczącą D, osoby, która dała jej złote puzderko. Tu się zawiodłem. Na nieszczęście Carlotta Adams była zamknięta w sobie. Nie plotkowała o przyjaciółach ani o swoich romansach. Z drugiej strony ktoś, kto zaproponował jej tę maskaradę, wcale nie musiał być jej przyjacielem. Może pomysł podsunął jakiś znajomy, niewątpliwie dla „sportu” i... pieniędzy. Mógł zauważyć puzderko i może znalazł sposobność, by sprawdzić, co zawierało.

— Lecz jak, u licha, mógł ją zmusić, by wzięła narkotyk? I kiedy?

— Cóż, przez pewien czas drzwi do mieszkania były otwarte: kiedy pokojówka wyszła, by nadać list na pocztę. Ale to mnie nie zadowala. Zbyt wiele pozostawia przypadkowi. Teraz jednak — do pracy. Mamy dwa nadal prawdopodobne tropy.

— To znaczy?

— Pierwszy to telefon pod numer w okolicach Victorii. Wydaje mi się całkiem naturalne, że Carlotta Adams zadzwoniła po powrocie do domu, by powiadomić kogoś, że kawał się udał. Z drugiej jednak strony, gdzie była pomiędzy dziesiątą pięć a północą? Mogła się spotkać z inicjatorem maskarady. W takim razie z domu dzwoniłaby zapewne do jednego z przyjaciół.

— A drugi trop?

— Na ten bardzo liczę. To list, Hastings. List do siostry. Możliwe... mówię tylko: możliwe, że opisała w nim całą sprawę. Nie uważałaby tego za złamanie obietnicy, ponieważ list zostałby przeczytany dopiero tydzień później i, co więcej, w innym kraju.

— Jeśli tak, to jest to zadziwiające!

— Jednak nie możemy sobie po tym za dużo obiecywać, Hastings. To zaledwie cień szansy. Musimy popracować nad sprawą od drugiego końca.

— Co nazywasz drugim końcem?

— Uważne przyjrzenie się tym, którzy w jakimkolwiek stopniu zyskują na śmierci lorda Edgware'a.

Wzruszyłem ramionami.

— Poza bratankiem i żoną...

— I mężczyzną, którego chciała poślubić żona — dodał Poirot.

— Księciem? On jest w Paryżu.

— No właśnie. Lecz nie możesz zaprzeczyć, że należy do grupy zainteresowanych. Są jeszcze ludzie pracujący na Regent Gate: lokaj i służba. Kto wie, jakie mogli mieć pretensje do milorda? Jednak ja myślę, że pierwszy atak winniśmy skierować na *mademoiselle* Jane Wilkinson. Jest przebiegła. Może będzie w stanie coś nam zasugerować.

Ponownie skierowaliśmy nasze kroki do Savoyu. Znaleźliśmy lady Edgware otoczoną pudłami i papierem pakunkowym. Z każdego krzesła zwisały wytworne, czarne draperie. Jane miała skupiony i poważny wyraz twarzy. Przymierzała właśnie przed lustrem kolejny czarny kapelusik.

— To pan, panie Poirot? Proszę siadać. O ile jest na czym usiąść. Ellis, uprzątnij coś, dobrze?

— Wygląda pani czarująco, *madame*. Jane spojrzała na niego z powagą.

— Nie chcę się wydać hipokrytką, panie Poirot. Lecz trzeba zwracać uwagę na pozory, prawda? Chodzi mi o to, że powinnam uważać. Och! Przy okazji, dostałam przesłodki telegram od księcia.

— Z Paryża?

— Tak, z Paryża. Oczywiście ostrożny, z kondolencjami, ale napisany tak, że mogłam czytać między wierszami.

— Moje gratulacje,.

— Panie Poirot! — Klasnęła w dłonie, a jej matowy głos stał się jeszcze niższy. Wyglądała jak anioł, który ma właśnie wyjawic najświętsze myśli. — Zastanawiałam się nad życiem. To wszystko wydaje się cudem. Rozumie mnie pan? Wszystkie moje problemy zniknęły. Koniec z męczącym rozwodem. Nie muszę się tym martwić. Czeka mnie prosta droga, żadnych przeszkód. Czuję w tym niemalże palec boży.

Wstrzymałem oddech. Poirot spojrział na nią, przechylając lekko głowę. Mówiła zupełnie poważnie.

— Tak to pani odbiera, *madame*?

— Wszystko ułożyło się dobrze — wyszeptała Jane z odrobiną grozy w głosie. — Ostatnio sporo myślałam... co by było, gdyby Edgware umarł. I proszę: nie żyje! To... to prawie jak odpowiedź na modły.

Poirot odchrząknął.

— Nie mogę powiedzieć, że patrzę na to tak samo, *madame*. Ktoś zabił pani męża.

Przytaknęła ruchem głowy.

— No tak, oczywiście.

— Nie zastanawiała się pani, kto? Popatrzyła na niego w zdumieniu.

— A czy to ma jakieś znaczenie? To znaczy, co to ma ze mną wspólnego? Księżę i ja możemy się pobrać za jakieś cztery czy pięć miesięcy...

Poirot opanował się z trudem.

— Tak, *madame*, wiem. Lecz mimo to nie przyszło pani do głowy zastanowić się, kto zabił pani męża?

— Nie. — Wydawała się zupełnie zaskoczona takim pomysłem.

— Nie interesuje to pani? — spytał Poirot.

— Przykro mi, ale nie bardzo — przyznała. — Sądzę, że odkryje to policja. Są bardzo mądrzy, prawda?

— Tak się mówi. Ja również zamierzam to odkryć.

— Naprawdę? To zabawne.

— Dlaczego zabawne?

— Cóż, sama nie wiem. — Jej wzrok powędrował z powrotem w stronę ubrań. Narzuciła

jedwabny zakiet i zbadala swoje odbicie w lustrze.

— Nie ma pani nic przeciw temu? — rzucił Poirot z błyskiem w oku.

— Oczywiście, że nie, panie Poirot. Bardzo bym chciała, żeby pan wszystko odkrył. Życzę panu powodzenia.

— Oczekuję od pani czegoś więcej niż życzeń, *madame*. Chcę usłyszeć pani zdanie.

— Moje zdanie? — rzuciła Jane z roztargnieniem, obracając głowę przez ramię. — W jakiej sprawie?

— Kto według pani mógł zabić lorda Edgware'a?

Jane potrząsnęła głową.

— Nie mam pojęcia!

Poruszyła na próbę ramionami i wzięła do ręki lusterko.

— *Madame!* — zawołał Poirot głośno, z naciskiem. — Kto według pani zabił pani męża?

Tym razem dotarło to do Jane. Rzuciła mu zaskoczone spojrzenie.

— Pewnie Geraldine — powiedziała.

— Kim jest Geraldine?

Lecz Jane znów przestała zwracać na nas uwagę.

— Ellis, podnieś to trochę na prawym ramieniu. Tak. Co pan mówił, panie Poirot? Geraldine to jego córka. Nie, Ellis, na prawym. Tak już lepiej. Och, musi pan już iść, panie Poirot? Jestem panu ogromnie za wszystko wdzięczna. To znaczy za rozwód, chociaż teraz nie jest już konieczny. Zawsze będę uważała, że był pan cudowny.

Widziałem Jane jeszcze zaledwie dwa razy. Raz na scenie i raz kiedy siedziałem naprzeciw niej na jakimś lunchu. Zapamiętałem ją jednak ciałem i duszą pochłoniętą strojami, rzucającą beztrąsko słowa, które zadecydowały o dalszym postępowaniu Poirota, skoncentrowaną — co w jakimś sensie było wspaniale — wyłącznie i jedynie na sobie.

— *Épatant* — powiedział z szacunkiem Poirot, kiedy wyszliśmy na Strand.

XII

Córka

Kiedy wróciliśmy do domu, na stole leżał przyniesiony przez posłańca list. Poirot podniósł go, rozciął z właściwą sobie starannością, a po chwili roześmiał się.

— Jak wy to mówicie? O wilku mowa? Popatrz sam, Hastings. Wziąłem od niego kartkę.

Widniał na niej adres Regent Gate 17. List napisano wąskim, charakterystycznym pismem, pozornie bardzo czytelnym, co jednak okazało się nieprawdą.

Szanowny panie!

Jak się dowiedziałam, był pan u nas rano z inspektorem. Żałuję, że nie miałam okazji z panem pomówić. Jeśli to panu odpowiada, byłabym bardzo zobowiązana, gdyby poświęcił mi pan kilka minut po południu.

Z poważaniem,

Geraldine Marsh

— Ciekawe — oceniłem. — Zastanawiam się, po co chce się z tobą zobaczyć.

— Dziwi cię to? Nie jesteś zbyt uprzejmy, mój drogi.

Poirot ma irytujący zwyczaj żartować w nieodpowiednim momencie.

— Pójdziemy tam natychmiast, przyjacielu — powiedział. Troskliwie strzepnął wyimaginowany pyłek z kapelusza i włożył go na głowę.

Beztroska uwaga Jane Wilkinson o tym, że Geraldine mogła zabić swojego ojca, mnie wydała się absurdalna. Zasugerować coś takiego mogła jedynie osoba zupełnie pozbawiona rozumu. Powiedziałem to Poirotowi.

— Rozum. Rozum. Co właściwie masz na myśli, kiedy to mówisz? Według twojej terminologii Jane Wilkinson ma ptasi mózdzek. To pogardliwe określenie. Ale pomyśl przez chwilę o ptakach. Istnieją, rozmnażają się, prawda? A to, według praw natury, jest oznaką odpowiedniego stopnia rozwoju umysłowego. Uroczą lady Edgware nie ma pojęcia o historii, geografii czy klasyce *sans doute*. Lao Tse to dla niej cenny pekińczyk, Moliere — *maison de couture*. Lecz jeśli chodzi o

wybór strojów, korzystne małżeństwo, przeprowadzenie swojej woli... tu odnosi fenomenalne sukcesy. Mnie nie przyniosłaby pożytku opinia filozofa na temat tego, kto zamordował lorda Edgware'a. Z filozoficznego punktu widzenia motywem byłoby najwyższe dobro największej liczby ludzi, a skoro trudno to ocenić w praktyce, niewielu filozofów zostaje mordercami. Lecz beztraska opinia wyrażona przez lady Edgware może okazać się użyteczna, gdyż ona patrzy na sprawę z materialistycznego punktu widzenia, opierając się na swojej wiedzy o najgorszej stronie natury ludzkiej.

— Może i coś w tym jest — zgodziłem się.

— *Nous voici* — odparł Poirot. — Ciekawi mnie, dlaczego ta młoda dama tak bardzo chce się ze mną zobaczyć.

— To oczywiste — odpląciłem mu pięknym za nadobne. — Sam to powiedziałeś kwadrans temu. Naturalne pragnienie, by przyjrzeć się z bliska komuś wyjątkowemu.

— A może to ty wywarłeś na niej wrażenie, przyjacielu — odparł Poirot, dzwoniąc do drzwi.

Przypomniałem sobie zaskoczoną twarz stojącej na progu dziewczyny. Niemal widziałem przed sobą jej czarne oczy płonące w białej twarzy. Ten obraz wywarł na mnie potężne wrażenie.

Zaprowadzono nas na górę do dużej bawialni. Po chwili przyszła Geraldine.

Napięcie, jakie zauważyłem u niej poprzednio, jeszcze wzrosło. Ta wysoka, blada dziewczyna o wielkich, nie dających się zapomnieć czarnych oczach była uderzająco piękna.

Zachowywała się z opanowaniem wyjątkowym jak na tak młodą osobę.

— Bardzo miło z pańskiej strony, że zjawił się pan tak szybko, panie Poirot — powiedziała. — Przepraszam, że nie porozmawiałam z panem rano.

— Spała pani?

— Tak. Panna Carroll, to sekretarka mojego ojca, jak pan wie, nalegała, żebym się położyła. Okazała mi wiele serca.

W jej głosie zabrzmiała nutka niechęci, która mnie zdumiała.

— W jaki sposób mogę pani pomóc, *mademoiselle*? — spytał Poirot. Zawahała się, a potem powiedziała:

— Widział się pan z moim ojcem tego dnia, kiedy został zabity?

— Tak, *mademoiselle*.

— Po co? Czy... wezwał pana?

Poirot zwlekał z odpowiedzią. Najwyraźniej się zastanawiał. Teraz wierzę, że był to wykalkulowany ruch z jego strony. Chciał ją nakłonić, by mówiła dalej. Zdawał sobie sprawę, że należy do osób niecierpliwych — wszystko musiała mieć natychmiast.

— Czy bał się czegoś? Proszę mi powiedzieć. Niech mi pan powie. Muszę to wiedzieć. Kogo się bał? Dlaczego? Co panu powiedział? Och! Dlaczego nic pan nie mówi?

Uznałem, że to wymuszone opanowanie nie jest naturalne. Szybko się załamała. Pochyliła się, nerwowo zaciskając dłonie.

— To, co zaszło między lordem Edgware'em a mną, musi pozostać tajemnicą — powiedział wolno Poirot.

Nie spuszczał wzroku z jej twarzy.

— W takim razie musiało to być... musiało to dotyczyć... naszej rodziny. Och! Siedzi pan tak spokojnie i torturuje mnie. Dlaczego nie chce pan nic powiedzieć? Ja muszę to wiedzieć. To konieczne. Naprawdę.

Poirot bardzo wolno potrząsnął przecząco głową, jakby sam z sobą toczył walkę. W końcu Geraldine pozbierała się.

— Panie Poirot — rzekła — jestem jego córką. Mam prawo wiedzieć, czego obawiał się mój ojciec dzień przed śmiercią. Pozostawianie mnie w nieświadomości nie jest w porządku. To nie w porządku, że nic mi pan nie mówi.

— Czy była pani aż tak przywiązana do ojca? — spytał łagodnie Poirot.

Cofnęła się, jakby coś ją użądliło.

— Czy lubiłam go? — wyszeptała. — Lubiłam. Ja... ja...

I nagle jej samokontrola prysnęła. Wybuchnęła śmiechem. Odchyliła się na oparcie krzesła i zaczęła się śmiać bez pamięci.

— To takie zabawne — rzuciła. — Takie zabawne, że pan o to pyta. Ten histeryczny wybuch nie przeszedł niezauważony. Otworzyły się drzwi i do pokoju wkroczyła panna Carroll, jak zawsze stanowcza i kompetentna.

— No, no, Geraldine, moja droga, to nie ma sensu. Nie, nie. Uspokój się. Nalegam. Przestań. Mówię poważnie. W tej chwili przestań.

Jej zdecydowanie odniosło skutek. Śmiech Geraldine ucichł. Otarła oczy i usiadła prosto.

— Przepraszam — powiedziała cicho. — Nigdy mi się to wcześniej nie zdarzyło.

Panna Carroll nadal jej się przyglądała, zaniepokojona.

— Już w porządku, panno Carroll. To było idiotyczne.

Nagle uśmiechnęła się. Był to dziwaczny, gorzki uśmiech, raczej jak skrzywienie warg. Siedziała na krześle sztywno, nie patrząc na nikogo.

— Spytał mnie — mówiła chłodno, wyraźnie — czy bardzo lubiłam ojca.

Panna Carroll wydała z siebie nieokreślony dźwięk. Miał wyrażać niezdecydowanie. Natomiast Geraldine ciągnęła dalej, wysokim głosem pełnym pogardy:

— Zastanawiam się, czy lepiej mówić prawdę, czy kłamać? Myślę, że prawda jest lepsza. Nie, nie lubiłam ojca. Nienawidziłam go!

— Geraldine, kochanie!

— Dlaczego mam udawać? Pani nie odczuwała nienawiści, ponieważ pani akurat nie mógł tknąć! Była pani jedną z niewielu osób na świecie, do których nie potrafił się dostać. Patrzyła pani na niego jak na pracodawcę, który zapewniał sporą roczną pensję. Nie interesowały pani ani jego ataki wściekłości, ani dziwactwa. Mogła je pani ignorować. Wiem, co chce pani powiedzieć: każdy musi znieść jakieś niewygody. Pani była pogodna i obojętna. Jest pani silną kobietą. Niemal nieludzko silną. Zresztą i tak w każdej chwili mogła pani wyjść z tego domu. A ja nie. Ja do niego należałam.

— Doprawdy, Geraldine, nie sądzę, by trzeba było wchodzić w to wszystko. Między ojcem a córką często się nie układa. Im mniej się o tym mówi, tym lepiej. Dobrze to wiem.

Geraldine odwróciła się do niej plecami. Mówiła teraz tylko do Poirota.

— Nienawidziłam ojca, panie Poirot! Cieszę się, że nie żyje! Dla mnie oznacza to wolność. Wolność i niezależność. Nie zależy mi w najmniejszym stopniu na tym, by znaleziono jego mordercę. Osoba, która go zabiła, musiała mieć swoje powody, i to zapewne wystarczające powody, które by usprawiedliwiły taki czyn.

Poirot spojrział na nią z namysłem.

— Niebezpiecznie jest przyjąć taką zasadę, *mademoiselle*.

— Czy powieszenie kogokolwiek przywróci ojcu życie?

— Nie — odparł Poirot sucho. — Lecz może uratować innych niewinnych ludzi przed morderstwem.

— Nie rozumiem.

— Ktoś, kto raz zabił, niemal zawsze zabija ponownie. Czasem kilka razy.

— Nie wierzę w to. Nie... nie normalny człowiek.

— Tylko maniakalny zabójca? Ale to prawda. Ktoś likwiduje jedno ludzkie życie, być może po okropnej walce z własnym sumieniem. Potem, w sytuacji zagrożenia, druga zbrodnia wydaje się moralnie łatwiejsza. Przy najmniejszym niebezpieczeństwie dochodzi do trzeciej. Stopniowo narasta artystyczna duma. Zabijanie to... *metier*. Na koniec popełnia się morderstwo niemal z czystej przyjemności.

Dziewczyna ukryła twarz w dłoniach.

— Okropne. Okropne. To nieprawda.

— A gdybym powiedział pani, że to już się stało? Że morderca, by uratować swoje życie, już zabił po raz drugi?

— Co takiego, panie Poirot? — wykrzyknęła panna Carroll. — Kolejne morderstwo? Gdzie? Kto?

Poirot łagodnie potrząsnął głową.

— To był tylko przykład. Proszę o wybaczenie.

— Och! Rozumiem. Przez chwilę myślałam, że naprawdę... No, Geraldine, chyba skończyłaś już z wygadywaniem nonsensów?

— Widzę, że jest pani po mojej stronie — zauważył Poirot z lekkim ukłonem.

— Nie mam przekonania do kary śmierci — odrzekła panna Carroll energicznie. — Poza tym oczywiście, że jestem po pana stronie. Należy chronić społeczeństwo.

Geraldine wstała. Odgarnęła włosy do tyłu.

— Przepraszam — odezwała się. — Chyba zrobiłam z siebie idiotkę. Nadal odmawia pan ujawnienia, dlaczego mój ojciec po pana posłał?

— Jak to posłał po niego? — spytała zdezorientowana panna Carroll.

— Źle mnie pani zrozumiała, panno Marsh. Nie odmówiłem.

Poirot został zmuszony do odkrycia kart.

— Zastanawiałem się jedynie, do jakiego stopnia ta rozmowa była poufna. Pani ojciec nie wezwał mnie. To ja chciałem się z nim spotkać w imieniu mojej klientki. Była nią lady Edgware.

— Och! Rozumiem.

Na twarzy dziewczyny pojawił się niezwykle wyraz. Najpierw pomyślałem, że było to rozczarowanie. Dopiero potem dostrzegłem, że to ulga.

— Byłam bardzo głupia — powiedziała powoli. — Myślałam, że mój ojciec podejrzewał, że

znajduje się w niebezpieczeństwie. To głupie.

— Wie pan, panie Poirot, zupełnie wytrącił mnie pan z równowagi — odezwała się panna Carroll — sugerując, że ta kobieta popełniła kolejne morderstwo.

Poirot nie odpowiedział na to. Mówił do dziewczyny.

— Wierzy pani, że lady Edgware popełniła morderstwo, *mademoiselle*?

Potrząsnęła przecząco głową.

— Nie, nie wierzę. Nie wyobrażam sobie, by mogła zrobić coś podobnego. Jest zbyt... pretensjonalna.

— Nie rozumiem, kto inny mógł to zrobić — wtrąciła się panna Carroll. — I nie sądzę, żeby kobiety jej typu miały jakiegokolwiek poczucie moralności.

— To nie musiała być ona — upierała się Geraldine. — Mogła przyjść tutaj, porozmawiać z nim i wyjść. Prawdziwy morderca, może jakiś szaleniec, zjawiał się później.

— Wszyscy mordercy są umysłowo chorzy, tego jestem pewna — powiedziała panna Carroll. — To kwestia hormonów.

W tej chwili otworzyły się drzwi i wszedł jakiś mężczyzna. Na widok gości zatrzymał się gwałtownie, najwyraźniej speszony ich obecnością.

— Przepraszam, nie wiedziałem, że ktoś tu jest — powiedział. Geraldine przedstawiła go automatycznie.

— To mój kuzyn, lord Edgware. Wszystko w porządku, Ronaldzie. Nie przeszkadzasz nam.

— Na pewno, Dino? Jak się pan ma, panie Poirot? Czy pańskie szare komórki rozpracowują jakąś naszą rodzinną tajemnicę?

Cofnąłem się myślami w przeszłość, usiłując przypomnieć sobie, skąd znam tę okrągłą, sympatyczną, pustą twarz, oczy z niewielkimi workami, małe wąsy niczym wysepka w bezmiarze twarzy.

Oczywiście! Ten człowiek eskortował Carlottę Adams na kolację w apartamencie Jane Wilkinson.

Kapitan Ronald Marsh. Obecny lord Edgware.

XIII

Bratanek

Nowy lord Edgware miał bystry wzrok. Zauważył, że na niego patrzę.

— Aha! — rzucił przyjaźnie. — Przypomniał pan sobie. Przyjęcie u cioteczki Jane. Byłem co nieco podchmielony, prawda? Łudziłem się, że nikt tego nie zauważył.

Poirot zęgnął się z Geraldine Marsh i panną Carroll.

— Odprowadzę panów — zaproponował wesoło Ronald. Zszedł schodami pierwszy, gawędząc po drodze.

— Życie jest dziwne. Jednego dnia wykopują cię na deszcz, następnego zostajesz lordem. Mój nieodżałowany zmarły wuj wyrzucił mnie z domu trzy lata temu. Pewnie wie pan o tym, panie Poirot?

— Wspominano mi — odparł spokojnie Poirot.

— Jasne. Do takich rzeczy zawsze ktoś się dokopie. Nadgorliwy detektyw nie może sobie pozwolić na to, by przepuścić podobną sensację.

Uśmiechnął się szeroko i z trzaskiem otworzył drzwi do jadalni.

— Wypijcie kapkę przed wyjściem.

Poirot odmówił, ja również. Mimo to młody człowiek zrobił sobie drinka i mówił dalej.

— Za morderstwo — rzucił wesoło. — W ciągu jednej krótkiej nocy zmieniłem się z obiektu rozpaczy wierzyieli w przyczynę nadziei kupców. Wczoraj zaglądała mi w twarz ruina, dzisiaj opływam we wszystko. Niech cię Bóg błogosławi, ciociu Jane.

Wychylił szklanę. Potem, lekko zmieniając nastrój, zwrócił się do Poirota.

— Mówiąc poważnie, panie Poirot, co pan tu robi? Cztery dni temu ciotka Jane spytała dramatycznie: „Kto pomoże mi pozbyć się tego nieznośnego tyrana?”. I proszę: raz, dwa się go pozbyła! Mam nadzieję, że nie z pańską pomocą? Perfekcyjna zbrodnia Herkulesa Poirot, byłego psa gończego.

Poirot uśmiechnął się.

— Zjawiłem się tu dzisiejszego popołudnia w odpowiedzi na list od panny Geraldine Marsh.

— Dyskretna odpowiedź, co? Nie, panie Poirot, co pan tu naprawdę robi? Z jakichś powodów

zainteresował się pan śmiercią mojego wuja.

— Zawsze interesuję się zbrodnią, lordzie Edgware.

— Lecz nie popełnia pan przestępstw. Bardzo ostrożny z pana facet. Powinien pan nauczyć ostrożności cioteczkę Jane. Ostrożności i odrobiny kamuflażu. Wybacz mi pan, że nazywam ją ciotką Jane? To mnie bawi. Widział pan jej twarz, kiedy nazwałem ją tak wczoraj? Nie miała bladego pojęcia, kim jestem.

— *En verite?*

— Tak jest. Wyrzucono mnie stąd trzy miesiące przed tym, zanim ona się zjawiała. — Dobrotliwy, głupkowaty wyraz jego twarzy zniknął na chwilę. Po chwili podjął lekko: — To piękna kobieta. Lecz za grosz subtelności. Jej metody są dość brutalne, co?

Poirot wzruszył ramionami.

— Możliwe.

Ronald spojrział na niego z zaciekawieniem.

— Zgaduję, że według pana jest niewinna. Więc i pana owinęła sobie wokół palca?

— Mam wielki podziw dla piękna — powiedział nieporuszony Poirot. — Lecz nie mniej cenię sobie... dowody.

Ostatnie słowo wypowiedział bardzo cicho.

— Dowody? — powtórzył ostro Ronald.

— Być może nie wie pan, lordzie Edgware, że lady Edgware była ubiegłej nocy na przyjęciu w Chiswick w czasie, gdy podobno widziano ją tutaj.

Ronald zaklął.

— Więc jednak tam poszła! To typowo kobiece! O szóstej ogłasza wszem wobec, że nic na ziemi nie zmusi jej, by tam poszła, a w dziesięć minut później zmienia zdanie! Kiedy planujesz zbrodnię, nigdy nie licz, że kobieta zrobi to, co mówi. Tak właśnie rozsypują się najlepsze plany morderców. Nie, nie, panie Poirot, wcale nie obciążam siebie. Och, tak, niech pan nie myśli, że nie widzę, co chodzi panu po głowie. Kto jest pierwszym podejrzanym? Oślawiony, podły bratanek, zakała rodu. — Chichocząc, odchylił się na oparcie krzesła. — Oszczędzę pańskie szare komórki, panie Poirot. Nie musi pan szukać kogoś, kto widział mnie w pobliżu, kiedy ciotka Jane obwieszczała, że nigdzie, ale to nigdzie nie wyjdzie wieczorem. Byłem tam. Pyta więc pan siebie: czy rzeczywiście niegodziwy bratanek przyszedł tu nocą odziany w blond perukę i paryski kapelusz?

Najwyraźniej dobrze bawiąc się sytuacją, zmierzył nas obu wzrokiem. Poirot przechylił lekko głowę i przyglądał mu się uważnie. Ja czułem się nieco skrępowany.

— Miałem motyw. O tak, przyznaję. I zamierzam sprezentować panu bardzo cenną i ważną informację. Zaszedłem rano do wuja. Po co? Żeby prosić o pieniądze. Tak, może się pan ślinić. Żeby prosić o pieniądze. Odszedłem, nie otrzymawszy ani grosza. Tego samego wieczoru... dokładnie tego samego wieczoru lord Edgware umiera. Wie pan, to całkiem niezły tytuł. Lord Edgware umiera. Dobrze by wyglądał na księgarskich półkach.

Umilkł, ale Poirot nie odezwał się słowem.

— Naprawdę pochlebia mi pańskie zainteresowanie, panie Poirot. Kapitan Hastings wygląda, jakby zobaczył ducha... albo jakby miał go zaraz zobaczyć. Nie spinaj się tak, przyjacielu. Poczekaj na rozwiązanie akcji. Na czym to stanęliśmy? A tak, sprawa przeciwko podłemu bratankowi. Wina zostanie zrzucona na znieawidzoną ciotkę. Bratanek, wielbiony niegdyś za odgrywanie kobiecych ról, dokonuje ogromnego wysiłku aktorskiego. Dziewczęcym głosem podaje się za lady Edgware i prześlizguje się obok lokaja, kołyszając biodrami. Nie wzbudza żadnych podejrzeń. „Jane”, woła mój ulubiony wuj. Na co ja piszczę: „George!”. Zarzucam mu ramiona na szyję i zgrabnie wbijam szczyryk. Kolejne szczegóły są czysto medyczne i można je pominąć. Falszywa lady wychodzi. Po dobrze przepracowanym dniu udaję się do łóżka.

Roześmiał się, wstał, nalał sobie kolejną whisky z wodą sodową. Wolno powrócił na krzesło.

— Pasuje świetnie, prawda? Lecz, widzi pan, dochodzimy do sedna sprawy. Co za rozczarowanie! Denerwujące uczucie, że dał się pan zwieść. Gdyż teraz, panie Poirot, pora na alibi!

Wypił szklanekę.

— Zawsze bawią mnie wszelakie alibi — zauważył. — Za każdym razem, gdy czytam powieść detektywistyczną, czekam na alibi. To jest wyjątkowo dobre. Starczy za trzy i przekonałoby nawet Żyda. Mówiąc prostszym językiem, moje alibi to państwo Dortheimer. Wyjątkowo bogaci i muzycalni. Mają lożę w Covent Garden. Do tej właśnie loży zapraszają młodych ludzi z przyszłością. Ja jestem młodym człowiekiem z przyszłością, panie Poirot — i to tak dobrą, jak mieli nadzieję. Czy lubię operę? Szczerze mówiąc, wcale. Lecz cenię sobie wspaniałe obiady na Grosvenor Square przed przedstawieniem, a po nim równie wspaniałe kolacje gdzieś indziej, nawet jeśli rzeczywiście muszę tańczyć z Rachel Dortheimer i przez następne dwa dni chodzić ze sztywnym ramieniem. Widzi pan więc, panie Poirot, jak to wygląda. Kiedy z wuja uchodzi życie, ja szepczę czułe bzdury do ozdobionego brylantami ucha jasnowłosej... proszę o wybaczenie, ciemnowłosej Racheli w loży w Covent Garden. Jej długi żydowski nos drży z podniecenia. Widzi pan więc, czemu mogę pozwolić sobie na taką szczerłość. — Odchylił się na oparcie krzesła. — Mam nadzieję, że pana nie zanudziłem. Ma pan jakieś pytania?

— Zapewniam pana, że się nie nudziłem — odparł Poirot. — A skoro jest pan tak miły, chciałbym zadać jedno pytanie.

— Odpowiem z zachwytem.

— Od jak dawna zna pan pannę Carlottę Adams?

Czegokolwiek spodziewał się młody człowiek, na pewno nie tego. Wyprostował się gwałtownie, jego twarz przybrała zupełnie odmienny wyraz.

— Dlaczego, u licha, chce pan to wiedzieć? Co to ma wspólnego z tym, o czym mówiliśmy?

— Byłem ciekaw, to wszystko. Tak dokładnie wyjaśnił pan wszystko, co było do wyjaśnienia, że o nic więcej nie muszę pytać.

Ronald rzucił mu szybkie spojrzenie. Zupełnie jakby nie zależało mu na uprzejmości Poirota. Wolałby, jak uznałem, żeby detektyw był bardziej podejrzliwy.

— Carlottę Adams? Niech pomyślę. Jakiś rok. Ciut więcej. Poznałem ją w zeszłym roku, kiedy występowała po raz pierwszy.

— Dobrze ją pan znał?

— Dość dobrze. To nie ten typ dziewczyny, który można poznać do głębi. Zamknięta w sobie i tak dalej.

— Ale lubił ją pan?

Ronald spojrzał na niego.

— Chciałbym wiedzieć, dlaczego tak bardzo się pan nią interesuje. Czy dlatego, że spędziłem z nią jeden wieczór? Tak, bardzo ją lubię. Potrafi współczuć. Potrafi wysłuchać faceta i sprawić, że mimo wszystko czuje się coś wart.

Poirot skinął głową.

— Rozumiem. Zatem będzie panu przykro.

— Przykro? Dlaczego?

— Ponieważ nie żyje.

— Co? — Ronald poderwał się na nogi, zdumiony. — Carlotta nie żyje?

Wydawał się zupełnie zaskoczony tą informacją.

— Nabiera mnie pan, Poirot. Carlotta czuła się świetnie, kiedy ją ostatni raz widziałem.

— Kiedy to było? — spytał szybko Poirot.

— Przedwczoraj, jak mi się zdaje. Nie pamiętam dokładnie.

— *Tout de mème*, ona nie żyje.

— To musiało się stać nagle. Jak zginęła? W wypadku ulicznym?

Poirot zapałrzył się w sufit.

— Nie. Przedawkowała weronal.

— Och! Niech to. Biedne dziecko. To okropnie smutne.

— *N'est ce pas?*

— Naprawdę mi przykro. A tak dobrze jej szło. Zamierzała sprowadzić swoją siostrzyczkę, układała tyle planów. Niech to! Jest mi bardziej przykro, niż potrafię wyrazić.

— Tak — powiedział Poirot. — Smutne, gdy umiera ktoś młody, kto nie chce umierać, przed kim otwiera się całe życie, ktoś, kto ma wszelkie powody ku temu, by żyć.

Ronald popatrzył na niego zaciekawiony.

— Chyba nie całkiem pana rozumiem, panie Poirot.

— Doprawdy?

Poirot wstał i wyciągnął rękę.

— Wyraziłem własne myśli, może zbyt dobitnie. To dlatego, że nie cierpię patrzeć, jak młodzi ludzie pozbawiani są prawa do życia, lordzie Edgware. Bardzo dotkliwie to odczuwam. Życzę panu miłego dnia.

— Och... cóż... do widzenia. Wyglądał na zaskoczonego.

Otwierając drzwi, niemal zderzyłem się z panną Carroll.

— Ach, panie Poirot, powiedziano mi, że jeszcze pan nie wyszedł. Chciałabym zamienić z panem słówko, jeśli można. Może zgodzi się pan pójść na górę do mojego pokoju? Chodzi o to dziecko, Geraldine — wyjaśniła, kiedy wkroczyliśmy do jej gabinetu i zamknęła drzwi.

— Słucham, *mademoiselle*.

— Wygadywała mnóstwo bzdur po południu. Proszę nie zaprzeczać. Bzdur! Ona za dużo rozmyśla.

— Zauważyłem, że jest przemęczona — powiedział łagodnie Poirot.

— Cóż, mówiąc prawdę, nie miała zbyt szczęśliwego życia. Trudno udawać, że było inaczej. Jeśli mogę być szczerą, panie Poirot, lord Edgware był dziwakiem. Tacy jak on nie powinni mieć nic wspólnego z wychowywaniem dzieci. Mówiąc szczerze, terroryzował Geraldine.

Poirot skinął głową.

— Tak, mogę to sobie wyobrazić.

— Był dziwakiem. Nie całkiem wiem, jak to wyrazić... lubił, kiedy wszyscy się go bali. Najwyraźniej sprawiało mu to chorobliwą przyjemność.

— Zgadzam się.

— Był wyjątkowo odczytany, miał wybitny umysł. Lecz pod pewnymi względami... sama nie zetknęłam się z tą stroną jego charakteru, choć ona istniała. Właściwie nie dziwi mnie, że żona go opuściła. Obecna żona. Niech pan pamięta, że nie pochwalam jej zachowania. Nie mam na jej temat żadnego zdania. Ale uważam, że wychodząc za lorda Edgware'a, dostała dużo więcej, niż sobie zasłużyła. Porzuciła go i, jak to się mówi, nikomu nie złamało to serca. A Geraldine nie mogła go zostawić. Na długi czas zupełnie o niej zapomniał, a potem nagle sobie przypomniał. Czasami myślę, choć prawdopodobnie nie powinnam tego mówić...

— Ależ proszę, *mademoiselle*, niech pani mówi.

— Czasami myślę, że w ten sposób mścił się na matce, to znaczy swojej pierwszej żonie. Była delikatnym stworzeniem o słodkiej naturze. Zawsze jej żałowałam. Nie powinnam o tym wspominać, panie Poirot, ale chodzi mi o ten głupi wybuch Geraldine. To, co mówiła o nienawiści do ojca, musiało brzmieć dziwnie dla każdego, kto jej nie zna.

— Bardzo pani dziękuję, *mademoiselle*. Przypuszczam, że lord Edgware postąpiłby dużo lepiej, gdyby się nigdy nie ożenił.

— O wiele lepiej.

— Nie myślał o tym, by ożenić się po raz trzeci?

— Przecież nie mógł! Jego żona żyła.

— Dając jej wolność, sam by ją odzyskał.

— Sądzę, że miał już dość kłopotów z dwiema żonami — odparła ponuro panna Carroll.

— Tak więc według pani trzecie małżeństwo nie wchodziło w grę. Nie miał nikogo? Proszę pomyśleć, *mademoiselle*. Nikogo?

Panna Carroll zaczerwieniła się.

— Nie rozumiem, dlaczego tak się pan przy tym upiera. Oczywiście, że nie miał nikogo.

XIV

Pięć pytań

— Dlaczego spytałeś pannę Carroll, czy lord Edgware chciał ożenić się po raz trzeci? — rzuciłem zaciekawiony, kiedy jechaliśmy do domu.

— Po prostu przyszło mi na myśl, że istnieje taka możliwość, *mon ami*.

— Ale dlaczego?

— Szukałem w myślach czegoś, co wyjaśniłoby nagłą *volte-face* lorda Edgware'a w sprawie rozwodu. Jest w tym coś dziwnego, przyjacielu.

— Tak — przyznałem z zastanowieniem. — To dość osobliwe.

— Widzisz, Hastings, lord Edgware potwierdził to, co wcześniej mówiła nam *madame*. Zatrudniła prawników wszelkiego autoramentu, lecz on nie chciał ustąpić bodaj na krok. Nie zgadzał się na rozwód. A potem raptem zmienił zdanie!

— Albo tylko tak mówił — przypomniałem mu.

— To prawda, Hastings. To bardzo słuszne spostrzeżenie. Tylko tak mówił. Nie mamy dowodu, że napisał ten list. *Eh bien*, założmy, że *ce monsieur* kłamie. Z jakichś powodów podaje nam zmyśloną, upiększoną historyjkę. Czy rzeczywiście kłamie? Cóż, tego nie wiemy. Zakładając jednak hipotetycznie, że naprawdę go napisał, musiał mieć jakiś powód. Powód, który nasuwa się przede wszystkim, to możliwość, że nieoczekiwanie spotkał kobietę, którą pragnął poślubić. To idealnie wyjaśnia raptowną zmianę poglądów. Tak więc moje pytanie było oczywiste.

— Panna Carroll bardzo zdecydowanie odrzuciła tę myśl.

— Zauważyłem.

— Tak. Panna Carroll... — zaczął Poirot z namysłem. — Co sugerujesz? — spytałem poirytowany. Poirot jest mistrzem w sugerowaniu wątpliwości samym tonem głosu.

— Jaki miałyby powód, by kłamać w takiej sprawie? — spytałem.

— *Aucune... aucune*. Widzisz, Hastings, trudno ufać jej słowom.

— Uważasz, że kłamie? Ale po co? Wygląda na bardzo uczciwą osobę.

— No właśnie. Czasami trudno odróżnić umyślne kłamstwo od bezinteresownej niedokładności.

— Co masz na myśli?

— Świadome oszustwo to jedno. Lecz pewność co do faktów, własnych przekonań i ich prawdziwości z pominięciem nieistotnych szczegółów — to, mój przyjacielu, charakterystyczna cecha ludzi wyjątkowo uczciwych. Zauważ, że skłamała już w jednej sprawie. Powiedziała, że widziała twarz Jane Wilkinson, mimo że najprawdopodobniej nie miała takiej możliwości. Jak to się stało? Załóżmy, że było tak: spogląda z góry i widzi w holu Jane Wilkinson. Bez najmniejszych wątpliwości przyjmuje, że to naprawdę jest Jane Wilkinson. Po prostu to wie. Mówi, że wyraźnie widziała jej twarz, ponieważ jest tak pewna tego, co dla niej jest faktem, że zupełnie lekceważy szczegóły! Udowadniam jej, że nie mogła widzieć twarzy Jane. I co? Cóż, jakie znaczenie ma to, czy widziała jej twarz, czy nie, skoro to była Jane Wilkinson. Podobnie traktuje inne pytania. Ona przecież wie. Odpowiada na nie, opierając się na własnej wiedzy, a nie zapamiętanych faktach. Świadka przekonanego o swoich racjach zawsze należy traktować podejrzliwie, przyjacielu. Świadek niepewny, który nie pamięta dokładnie, ma wątpliwości, najpierw się zastanowi: Ach! Tak, tak to było. Na takim można po stokroć bardziej polegać.

— Mój Boże, Poirot, zburzyłeś wszystkie moje wyobrażenia o świadkach — powiedziałem.

— W odpowiedzi na moje pytanie, czy lord Edgware zamierza się powtórnie ożenić, wyśmiewa sam pomysł. Po prostu dlatego, że nigdy nie przyszedł jej do głowy. Nawet nie próbuje przypomnieć sobie wskazujących na taką możliwość ledwo dostrzegalnych oznak. Dlatego też jesteśmy dokładnie w tym samym punkcie, w którym byliśmy wcześniej.

— Na pewno nie wyglądała na zaskoczoną, kiedy udowodniłeś, że nie mogła zobaczyć twarzy Jane Wilkinson — powiedziałem w zamyśleniu.

— Nie, i dlatego uznałem, że należy do uczciwych, lecz niedokładnych świadków, a nie świadomych kłamców. Nie widzę powodu, by miała kłamać, chyba że... rzeczywiście, to jest to!

— Co? — spytałem niecierpliwie. Lecz Poirot potrząsnął głową.

— Nasunął mi się pewien pomysł. Ale to zbyt nieprawdopodobne. Tak, zbyt nieprawdopodobne.

Nie zgodził się zdradzić nic więcej.

— Wydaje się, że jest bardzo przywiązana do dziewczyny — zauważyłem.

— Tak. Zdecydowanie chciała być obecna przy naszej rozmowie. Jakie są twoje wrażenia na temat szanownej Geraldine Marsh, Hastings?

— Współczułem jej, i to głęboko.

— Zawsze miałeś miękkie serce. Piękność w tarapatach za każdym razem wytrąca cię z równowagi.

— Nie czułeś tego samego? Przytaknął z powagą.

— Tak. Nie miała szczęśliwego życia. To jest wyraźnie wypisane na jej twarzy.

— W każdym razie — zacząłem ciepło — zdajesz sobie sprawę, jak niedorzeczna była sugestia Jane Wilkinson... mówię o tym, żeby taka dziewczyna miała cokolwiek wspólnego ze zbrodnią.

— Niewątpliwie jej alibi jest zadowalające, choć Japp jeszcze mi go nie przedstawił.

— Drogi Poirot, czy chcesz powiedzieć, że nawet po zobaczeniu jej i rozmowie wciąż nie jesteś usatysfakcjonowany i czekasz na alibi?

— *Eh bien*, przyjacielu, a co wynika z tego, że ją widziałem i że z nią rozmawiałem? Dostrześliśmy, że przeżyła wielkie nieszczęścia, ona przyznała, że nienawidziła ojca i cieszy się z jego śmierci, oraz że jest bardzo zdenerwowana tym, co mógł powiedzieć nam wczoraj rano. I po tym wszystkim ty mówisz: alibi nie jest potrzebne!

— Sama szczerść dowodzi jej niewinności — powiedziałem ciepło.

— Szczerść jest charakterystyczną cechą tej rodziny. Nowy lord Edgware szerokim gestem wyłożył karty na stół.

— Rzeczywiście — przyznałem, uśmiechając się na to wspomnienie. — Dość oryginalna metoda.

Poirot przytaknął.

— Jak ty to mówisz? Straciliśmy grunt przed nogami.

— Pod nogami — poprawiłem go. — Tak, wyszliśmy na głupców.

— Cóż za dziwaczny pomysł. Może ty wyszedłeś na głupca. Ja w najmniejszym stopniu nie czułem się głupio i nie sędzę, że bym tak wyglądał. Wprost przeciwnie, przyjacielu, to ja wytrąciłem go z równowagi.

— Naprawdę? — powiedziałem z powątpieniem, ponieważ nie przypominałem sobie żadnych oznak tego, o czym mówił Poirot.

— *Si*. Słuchałem go cierpliwie. Na koniec zadałem pytanie na zupełnie inny temat, a to wytrąciło z równowagi naszego dzielnego *monsieur*. Nie umiesz obserwować, Hastings.

— Myślałem, że jego przerażenie i zaskoczenie śmiercią Carlotty było szczere — powiedziałem. — Ty pewnie uznałeś je za sprytną grę.

— Tego nie sposób stwierdzić. Zgadzam się, że wyglądało to prawdziwie.

— Dlaczego uważasz, że w tak cyniczny sposób wcisnął nam wszystkie fakty? Dla czystej rozrywki?

— To zawsze jest możliwe. Wy, Anglicy, macie dziwaczne poczucie humoru. Choć może to

uprzejmość. Fakty, które ukrywacie, nabierają podejrzaney wagi. Fakty, które szczerze podajecie, wydają się mniej ważne, niż są naprawdę.

— Na przykład poranna kłótnia z jego wujem?

— Właśnie. Wie, że i tak wyjdzie na jaw. *Eh bien*, podsuwa nam ją pod nos.

— Nie jest takim głupcem, na jakiego wygląda.

— Och! Wcale nie jest głupi. Ma bystry umysł, kiedy tylko chce mu się go użyć. Doskonale wie, na czym stoi i, jak mówiłem, wyklada karty na stół. Grywasz w brydża, Hastings. Powiedz mi, kiedy się to robi?

— Sam grasz w brydża — odparłem ze śmiechem. — Świetnie wiesz, kiedy: gdy reszta lew jest twoja i chcesz zaoszczędzić czasu i przejść do następnej partii.

— Tak, *mon ami*, to wszystko prawda. Lecz czasem jest ku temu inny powód. Dostrzegłem go kilka razy, grając z *les dames*. Któraś ma wątpliwości. *Eh bien, la dame* rzuca karty na stół i mówi: „Reszta jest moja”. Zbiera wszystkie lewy i zaczyna nowe rozdanie. Prawdopodobnie pozostali gracze przystają na to, zwłaszcza jeśli nie są zbyt doświadczeni. Jednak zauważ, że wygrana nie jest oczywista. Wymaga przemyślenia i w połowie następnej gry jeden z graczy zaczyna się zastanawiać: „Tak, ale chcąc nie chcąc, musiałaby rzucić czwartego kiera ze stołu, a potem wyjść w niskie trefle i moja dziewiątka byłaby biorąca”.

— Tak myślisz?

— Myślę, Hastings, że zbyt wielka brawura jest bardzo ciekawym zjawiskiem. Myślę też, że najwyższy czas na obiad. *Une petite omelette, n'est ce pas?* A potem, o dziewiątej, chciałbym jeszcze złożyć komuś wizytę.

— Komu?

— Najpierw zjemy obiad. Nie będziemy omawiać sprawy, póki nie wypijemy kawy. Podczas jedzenia umysł staje się sługą żołądka.

Poirot dotrzymał słowa. Poszliśmy do niewielkiej restauracji w Soho, gdzie dobrze go znano, i zjedliśmy przepyszny omlet, solę, kurczaka i *baba au rhum*, które uwielbiał aż do przesady.

Potem, pijąc niespiesznie kawę, Poirot uśmiechnął się do mnie z sympatią.

— Mój drogi przyjacielu — zaczął — polegam na tobie bardziej, niż przypuszczasz.

Te nieoczekiwane słowa zmieszały mnie i zachwyciły. Nigdy przedtem Poirot nie powiedział mi nic podobnego. Czasami czułem w sercu skrywaną urazę. Wydawało się, że niemal wychodzi z siebie, by zdyskredytować moje zdolności intelektualne.

Choć nie sądziłem, by poczuł, że jego własne zdolności nieco się wyczerpały, raptem

uświadomiłem sobie, że być może jest bardziej zależny od mojej pomocy, niż sądzi.

— Tak — ciągnął marzycielsko — może nie zawsze rozumiesz, co się dzieje, lecz często ci się to udaje i wówczas wskazujesz mi drogę.

Z trudem wierzyłem własnym uszom.

— Doprawdy, Poirot — wyjąkałem. — Bardzo się cieszę. Pewnie przy okazji sporo się od ciebie nauczyłem.

Potrząsnął głową.

— *Mais non, n'est ce pas ça*. Niczego się nie nauczyłeś.

— Och! — wykrzyknąłem zaskoczony.

— Tak właśnie powinno być. Żaden człowiek nie powinien uczyć się od drugiego. Każdy musi maksymalnie rozwinać własne umiejętności, a nie usiłować naśladować innych. Nie życzę ci, byś stał się drugim, gorszym Pokotem. Chcę, byś był lepszym Hastingsem. I jesteś. W tobie odkrywam niemal doskonałą ilustrację normalnego umysłu.

— Mam nadzieję, że nie jestem nienormalny.

— Nie, nie. Jesteś wspaniale, idealnie zrównoważony. Uosobienie zdrowego rozsądku. Czy zdajesz sobie sprawę, co to dla mnie znaczy? Kiedy przestępca przystępuje do popełnienia zbrodni, jego pierwszym wysiłkiem jest oszukać. Kogo pragnie oszukać? Tego, kogo wyobraża sobie jako normalnego człowieka. W rzeczywistości zapewne taki ktoś nie istnieje, jest tylko matematyczną abstrakcją. Lecz ty jesteś tak bliski tej abstrakcji, jak to możliwe. Bywają chwile, kiedy masz przebłycki geniuszu, kiedy wznosisz się nad przeciętność i chwile... mam nadzieję, że mi wybaczysz, kiedy stajesz się zaskakująco tępy. W sumie jednak jesteś zdumiewająco wprost normalny. *Eh bien*, jaka z tego korzyść dla mnie? To proste: jak w lustrze widzę odbite w twoim umyśle to, w co przestępca chce, bym uwierzył. To jest niesłychanie pomocne i rozwijające.

Nie całkiem rozumiałem. Wydało mi się, że słowa Poirota trudno uznać za komplement. On jednak szybko wyprowadził mnie z błędu.

— Źle się wyraziłem — powiedział pośpiesznie. — Potrafisz zajrzeć w umysł przestępcy, czego ja nie umiem. Pokażesz mi, w co przestępca chce, bym uwierzył. To wielki dar.

— Intuicja — powiedziałem z namysłem. — Tak, być może mam intuicję.

Spojrzałem ponad stołem na Poirota. Palił jednego z tych swoich cieniutkich papierosów i przyglądał mi się z ogromną życzliwością.

— *Ce cher* Hastings — mruknął. — Naprawdę bardzo cię lubię.

Było mi miło, lecz czułem się zakłopotany i pośpiesznie zmieniłem temat.

— Daj spokój — rzuciłem energicznym tonem. — Porozmawiajmy o sprawie.

— *Eh bien.* — Poirot odrzucił w tył głowę, zmrużył oczy. Wolno wydmuchał kłęb dymu. — *Je mepose des questions* — zaczął.

— Tak? — powiedziałem z entuzjazmem.

— Ty bez wątpienia również?

— Oczywiście — odrzekłem. Tak samo jak on oparłem się, zmrużyłem oczy i wyrzuciłem z siebie:

— Kto zabił lorda Edgware'a?

Poirot natychmiast usiadł prosto i energicznie potrząsnął głową.

— Nie, nie. Wcale nie takie. I to ma być pytanie? Zachowujesz się jak ktoś, kto czyta kryminał i zaczyna podejrzewać każdą postać po kolei, bez sensu ani logiki. Przyznaję, że raz sam musiałem tak zrobić, lecz był to wyjątkowy przypadek. Opowiem ci o tym któregoś dnia. Odniosłem wtedy sukces. Lecz o czym to mówiliśmy?

— O pytaniach, które sobie zadajesz — przypominałem mu sucho. Na końcu języka miałem odpowiedź, że prawdziwy pożytek, jaki Poirot ma ze mnie, polega na zapewnianiu mu towarzysza, przed którym może się chełpić. Powstrzymałem się jednak. Jeśli chce mnie pouczać, niech mu będzie.

— Dalej — rzuciłem. — Posłuchajmy ich.

Tego właśnie potrzebowała jego próżność. Ponownie oparł się wygodnie.

— Pierwsze pytanie już omówiliśmy. Dlaczego lord Edgware zmienił zdanie w sprawie rozwodu? Nasuwają mi się ze dwa rozwiązania. Jedno już znasz.

Drugie pytanie, jakie sobie postawiłem, brzmi: co się stało z listem? W czyim interesie leżało, by lord Edgware i jego żona pozostali małżeństwem?

Po trzecie: Co miał znaczyć wyraz jego twarzy, który dostrzegłeś, odwracając się tamtego ranka przed wyjściem z biblioteki? Czy masz na to jakąś odpowiedź, Hastings?

Potrząsnąłem przecząco głową.

— Zupełnie tego nie rozumiem.

— Jesteś pewien, że nie była to tylko twoja wyobraźnia? Czasami, Hastings, twoja wyobraźnia jest *un peu vif*.

— Nie, nie. — Energicznie pokręciłem głową. — Na pewno się nie pomyliłem.

— *Bien.* W takim razie ten fakt należy wyjaśnić. Czwarte pytanie dotyczy binokli. Ani Jane

Wilkinson, ani Carlotta Adams nie nosiły okularów. W takim razie, co one robiły w torebce Carlotty?

Wreszcie piąte pytanie: dlaczego ktoś dzwonił i sprawdzał, czy Jane Wilkinson jest w Chiswick, oraz kto to był?

Tymi właśnie pytaniami torturuję samego siebie, przyjacielu. Gdybym mógł na nie odpowiedzieć, czułbym się szczęśliwy. Gdybym tylko mógł stworzyć teorię, która by je zadowalająco wyjaśniała, moja *amour propre* nie cierpiałaby tak bardzo.

— Jest jeszcze kilka innych pytań — powiedziałem.

— To znaczy?

— Kto namówił Carlottę Adams do tej maskarady? Gdzie była tamtego wieczoru przed i po dziesiątej? Kim jest D., który podarował jej złote puzderko?

— Te pytania są oczywiste same w sobie — odparł Poirot. — Nie ma w nich żadnej subtelności. To po prostu rzeczy, których nie wiemy. Pytania o fakty. Możemy je poznać w każdej chwili. Natomiast moje pytania są natury psychologicznej, *mon ami*. Małe szare komórki...

— Poirot — rzuciłem zdesperowany. Czuję, że za wszelką cenę muszę go powstrzymać. Nie zniósłbym kolejnego wykładu o szarych komórkach. — Mówiłeś o jakimś spotkaniu dziś wieczór?

Poirot spojrział na zegarek.

— To prawda — powiedział. — Zadzwoń i dowiem się, czy mu odpowiada.

Odszedł i po kilku minutach powrócił.

— Chodźmy — rzucił — wszystko w porządku.

— Dokąd idziemy? — spytałem.

— Do domu sir Montagu Cornera w Chiswick. Chciałbym dowiedzieć się czegoś więcej o tym telefonie.

Sir Montagu Corner

Dochodziła dziesiąta, kiedy dotarliśmy do położonego nad rzeką domu sir Montagu Cornera w Chiswick. Był to duży budynek wzniesiony w głębi parku. Wprowadzono nas do wyłożonego piękną boazerią holu. Po prawej przez otwarte drzwi widzieliśmy jadalnię z długim, błyszczącym stołem oświetlonym świecami.

— Tędy proszę. — Lokaj powiódł nas szerokimi schodami na pierwsze piętro do pokoju, którego okna wychodziły na rzekę.

— Pan Herkules Poirot — obwieścił.

Był to pokój o pięknych proporcjach, a lampy ze starannie dobranymi matowymi kloszami dawały nastrojowe światło. W jednym rogu, pod otwartym oknem, stał stolik do brydża, wokół którego siedziały cztery osoby. Kiedy weszliśmy, jedna z nich wstała i podeszła do nas.

— To wielka przyjemność poznać pana, panie Poirot.

Z zaciekawieniem przyglądałem się sir Montagu Cornerowi. Miał wyraźnie semickie rysy, bardzo małe, inteligentne czarne oczy i starannie dobrany tupecik. Był niski — najwyżej pięć stóp osiem cali wzrostu, jak oceniłem. Zachowywał się w sposób wyjątkowo afektowany.

— Pozwoli pan, że go przedstawię. To państwo Widburnowie.

— Spotkaliśmy się już — zauważyła bystrze pani Widburn.

— A to pan Ross.

Pan Ross miał jakieś dwadzieścia dwa lata, sympatyczną twarz i jasne włosy.

— Przerwałem państwu grę. Po tysiącuroć przepraszam — powiedział Poirot.

— Ależ nie. Jeszcze nie zaczęliśmy. Właśnie mieliśmy rozdać karty. Filiżankę kawy, panie Poirot?

Poirot podziękował, ale zgodził się wypić starą brandy. Przyniesiono ją w ogromnych kieliszkach.

Kiedy piliśmy, sir Montagu kontynuował rozmowę.

Mówił o japońskich drzeworytach, chińskiej emalii, perskich dywanach, francuskich impresjonistach, nowoczesnej muzyce i teorii Einsteina.

Potem wrócił na krzesło i uśmiechnął się do nas dobrotliwie. Wyraźnie przemowa sprawiła mu

przyjemność. W przyćmionym świetle wyglądał jak średniowieczny alchemik. Pokój wypełniały wspaniałe dzieła sztuki.

— Nie będę dłużej nadużywał pańskiej uprzejmości, sir Montagu — odezwał się Poirot — i przejdę do celu mojej wizyty.

Sir Montagu zamachał szponiastą dłonią.

— Nie ma pośpiechu. Czas jest bezkresny.

— Zawsze odnoszę takie wrażenie w tym domu — wtrąciła pani Widburn. — Jest tak cudowny.

— Za milion funtów nie zamieszkałbym w Londynie — oznajmił sir Montagu. — Tu mam atmosferę spokoju starego świata, która, niestety, w dzisiejszych burzliwych czasach przepadła.

Przyszło mi do głowy nagle, zabawne spostrzeżenie, że gdyby ktoś naprawdę ofiarował sir Montagu milion funtów, spokój starego świata mógłby stracić znaczenie. Zdusiłem w sobie tę heretycką myśl.

— Ostatecznie, cóż znaczą pieniądze? — wymruczała pani Widburn.

— Ach! — westchnął pan Widburn, zamyślony, i z roztargnieniem zabrzęczał monetami w kieszeni spodni.

— Charles — rzuciła z naganą jego żona.

— Przepraszam — powiedział pan Widburn i wyjął rękę.

— Niewybaczalne jest mówić o zbrodni w takiej atmosferze — zaczął przepraszająco Poirot.

— Ależ skąd. — Sir Montagu zamachał łaskawie dłonią. — Zbrodnia może być dziełem sztuki. Detektyw może być artystą. Nie mówię o policji, oczywiście. Był tu dzisiaj inspektor. Ciekawa osoba. Nigdy nie słyszał o Benvenuto Cellinim.

— Przypuszczam, że przyszedł w sprawie Jane Wilkinson — powiedziała pani Widburn z ożywieniem.

— Szczęśliwie się złożyło dla lady Edgware, że była w pana domu wczorajszej nocy — zauważył Poirot.

— Na to wygląda — zgodził się sir Montagu. — Zaprosiłem ją, wiedząc, że jest piękna i utalentowana. Miałem nadzieję, że na coś się jej przydam. Rozważała, czy nie zająć się interesami. Wydaje się jednak, że moim przeznaczeniem było przysłużyć się jej w zupełnie inny sposób.

— Jane miała szczęście — orzekła pani Widburn, — Umierała z chęci pozbycia się Edgware'a, i oto ktoś zjawił się i zaoszczędził jej kłopotu. Teraz wyjdzie za młodego księcia Merton. Wszyscy to mówią. Jego matka jest wściekła.

— Wywarła na mnie korzystne wrażenie — powiedział sir Montagu łaskawie. — Rzuciła kilka nadzwyczaj inteligentnych uwag o sztuce greckiej.

Uśmiechnąłem się w duchu, wyobrażając sobie Jane, gdy mówi „tak” i „nie”, „to naprawdę cudowne” swoim magicznym, matowym głosem. Sir Montagu należał do ludzi, dla których inteligencja i polegała na umiejętności słuchania jego własnych uwag w należyтым skupieniu.

— Pod każdym względem Edgware był dziwakiem — rzucił pan Widburn. — Powiem nawet, że miał kilku zaciętych wrogów.

— Czy to prawda, panie Poirot, że ktoś pchnął go w kark scyzorykiem? — zapytała pani Widburn.

— Tak jest, *madame*. Zrobiono to właściwie i skutecznie. Mówiąc ściśle: profesjonalnie.

— Widzę, że sprawia to panu artystyczną przyjemność — zauważył sir Montagu.

— A teraz pozwolę państwu, że przejdę do celu mej wizyty — powiedział Poirot. — Podczas obiadu lady Edgware została odwołana do telefonu. Szukam informacji właśnie w sprawie tego telefonu. Może pozwoli mi pan przepytac służbę?

— Oczywiście, oczywiście. Naciśnij dzwonek, Ross, dobrze?

W odpowiedzi na sygnał zjawił się lokaj. Był to wysoki mężczyzna w średnim wieku, o aparycji duchownego.

Sir Montagu wyjaśnił, czego od niego oczekuje. Lokaj zwrócił się uprzejmie w stronę Poirota.

— Kto odebrał telefon? — zaczął detektyw.

— Ja sam, proszę pana. Aparat znajduje się we wnęce obok holu.

— Czy rozmówca chciał rozmawiać z lady Edgware, czy też z Jane Wilkinson?

— Lady Edgware.

— Co dokładnie powiedział? Służący zastanowił się przez chwilę.

— O ile sobie przypominam, powiedziałem: „Halo?”. Na to jakiś głos spytał, czy to Chiswick czterdzieści trzy, czterysta trzydzieści cztery. Potwierdziłem. Wtedy poproszono mnie, bym chwilę zaczekał. Inny głos zadał to samo pytanie, a na moją twierdzącą odpowiedź zapytał: „Czy lady Edgware jest u państwa na obiedzie?”. Odpowiedziałem, że tak. Na to głos: „Chcę z nią rozmawiać”. Podeszedłem do stołu i przekazałem informację milady. Kiedy wstała, pokazałem jej, gdzie jest aparat.

— A dalej?

— Milady podniosła słuchawkę i powiedziała: „Halo? Kto mówi?”. A potem: „Tak, zgadza się.

Tu lady Edgware”. Właśnie miałem ją opuścić, kiedy zawołała mnie i powiedziała, że rozmówca się rozłączył. Ponoć roześmiał się i odłożył słuchawkę. Spytała mnie, czy ten, kto dzwonił, podał swoje nazwisko. Nie zrobił tego. To wszystko, proszę pana. Poirot zmarszczył czoło.

— Naprawdę uważa pan, że ten telefon ma coś wspólnego z morderstwem, panie Poirot? — zapytała pani Widburn.

— Trudno to orzec, *madame*. To po prostu dziwne zdarzenie.

— Czasami ludzie dzwonią dla żartu. Dzwoniono tak do mnie.

— *C'est toujours possible, madame*. — Znów zwrócił się do lokaja: — Czy był to głos mężczyzny, czy kobiety?

— Myślę, że kobiety, proszę pana.

— Wysoki czy niski?

— Niski, proszę pana. Staranny i wyraźny. — Służący umilkł na chwilę. — Może to tylko moja wyobraźnia, ale brzmiał jak głos obcokrajowca. „R” wymawiano bardzo wyraźnie.

— Jeśli tylko o to chodzi, dzwoniący mógł mówić ze szkockim akcentem, Donaldzie — zauważyła pani Widburn, uśmiechając się do Rossa.

Ross roześmiał się głośno.

— Jestem niewinny — powiedział. — Siedziałem wtedy za stołem. Poirot ponownie zwrócił się do lokaja.

— Czy moglibyście rozpoznać ten głos, gdybyście go znów usłyszeli?

Służący zawahał się.

— Nie jestem całkiem pewien, proszę pana. Być może. Wydaje mi się to możliwe.

— Dziękuję, przyjacielu.

— Dziękuję panu.

Lokaj skłonił głowę i usunął się, do ostatniej chwili zachowując postawę godną prałata.

Sir Montagu Corner nadal był przyjacielski; odgrywał rolę czarującego przedstawiciela starego świata. Przekonał nas, byśmy zostali i zagrali w brydża. Ja się wymówiłem — stawki były wyższe, niż mogłem sobie pozwolić. Młody Ross najwyraźniej z ulgą przyjął fakt, że ktoś przejmuje jego karty. Siedzieliśmy razem, patrząc, jak pozostała czwórka przystępuje do gry. Wieczór zakończył się wysoką wygraną Poirota i sir Montagu.

Potem podziękowaliśmy gospodarzowi i opuściliśmy towarzystwo. Ross dołączył do nas.

— Dziwny człowieczek — zauważył Poirot, kiedy wyszliśmy w mrok.

Noc była piękna i postanowiliśmy iść pieszo, póki nie złapiemy taksówki, zamiast wzywać ją telefonicznie.

— Tak, dziwny człowieczek — powtórzył Poirot.

— Bardzo bogaty człowieczek — dorzucił z uczuciem Ross.

— Tak przypuszczam.

— Wydaje się, że mnie polubił — ciągnął Ross. — Mam nadzieję, że na dłużej. Poparcie takiego człowieka wiele znaczy.

— Jest pan aktorem, panie Ross?

Ross przytaknął. Chyba zasmucił go fakt, że nie rozpoznaliśmy z miejsca jego nazwiska. Najwyraźniej zdobył ostatnio wspaniałe recenzje za jakąś ponurą sztukę tłumaczoną z rosyjskiego.

Kiedy wraz z Poirotem ułagodiliśmy go, mój przyjaciel zapytał niedbale:

— Znał pan Carlottę Adams, prawda?

— Nie. Dziś wieczór przeczytałem w gazecie informację o jej śmierci. Przedawkowała jakiś lek. Wszystkie te dziewczyny narkotyzują się w zupełnie idiotyczny sposób.

— Tak, to smutne. Była bardzo bystra.

— Tak przypuszczam.

Przejawiał typowy brak zainteresowania losami kogokolwiek innego poza sobą samym.

— Widział ją pan na scenie? — spytałem.

— Nie. Takie przedstawienia nie bardzo mnie pociągają. Teraz wszyscy za nimi szaleją, ale według mnie to nie potrwa długo.

— Ach! — rzekł Poirot. — Jest taksówka. Zamachał laską.

— Ja chyba pójdę dalej — powiedział Ross. — Z Hammersmith złapię pociąg prosto do domu. — Raptem roześmiał się nerwowo. — Dziwna sprawa, ten wczorajszy obiad — rzucił.

— Tak?

— Było nas trzynaścioro. Jakiś facet zrezygnował w ostatniej chwili. Nie zauważyliśmy tego aż do końca obiadu.

— Kto wstał pierwszy? — zapytałem.

Wydał z siebie dziwaczny, nerwowy chichot.

— Ja — powiedział.

XVI

Dyskusja

Kiedy dotarliśmy do domu, okazało się, że czeka na nas Japp.

— Pomyślałem sobie, że wpadnę i pogadam z panem, Poirot, zanim ruszę dalej — powiedział wesoło.

— *Eh bien*, przyjacielu, jak panu idzie?

— Nie za dobrze, to fakt. Wyglądał na przygnębionego.

— Ma pan coś dla mnie, Poirot?

— Ze dwa małe pomysły, które chciałbym przedstawić — odparł detektyw.

— Pan i pańskie pomysły! W pewnym sensie niezły z pana numer. Nie, żebym nie chciał ich usłyszeć. W tej pana jajowatej głowie siedzi parę niezłych pomysłów.

Poirot przyjął komplement dość oziębło.

— Ma pan coś w sprawie podwójnej lady Edgware? Tego głównie chciałbym się dowiedzieć. Co, panie Poirot? Co pan na to? Kim była?

— O tym właśnie chciałbym z panem pomówić.

Zapytał Jappa, czy kiedykolwiek słyszał o Carlocie Adams.

— Znam to nazwisko, ale w tej chwili z nikim go nie kojarzę.

Poirot wyjaśnił.

— To ona! Potrafi naśladować ludzi, co? Co naprowadziło pana na jej trop? Ma pan coś, z czym można by pójść dalej?

Poirot zrelacjonował mu kroki, które podjęliśmy, i wnioski, do jakich doszliśmy.

— Na Boga, wygląda na to, że ma pan rację. Strój, kapelusz, rękawiczki i tak dalej, wreszcie blond peruka. Tak, to musi być to. Mówię szczerze, Poirot, jest pan niezły. Dobra robota! Choć nie myślę, żeby ktoś usunął ją z drogi. To zbyt pochopny wniosek. Nie całkiem zgadzam się z panem w tej kwestii. Dla mnie pańska teoria jest trochę zbyt fantastyczna. Mam więcej doświadczenia niż pan. Nie wierzę, żeby ktokolwiek namawiał Carlottę Adams do odegrania roli lady Edgware. Choć to rzeczywiście ona odwiedziła lorda Edgware'a. Jej postępowanie tłumaczyłbym w dwojaki sposób.

Poszła tam dla własnych celów: może chodziło o szantaż, skoro sugerowała, że otrzyma jakieś pieniądze. Pokłócili się. On stał się napastliwy, ona też, i wykończyła go. Dodałbym, że po powrocie do domu załamała się. Nie chciała popełnić morderstwa. Przypuszczam, że przedawkowała lek celowo, jako najprostszy sposób wydostania się z matni.

— Uważa pan, że to wyjaśnia wszystkie fakty?

— Oczywiście, jest jeszcze wiele rzeczy, których nie wiemy. Ale to dobra hipoteza robocza, od której można wyjść. Drugie wyjaśnienie jest takie, że maskarada i morderstwo nie mają ze sobą nic wspólnego. Że to po prostu dziwaczny zbieg okoliczności.

Wiedziałem, że Poirot się z tym nie zgadza. Lecz powiedział tylko wymijająco:

— *Mais oui, c'est possible.*

— A może było tak, niech pan posłucha: sam—żart jest dość niewinny. Ktoś dowiaduje się o nim i uznaje, że idealnie pasuje do jego własnych celów. Niezły pomysł? — Na chwilę przerwał, a potem ciągnął dalej: — Chociaż sam wolę teorię numer jeden. Wkrótce i tak odkryjemy, jaki związek łączył lorda z dziewczyną.

Poirot powiedział mi o liście do Ameryki zaniesionym na pocztę przez pokojówkę i Japp przyznał, że ta informacja może się okazać bardzo pomocna.

— Zaraz się tym zajmę — oznajmił, sporządzając notatkę w swoim notesiku. — Bardziej stawiam na lady Edgware jako morderczynię, ponieważ nie mogę znaleźć nikogo innego — wyznał, odłożywszy notes. — Jest oczywiście kapitan Marsh, obecnie lord. Ma motyw wyraźny na miłą, do tego brzydką przeszłość. Zawsze bez pieniędzy i niezbyt sumienny, jeśli o nie chodzi. Co więcej, wczoraj rano pokłócił się z wujem. W rzeczywistości sam mi o tym powiedział, co pozbawia całą sprawę pikanterii. Tak, byłby prawdopodobnym podejrzanym, ale ma alibi na wczorajszy wieczór. Był w operze z Dortheimerami. To bogaci Żydzi z Grosvenor Square. Sprawdziłem to i wszystko się zgadza. Zjadł z nimi obiad, poszedł do opery, a potem na kolację do Sobranisa. To tyle.

— *A mademoiselle?*

— Pyta pan o córkę? Jej również nie było w domu. Jadła obiad z ludźmi nazwiskiem Carthew West. Zabrali ją do opery, a potem odwieźli do domu. Wróciła kwadrans przed północą. To wyłącza ją z grona podejrzanych. Sekretarka wydaje się w porządku. To bardzo kompetentna i przyzwoita kobieta. Jest jeszcze lokaj. Nie mogę powiedzieć, żeby mi się spodobał. To nienaturalne, żeby mężczyzna był aż tak piękny. Jest w nim coś podejrzanego, również w dziwny sposób zaczął służbę u lorda Edgware'a. Tak, sprawdzam go, choć nie rozumiem, jaki mógłby mieć motyw.

— Nie pojawiły się żadne nowe fakty?

— A tak, ze dwa. Trudno orzec, czy cokolwiek znaczą. Jeden to zaginięcie klucza lorda Edgware'a.

— Do frontowych drzwi?

— Tak.

— To z pewnością interesujące.

— Jak wspomniałem, może mieć duże znaczenie albo żadnego. To zależy. Dla mnie trochę bardziej znacząca jest następująca sprawa: wczoraj lord Edgware zrealizował czek na niezbyt dużą sumę, sto funtów. Wybrał pieniądze we francuskich banknotach. Były mu potrzebne na dzisiejszą podróż do Paryża. I te pieniądze zniknęły.

— Kto panu o tym powiedział?

— Panna Carroll. To ona zrealizowała czek i podjęła gotówkę. Wspomniała mi o tym, a ja odkryłem, że pieniędzy nie ma.

— A gdzie były wczorajszego wieczoru?

— Tego panna Carroll nie wie. Przekazała je lordowi Edgware'owi koło wpół do czwartej w kopercie z banku. Siedział wtedy w bibliotece. Wziął je i położył koło siebie na stole.

— To daje do myślenia. Komplikuje sprawę.

— Albo ją upraszcza. Mam jeszcze coś nowego o samej ranie.

— Tak?

— Lekarz mówi, że nie zadano jej zwyczajnym scyzorykiem. Czymś podobnym, lecz o innym kształcie ostrza. Było zdumiewająco ostre.

— Ale nie chodzi o brzytwę?

— Nie, nie. To coś o wiele mniejszego. Poirot zmarszczył czoło w zamyśleniu.

— Wydaje się, że nowy lord Edgware dobrze bawi się swoim żartem — zauważył Japp. — To, że jest podejrzany o morderstwo, uważa za bardzo śmieszne. Dopilnował, byśmy naprawdę zaczęli go podejrzewać. A to wydaje się cokolwiek dziwne.

— Może dowodzi jedynie jego sprytu.

— Ja stawiałbym raczej na nieczyste sumienie. Śmierć wuja jest mu bardzo na rękę. Właśnie wprowadził się do domu.

— Gdzie mieszkał przedtem?

— Przy Martin Street koło St George Road. W niezbyt dobrej dzielnicy.

— Możesz to zanotować, Hastings.

Zrobiłem tak, choć trochę mnie to zdziwiło. Jeśli Ronald wprowadził się na Regent Gate, jego poprzedni adres nie był chyba zbyt przydatny.

— Myślę, że zrobiła to ta Adams — orzekł Japp, wstając. — Wykonał pan całkiem niezłą robotę, Poirot. No, ale pan, oczywiście, chodzi do teatru dla rozrywki. Widzi pan rzeczy, których ja nie mam szans obejrzeć. Szkoda, że nie ma wyraźnego motywu, ale spodziewam się, że wkrótce do jakiegoś dotrzemy.

— Jednej osobie, która ma wyraźny motyw, nie poświęcił pan żadnej uwagi — zauważył Poirot.

— A to komu?

— Dżentelmanowi, który chce ponoć poślubić żonę lorda Edgware'a. Mówię o księciu Merton.

— Tak, on rzeczywiście ma motyw. — Japp się roześmiał. — Lecz człowiek z jego pozycją nie popełnia morderstw. Zresztą, on i tak jest w Paryżu.

— Więc nie uważa go pan za poważnego podejrzanego?

— A pan, Poirot?

Japp opuścił nas, śmiejąc się z tak absurdalnego pomysłu.

XVII

Lokaj

Następny dzień okazał się dniem spokoju dla nas, a wzmożonej aktywności dla Jappa. Wpadł do nas w porze popołudniowej herbaty, zaczerwieniony i wściekły.

— Popełniłem błąd.

— To niemożliwe, przyjacielu — uspokajał go Poirot.

— A jednak. Pozwoliłem, by ten (tu pozwolił sobie na przekleństwo) lokaj wyslizgnął mi się z rąk.

— Zniknął?

— Tak. Zwiął. A najbardziej złości mnie moja własna głupota, ponieważ nawet go nie podejrzewałem.

— Proszę się uspokoić. Niechże pan ochłonie.

— Dobrze panu mówić. Nie byłby pan spokojny, gdyby szef zrobił panu awanturę. Och, to śliski gość. Nie po raz pierwszy zwiął z miejsca pracy. To stary wyga.

Japp przetarł czoło dłonią. Wyglądał jak obraz nędzy i rozpaczy. Poirot mruczał pocieszająco, co przypominało trochę dźwięki wydawane przez kurę, która zniosła jajo. Lepiej znając charakter Anglika, napełniłem szklankę whisky z sodą i postawiłem przed przygnębionym inspektorem. Rozchmurzył się trochę.

— Cóż, nie odmówię — rzekł.

Potem opowiadał już z większym ożywieniem.

— Nawet teraz nie jestem przekonany, że to on jest mordercą! Oczywiście jego ucieczka wygląda niedobrze, ale może miał swoje powody. Widzi pan, zacząłem się do niego dobierać. Najwyraźniej łączy go coś z kilkoma podejrzanymi nocnymi klubami. Nie chodzi o zwykłe sprawy, ale coś o wiele bardziej skomplikowanego i paskudnego. To prawdziwy czarny charakter.

— *Tout de même*, to niekoniecznie oznacza, że jest mordercą.

— Właśnie! Mógł się wplątać w jakieś podejrzone interesy, ale niekoniecznie w morderstwo. Bardziej niż kiedykolwiek jestem pewien, że to ta Adams. Choć nie mam jeszcze żadnych dowodów. Dziś moi ludzie przeczesali jej mieszkanie, lecz nie znaleźli nic, co mogłoby się przydać. To spryciara. Nie trzymała żadnej korespondencji, prócz kilku listów dotyczących kontraktów

finansowych. Schludnie złożone i opisane. Jest kilka listów od siostry z Waszyngtonu, prostych i szczyrych. Trochę dobrej, staroświeckiej biżuterii, ale nic nowego czy drogiego. Nie prowadziła pamiętnika. Jej książeczka bankowa i czekowa nie zawierają niczego ciekawego. Niech to diabli, ta dziewczyna najwyraźniej wcale nie miała prywatnego życia!

— Była zamknięta w sobie — powiedział w zamyśleniu Poirot. — To źle z naszego punktu widzenia.

— Rozmawiałem z kobietą, która u niej sprzątała. I nic. Poszedłem do tej dziewczyny, właścicielki sklepu z kapeluszami, która była, jak się zdaje, jej przyjaciółką.

— Ach! I co pan sądzi o panie Driver?

— Wygląda na bystrą, trzeźwą osobkę. Ale nie mogła mi pomóc. Wcale mnie to nie zdziwiło. Często muszę szukać zaginionych dziewcząt, a ich rodziny i przyjaciele zawsze mówią to samo: „Miała szczerą, wrażliwą usposobienie i nie łączyło jej nic z mężczyznami”. A to nigdy nie jest prawdą. To nienaturalne. Dziewczyna powinna być związana z jakimś mężczyzną. Jeśli nie, coś jest z nią nie tak. Ta głupia lojalność przyjaciół i krewnych czyni żywot detektywa naprawdę trudnym.

Umilkł, by zaczerpnąć tchu, a ja powtórnie napełniłem jego szklankę.

— Dziękuję, kapitanie Hastings, nie odmówię. No i właśnie. Trzeba bez przerwy szukać. Jest jakiś tuzin młodych mężczyzn, z którymi wychodziła na kolację i tańczyła, choć nic nie wskazuje na to, by któryś był ważniejszy od reszty. Ani obecny lord Edgware, ani Bryan Martin, ten gwiazdor, ani pół tuzina innych — żaden nie był dla niej kimś szczególnym, wyjątkowym. Pański pomysł, że za maskaradą stał jakiś mężczyzna, jest zupełnie błędny. Wkrótce odkryje pan, że działała na własną rękę. Teraz szukam związków między nią a zamordowanym. Na pewno istnieją. Przypuszczam, że będę musiał pojechać do Paryża. Na tym złotym puzderku napisano „Paryż”, a zmarły jeździł tam kilkakrotnie zeszłej jesieni, jak wspomniała mi panna Carroll. Uczestniczył w aukcjach i kupował antyki. Tak, pewnie będę musiał tam pojechać. Jutro jest rozprawa. Oczywiście zostanie odroczone. A ja zdążę złapać popołudniowy prom.

— Jest pan niezwykle energiczny, Japp. To mnie zdumiewa.

— Tak, pan się rozleniwił. Tylko siedzi pan sobie i myśli! Uruchamia pan swoje małe szare komórki, jak to pan mówi. To na nic, trzeba wyjść sprawom naprzeciw. Same do pana nie przyjdą.

Do pokoju zajrzała mała pokojówka.

— Pan Bryan Martin, proszę pana. Jest pan zajęty czy może go przyjąć?

— Ja już idę, Poirot. — Japp podniósł się. — Wygląda na to, że radzą się pana wszystkie gwiazdy teatru.

Poirot skromnie wzruszył ramionami, na co Japp się roześmiał.

— Pewnie jest pan już milionerem, Poirot. Co pan robi z pieniędzmi? Oszczędza?

— Cenię sobie oszczędność. A mówiąc o zarządzaniu pieniędzmi: jak lord Edgware rozporządził majątkiem?

— Wszystko, co nie wchodzi w dobra dziedziczone wraz z tytułem, pozostawił córce. Pięćset funtów otrzymała panna Carroll. Nie ma innych darowizn. To bardzo prosty testament.

— A kiedy go spisano?

— Po tym, jak opuściła go żona, ponad dwa lata temu. Wydziedziczył ją.

— Mściwy człowiek — mruknął do siebie Poirot.

Japp odszedł, rzucając na pożegnanie wesołe „na razie”.

Wszedł Bryan Martin. Ubrany był bez zarzutu i wyglądał wyjątkowo przystojnie. Ja jednak dostrzegłem ślady znużenia i przygnębienia.

— Przepraszam, że tyle czasu mi to zajęło, panie Poirot — zaczął ze skruchą. — Zwłaszcza że niepotrzebnie zwracałem panu głowę.

— *En verite?*

— Tak. Widziałem się z wiadomą damą. Kłóciłem się z nią, błagałem, wszystko na darmo. Nie chce słyszeć o tym, by zajął się pan naszą sprawą. Obawiam się, że musimy o wszystkim zapomnieć. Jest mi bardzo, ale to bardzo przykro, że tracił pan na mnie czas.

— *Du tout, du tout* — odparł szczerze Poirot. — Spodziewałem się tego.

— Co? — Młody człowiek był wyraźnie zaskoczony. — Spodziewał się pan tego? — powtórzył ze zdumieniem.

— *Mais oui.* Kiedy wspomniał pan o skonsultowaniu się z przyjaciółką, przewidziałem, że wszystko sprowadzi się do obecnej sytuacji.

— Ma pan więc jakąś teorię?

— Panie Martin, detektyw zawsze ma jakąś teorię. Tego się po nim oczekuje. Sam nie nazywam tego teorią. Mówię, że mam mały pomysł. To pierwszy etap.

— A drugi?

— Jeśli pomysł okaże się prawdziwy, wtedy wiem! Widzi pan, to całkiem proste.

— Czy mógłby pan powiedzieć mi, jak brzmi pańska teoria, czy raczej pomysł?

Poirot łagodnie potrząsnął głową.

— To kolejna zasada. Detektyw nigdy nic nie mówi.

— Nie może pan nawet niczego zasugerować?

— Nie. Powiem jedynie, że stworzyłem swoją teorię, jak tylko napomknął pan o złotym zębie.

Bryan Martin wytrzeszczył oczy.

— Zbił mnie pan zupełnie z tropu — wyznał. — Nie rozumiem, do czego pan zmierza. Gdyby tylko dał mi pan jakąś wskazówkę.

Poirot uśmiechnął się i przecząco pokręcił głową.

— Zmieńmy temat.

— Dobrze, lecz najpierw pańskie honorarium. Musi mi pan pozwolić.

Poirot zamachał władczo dłonią.

— *Pas un sou!* Nie zrobiłem nic, by panu pomóc.

— Zabierałem panu czas...

— Kiedy jakiś przypadek mnie zaciekawi, nawet nie tykam pieniędzy. A pański przypadek bardzo mnie zaciekawił.”

— Cieszę się — powiedział aktor, skrępowany. Wyglądał wyjątkowo nieszczęśliwie.

— Niechże pan da spokój — rzucił zyczliwie Poirot.

— Porozmawiajmy o czymś innym.

— Czy człowiek, którego spotkałem na schodach, nie był tym facetem ze Scotland Yardu?

— Tak, to inspektor Japp.

— Panował półmrok, więc nie byłem pewny. A właśnie: zaszedł do mnie i pytał o tę biedaczkę, Carlottę Adams, która przedawkowała weronal.

— Znał pan dobrze pannę Adams?

— Niezbyt. Znałem ją jako dziecko w Ameryce. Tu natknąłem się na nią parę razy, ale nie widywałem jej często. Było mi bardzo przykro, kiedy dowiedziałem się o jej śmierci.

— Lubił ją pan?

— Tak. Wyjątkowo łatwo się z nią rozmawiało.

— Bardzo sympatyczna osoba, też tak uważam.

— Przypuszczam, że uznają jej śmierć za samobójstwo? Nie wiedziałem nic, co mogłoby pomóc inspektorowi. Carlotta zawsze była zamknięta w sobie.

— Nie sądzę, żeby popełniła samobójstwo — powiedział Poirot.

— Dużo bardziej prawdopodobne, że był to wypadek, zgadzam się. Zapadła cisza. A potem Poirot powiedział z uśmiechem:

— Sprawa śmierci lorda Edgware'a robi się intrygująca, prawda?

— To jest absolutnie zdumiewające. Nie wie pan, czy policja ma pojęcie, kto go zabił? Skoro Jane została definitywnie wykluczona?

— *Mais oui*, mają silne podejrzenia.

Bryan Martin wyglądał na podekscytowanego.

— Naprawdę? Kogo podejrzewają?

— Zniknął lokaj. Rozumie pan: ucieczka jest równoznaczna z przyznaniem się do winy.

— Lokaj! Doprawdy, zaskakuje mnie pan.

— Wyjątkowo przystojny człowiek. *E vous ressemble en peu*. — Skinął głową, składając komplement.

Oczywiście! Teraz uświadomiłem sobie, dlaczego twarz Martina wydała mi się trochę znajoma, kiedy po raz pierwszy go ujrzałem.

— Pochlebia mi pan — rzucił Bryan ze śmiechem.

— Nie, nie. Czyż wszystkie dziewczęta, wszystkie służące, podlotki, maszynistki, panny z towarzystwa — czyż wszystkie one nie uwielbiają pana, panie Martin?

— Wiele z nich, jak przypuszczam — przyznał Martin. Podniósł się gwałtownie. — Cóż, bardzo panu dziękuję. Jeszcze raz przepraszam, że pana niepokoiłem.

Podał rękę nam obu. Nagle, jak zauważyłem, wydał się dużo starszy. Jego znużenie stało się bardziej widoczne.

Pożerała mnie ciekawość, i jak tylko drzwi zamknęły się za nim, natychmiast wyskoczyłem z pytaniem:

— Poirot, czy naprawdę spodziewałeś się, że on wróci tu i zrezygnuje ze zbadania tych wszystkich dziwnych rzeczy, które przydarzyły mu się w Ameryce?

— Słyszałeś, co powiedziałem, Hastings.

— Ale w takim razie... — rozumowałem logicznie — w takim razie musisz wiedzieć, kim jest tajemnicza dziewczyna, z którą musiał się porozumieć?

Uśmiechnął się.

— Mam taki mały pomysł, przyjacielu. Jak ci mówiłem, zaczęło się od wzmianki o złotym zębie. Jeśli mój pomysł jest słuszny, wiem, kim jest dziewczyna, wiem, dlaczego nie pozwoliła panu Martinowi skonsultować się ze mną. Znam prawdę. Ty też mógłbyś ją znać, gdybyś tylko korzystał z rozumu, jaki dał ci dobry Bóg. Czasami naprawdę kusi mnie, by uwierzyć, że przez roztargnienie cię przeoczył.

XVIII

Inny człowiek

Nie zamierzam opisywać rozpraw dotyczących lorda Edgware'a i Carlotty Adams. W przypadku Carlotty wyrok brzmiał „śmierć na skutek nieszczęśliwego wypadku”. Sprawę lorda Edgware'a odroczone po przedstawieniu dowodów dotyczących identyfikacji zwłok i zeznań lekarzy. W wyniku analizy treści żołądka ustalono czas śmierci na nie mniej niż godzinę po zakończeniu obiadu, z możliwością wydłużenia go do następnej godziny. To oznaczało okres między dziesiątą a jedenastą, przy czym bardziej prawdopodobna była godzina wcześniejsza.

Nie dopuszczono, by do wiadomości publicznej przedostał się jakikolwiek fakt związany z przebraniem Carlotty za Jane Wilkinson. Rysopis poszukiwanego lokaja opublikowano w prasie i ogólne wrażenie było takie, że to on jest mordercą. Jego opowieść o wizycie Jane Wilkinson uważano za bezczelny wymysł. Nie wspomniano o potwierdzającym jego zeznania świadectwie sekretarki. We wszystkich gazetach pojawiły się artykuły o zbrodni, zawierające jednak niewiele prawdziwych informacji.

W tym czasie, jak wiedziałem, Japp intensywnie pracował. Trochę złościło mnie, że Poirot przyjął tak bierną postawę. Przemknęło mi przez myśl (i to nie pierwszy raz) podejrzenie, że miał z tym coś wspólnego jego podeszły wiek. Usprawiedliwiał się przede mną, jednak nie brzmiało to zbyt przekonująco.

— W moim wieku trzeba unikać kłopotów — wyjaśnił.

— Lecz, Poirot, mój drogi, nie wolno ci uważać się za starca — zaprotestowałem.

Czułem, że potrzebuje zachęty. Wiem, że najnowsza metoda psychologiczna polega na leczeniu poprzez sugestię.

— Masz mnóstwo wigoru, jak zawsze — powtarzałem z zapalem. — Jesteś w sile wieku, Poirot. U szczytu możliwości. Mógłbyś się ruszyć i rozwiązać tę sprawę, gdybyś tylko zechciał.

Poirot odparł, że woli ją rozwiązać, siedząc w domu.

— Ale to ci się nie uda, Poirot.

— Nie do końca, to prawda.

— Chodzi mi o to, że nic nie robimy! To Japp zajmuje się wszystkim.

— Co mi bardzo odpowiada.

— A mnie wcale. Chcę, żebyś się tym zajął.

— Tak robię.

— Co robisz?

— Czekam.

— Na co?

— *Pour que mon chien de chasse me rapporte le gibier** — odparł z błyskiem w oku.

— O czym ty mówisz?

— O poczciwym Jappie. Po co trzymać psa i szczekać samemu? Japp dostarcza nam wyniki fizycznych działań, które tak podziwiasz. Ma do dyspozycji różnorodne środki, których ja nie posiadam. Nie wątpię, że już wkrótce przyniesie nam nowe wieści.

Było prawdą, że dzięki wytrwałemu śledztwu Japp powoli gromadził materiał. Nie powiodło mu się w Paryżu, lecz kilka dni później odwiedził nas, bardzo z siebie zadowolony.

— To mozolna praca — obwieścił — ale wreszcie do czegoś dochodzimy.

— Gratulacje, przyjacielu. Co się stało?

— Odkryłem, że tamtego wieczoru o dziewiątej jakaś jasnowłosa dama zostawiła kuferek w przechowalni na dworcu Euston. Pracownikom pokazano walizeczkę panny Adams, a oni ją zidentyfikowali. Wykonano ją w Ameryce, dlatego trochę się wyróżnia.

— Ach, w Euston. Tak, to ostatnia duża stacja przed Regent Gate. Niewątpliwie poszła tam, przebrała się w toalecie i zostawiła kuferek. Kiedy go odebrano?

— O wpół do dziesiątej. Urzędnik twierdzi, że zrobiła to ta sama kobieta.

Poirot skinął głową.

— Natknąłem się na coś jeszcze. Mam powody wierzyć, że Carlotta Adams była o jedenastej w Lyons Corner House na Strandzie.

— Ach! *C'est tres bien ça!* Jak pan to odkrył?

— Właściwie przypadkiem. W gazetach wspomniano o małym złotym puzderku z inicjałami z rubinów. Napisał o tym jakiś reporter; przygotowywał artykuł o młodych aktorkach zażywających narkotyki. Taka romantyczna bzdura, w sam raz do niedzielnej gazety. Fatalne złote pudełeczko z zabójczą zawartością i żalosa postać młodej dziewczyny, przed którą stoi cały świat! Zastanawiał się, gdzie spędziła ostatni wieczór, co czuła, i tak dalej w podobnym stylu.

Przeczytała to kelnerka w Corner House i przypomniała sobie, że dama, którą obsługiwała tamtego wieczoru, miała w ręku takie właśnie puzderko. Pamiętała, że były na nim inicjały C.A. Bardzo się tym przejęła i zaczęła opowiadać wszystkim przyjacielom. Liczyła, że może dostanie za to coś od gazety.

Młody reporter szybko do niej dotarł, a w dzisiejszym „Evening Shriek” ukaże się ckliwy artykuł o ostatnich godzinach utalentowanej aktorki. O tym, jak czekała na mężczyznę, który nigdy się nie zjawił, o jej przecuciu, że siostra ma jakieś kłopoty. Zna pan te bzdury, Poirot.

— A jak doszło to tak szybko do pańskich uszu?

— Och! Mamy bardzo dobre układy z „Evening Shriek”. Dowiedziałem się o tym, kiedy ten błyskotliwy młody człowiek próbował wyciągnąć ode mnie informacje w innej sprawie. Zaraz pobiegłem do Corner House...

Tak, tak właśnie powinno się to odbywać. Zrobiło mi się żal Poirota. Oto Japp zdobywa wszystko z pierwszej ręki, możliwe, że przeoczą ją przy tym cenne szczegóły, a Poirot zadowala się nieaktualnymi już informacjami.

— Widziałem się z tą dziewczyną i raczej nie mam wątpliwości. Nie potrafiła rozpoznać Carlotty Adams ze zdjęcia, ale przyznała, że nie zwróciła szczególnej uwagi na twarz kobiety. Według jej słów była to osoba młoda, szczupła, ciemnowłosa i bardzo dobrze ubrana. Na głowie miała najmodniejszy kapelusz. Chciałbym, by kobiety dokładniej przyglądały się twarzom, a nie kapeluszom.

— Twarz panny Adams niełatwo zapamiętać — zauważył Poirot. — Jej żywa mimika i wciąż zmieniające się rysy szybko uciekają z pamięci.

— Na pewno ma pan rację. Nie zawracam sobie głowy analizowaniem takich spraw. Dziewczyna mówiła, że kobieta ubrana była na czarno i miała kuferek. Zwróciła na niego uwagę, gdyż uznała za dziwne, że taka elegancka dama nosi ze sobą walizkę. Zamówiła jajecznicę i kawę, ale według dziewczyny chciała jedynie wypełnić czas, czekając na kogoś. Na ręku miała zegarek i bez przerwy na niego spoglądała. Kiedy kelnerka podeszła wręczyć rachunek, zauważyła puzderko. Kobieta wyjęła je z torebki, położyła na stoliku i zaczęła się w nie wpatrywać. Otworzyła pokrywkę, potem znowu zamknęła. Uśmiechała się w rozmarzeniu. Dziewczyna zwróciła uwagę na pudełeczko, bo było takie śliczne. „Chciałabym mieć takie złote puzderko z inicjałami z rubinów” — powiedziała. Panna Adams siedziała jeszcze przez jakiś czas po zapłaceniu rachunku. Wreszcie ponownie spojrzała na zegarek, najwyraźniej poddała się i wyszła.

Poirot zmarszczył brwi.

— Miała *rendez-vous* — wymruczał. — *Rendez-vous* z kimś, kto się nie pojawił. Czy spotkała się z nim później? A może się nie spotkali, Carlotta wróciła do domu i próbowała do niego zadzwonić? Chciałbym to wiedzieć. Och, jak bardzo chciałbym to wiedzieć!

— Ta pańska teoria, Poirot: tajemniczy mężczyzna za kurtyną. Mit tajemniczego mężczyzny. Nie

mówię, że nie czekała na kogoś, to całkiem możliwe. Może umówiła się po tym, jak skutecznie załatwiła sprawę z milordem. Cóż, wiemy w każdym razie, co się wydarzyło. Straciła głowę i zabiła go. Nie należała jednak do osób, które tracą głowę na długo. Przebrała się na dworcu, odebrała walizkę, poszła na spotkanie i tam dopiero, jak to się mówi, wróciła jej świadomość. Przeraziła się tego, co zrobiła. A kiedy jej przyjaciel się nie zjawił, nie mogła tego znieść dłużej. Być może wiedział, że wieczorem wybierała się na Regent Gate. Poczowała, że gra jest skończona. Wyjęła więc swoje pudełeczko z narkotykiem. Za duża dawka — i będzie po wszystkim. Przynajmniej jej nie powieszają. To oczywiste jak nos na pańskiej twarzy.

Dłoń Poirota niepewnie powędrowała do nosa, potem dotknął palcami wąsów. Przyglądał jej czule, z wyraźną dumą.

— Nie ma żadnych dowodów na istnienie tajemniczego człowieka za kurtyną — ciągnął Japp, uparcie podkreślając swoją przewagę. — Nie znalazłem jeszcze niczego, co potwierdzałoby związek łączący tę Adams z lordem Edgware'em, ale znajdę. To tylko kwestia czasu. Muszę przyznać, że Paryż mnie rozczarował, choć dziewięć miesięcy to rzeczywiście sporo czasu. Zostawiłem tam człowieka, który kontynuuje poszukiwania. Może coś nowego wyjdzie na światło dzienne. Wiem, że pan tak nie sądzi. Ma pan głowę upartą jak osioł.

— Najpierw obraził pan mój nos, a teraz głowę!

— To tylko przenośnia — rzucił łagodząco Japp. — Nie chciałem pana obrazić.

— Odpowiedzieć na to można jedynie: „Ani Poirot w to uwierzyć” — wtrąciłem się.

Poirot przeniósł spojrzenie z jednego z nas na drugiego, zaskoczony.

— Jakieś rozkazy? — spytał żartobliwie Japp, stojąc już w drzwiach. Poirot posłał mu wybaczący uśmiech.

— Rozkazy nie. Ale rada.

— Tak? Jaka? Niech pan to z siebie wydusi.

— Radziłbym, żeby rozejrzał się pan wśród taksówkarzy. Znalazł tego, który w noc morderstwa miał jeden kurs albo, co bardziej prawdopodobne, dwa... tak, dwa kursy z okolic Covent Garden do Regent Gate. Jeśli chodzi o czas, będzie to najprawdopodobniej za dwadzieścia jedenasta.

Japp nastawił czujnie ucho. Przypominał mądrego teriera.

— Więc to jest pański pomysł, co? — rzucił. — Cóż, zrobię to. Nie zaszkodzi, a pan czasami wie, co mówi.

Jak tylko wyszedł, Poirot wstał i z energią oczyścił szczotką swój kapelusz.

— Nie zadawaj mi żadnych pytań, przyjacielu. Zamiast tego przynieś benzynę. Rano kawałek omletu spadł mi na kamizelkę.

Przyniosłem, czego żądał.

— Raz przynajmniej czuję, że nie muszę zadawać pytań — odezwałem się. — Wygląda to całkiem jasno. Naprawdę sądzisz, że tak było?

— W tej chwili, *mon ami*, skupiam się wyłącznie na toalecie. Wybacz, lecz nie podoba mi się twój krawat.

— To całkiem ładny krawat — zaprotestowałem.

— Może kiedyś. Czuć go starością, jak kiedyś byłeś łaskaw powiedzieć o mnie. Zmień go, zaklinam cię, i wyczyść prawy rękaw marynarki.

— Wybieramy się z wizytą do króla Jerzego? — spytałem ironicznie.

— Nie. Lecz w porannych gazetach przeczytałem, że księżę Merton powrócił do Merton House. Jak rozumiem, jest czołowym przedstawicielem brytyjskiej arystokracji. Chcę oddać mu należne honory.

Poirot nie ma w sobie nic z socjalisty.

— Dlaczego wybieramy się do księcia Merton?

— Chcę go zobaczyć.

Tyle tylko mogłem z niego wydobyć. Kiedy mój wygląd był wreszcie na tyle przyzwoity, by zadowolić krytyczne oko Poirota, wyszliśmy.

W Merton House kamerdyner zapytał, czy byliśmy umówieni. Detektyw zaprzeczył. Służący oddalił się z wizytówką w rękę i szybko powrócił, by przekazać, że księciu jest przykro, lecz w tej chwili jest wyjątkowo zajęty. Poirot natychmiast usiadł na krześle.

— *Tres bien* — odrzekł. — Zaczekam. Poczekam kilka godzin, jeśli trzeba.

To jednak nie okazało się konieczne. Prawdopodobnie Poirot został przyjęty przez dżentelmena, którego pragnął zobaczyć, ponieważ był to najszybszy sposób na pozbycie się niepożądanego gościa.

Księżę miał jakieś dwadzieścia siedem lat. Chudy i słabowity, nie odznaczał się ujmującym wyglądem. Miał nijakie, rzadkie włosy, łysiejące zakola, wąskie, zaciśnięte usta i półprzytomne, rozmarzone spojrzenie. W pokoju wisiało kilka krzyży oraz parę dzieł sztuki religijnej. Szeroka półka na książki nie zawierała chyba niczego, prócz prac teologicznych. Księżę wyglądał bardziej na zagłodzonego sklepikarza niż na para Anglii. Wiedziałem, że uczył się w domu, ponieważ był wyjątkowo chorowitym dzieckiem. Ten właśnie człowiek z miejsca stał się zdobyczą Jane Wilkinson! Było to całkowicie niedorzeczne. Zachowywał się arogancko i przyjął nas obu w sposób daleki od uprzejmości.

— Być może zna pan moje nazwisko — zaczął Poirot.

— Nigdy się z nim nie zetknąłem.

— Zajmuję się studiowaniem zbrodni.

Książę milczał. Siedział za biurkiem, a przed nim leżał niedokończony list. Stukał niecierpliwie piórem o blat stołu.

— Z jakiego powodu chciał się pan ze mną widzieć? — spytał chłodno.

Poirot siedział naprzeciw niego, plecami do okna, na które patrzył książę.

— Obecnie zajmuję się badaniem okoliczności związanych ze śmiercią lorda Edgware'a.

Na słabej, lecz upartej twarzy księcia nie drgnął nawet mięsień.

— Doprawdy? Nie znałem go.

— Zna pan jednak, jak sądzę, jego żonę, panią Jane Wilkinson?

— To prawda.

— Zdaje pan sobie sprawę, że miała silny motyw, by pragnąć śmierci męża?

— Doprawdy nie jestem świadom niczego takiego.

— Chciałbym zapytać pana wprost, ekscelencjo. Czy zamierza pan wkrótce poślubić panią Jane Wilkinson?

— Kiedy zdecyduję się na zaręczyny, fakt ten zostanie ogłoszony w prasie. Pańskie pytanie uważam za impertynencję. — Podniósł się. — Żegnam.

Poirot również wstał. Wydawał się zakłopotany. Zwiesił głowę i jękając się, powiedział:

— Nie miałem zamiaru... ja... *Je vous demande pardon...*

— Żegnam — powtórzył książę, odrobinę głośniejszym głosem.

Tym razem Poirot się poddał. Uczynił charakterystyczny gest oznaczający bezradność, po czym wyszliśmy. Była to haniebna odprawa.

Było mi żal Poirota. Tym razem jego napuszony styl nie przyniósł efektu. Dla księcia Merton wielki detektyw wyraźnie znaczył mniej niż karaluch.

— Nie wyszło to zbyt dobrze — rzuciłem ze współczuciem. — Cóż za nieprzejednany typ z tego człowieka. Po co naprawdę chciałeś się z nim zobaczyć?

— Żeby się dowiedzieć, czy on i Jane Wilkinson rzeczywiście zamierzają się pobrać.

— Ona tak twierdziła.

— Ach, ona! Przecież zdajesz sobie sprawę, że należy do kobiet, które powiedzą wszystko, co odpowiada ich celom. Mogła postanowić sobie, że za niego wyjdzie, a on, biedak, mógł jeszcze o tym nie wiedzieć.

— Odesłał cię z niczym.

— Rzeczywiście odpowiedział mi tak, jak odpowiedziałby dziennikarzowi. — Poirot zachichotał. — Ale ja wiem! Dokładnie wiem, w czym rzecz.

— Skąd? Po jego zachowaniu?

— Wcale nie. Widziałeś list, który pisał?

— Tak.

— *Eh bien*, za mojej młodości w belgijskiej policji nauczyłem się, jak pożyteczna jest umiejętność czytania do góry nogami. Mam powiedzieć ci, co pisał w liście? „Moja najdroższa Jane, mój ubóstwiany, piękny aniele, jak mam wyrazić, ile dla mnie znaczysz? Ty, która tak wiele wycierpiałaś! Twój wspaniały charakter...”.

— Poirot! — wykrzyknąłem zgorszony, chcąc go powstrzymać.

— Tyle zdążył napisać. „Twój wspaniały charakter, który tylko ja znam”.

Ogromnie się zdenerwowałem. Poirot tak naiwnie cieszył się ze swojego wyczynu.

— Poirot! — powtórzyłem. — Nie możesz robić takich rzeczy. Żeby podglądać prywatny list!

— Pleciesz głupstwa, Hastings. To absurdalne mówić: „nie mogę”, skoro już to zrobiłem!

— To nie... przelewki.

— Morderstwo to nie gra, lecz sprawa poważna. Tak czy inaczej, nie powinieneś być użyć słowa „przelewki”. Tak się już nie mówi, sam to odkryłem. To przestarzały zwrot. Młodzi ludzie śmieją się, kiedy go słyszą. *Mais oui*, młode, piękne dziewczęta wyśmieją cię, jeśli powiesz „przelewki” zamiast „kpiny”.

Milczałem. Nie potrafiłem znieść, że Poirot zachowuje się tak bez trosko.

— To było zupełnie zbyteczne — powiedziałem. — Gdybyś mu choćby wyjaśnił, że poszedłeś do lorda Edgware’a na życzenie Jane Wilkinson, potraktowałby cię zupełnie inaczej.

— Ach, ale ja nie mogłem tego zrobić. Jane Wilkinson była moją klientką. Nie mogę mówić innym o sprawach moich klientów. Podejmuję się poufnych misji i opowiadać o nich byłoby rzeczą niehonorową.

— Niehonorową!

— Właśnie.

— Ale ona zamierza wyjść za niego?

— To nie oznacza, że nie ma przed nim tajemnic. Twoje poglądy na małżeństwo są bardzo staromodne. Nie, nie mogłem zrobić tego, co proponujesz. Jako detektyw mam honor, o który muszę dbać. Honor to rzecz wielkiej wagi.

— Cóż, na świecie jest zapewne wiele rodzajów honoru.

XIX

Wielka dama

Wizyta, jaką złożono nam następnego ranka, dla mnie była jedną z najbardziej zdumiewających rzeczy w całej sprawie.

Siedziałem w swoim pokoju, kiedy Poirot zajrzał do środka z błyskiem w oku.

— Mamy gościa, *mon ami*.

— Kto to?

— Wdowa po księciu Merton.

— Nadzwyczajne! Czego chce?

— Dowiesz się, jeśli zejdziesz ze mną na dół.

Uczyniłem to pośpiesznie i razem weszliśmy do pokoju.

Księżna okazała się drobną kobietą o wydatnym nosie i władczym spojrzeniu. Mimo niskiego wzrostu nikt nie ośmieliłby się nazwać jej korpulentną. Miała na sobie niemodną czarną suknię, a jednak w każdym calu była grandę damę. Odniosłem też wrażenie, że cechuje ją bezwzględny charakter. Posiadała to, czego brakowało jej synowi: niezłomną wolę. Niemal namacalnie czułem emanującą od niej siłę. Nic dziwnego, że taka kobieta zawsze podporządkowywała sobie tych, z którymi się stykała!

Podniosła do oczu lorgnon i najpierw przyjrzała się mnie, a potem mojemu towarzyszowi. Zwróciła się do niego. Jej głos był wyraźny i stanowczy, jak głos osoby, która przywykła do wydawania rozkazów i do tego, że je spełniano.

— Pan się nazywa Herkules Poirot?

Detektyw uklonił się.

— Do pani usług, księżno.

Spojrzała na mnie.

— To mój przyjaciel, kapitan Hastings. Asystuje mi w prowadzonych dochodzeniach.

Przez chwilę w jej wzroku pojawiło się wahanie. Potem skinęła przychylnie głową. Usiadła na krześle podsuniętym przez Poirota.

— Przyszłam poradzić się pana w bardzo delikatnej kwestii, panie Poirot, i muszę prosić, by to, co powiem, uznał pan za absolutnie poufne.

— To jest zrozumiałe samo przez się, *madame*.

— Lady Yardly opowiadała mi o panu. Ze sposobu, w jaki pana przedstawiła i wyrażała swoją wdzięczność, odniosłam wrażenie, że jest pan jedyną osobą, która mogłaby mi pomóc.

— Zapewniam, że uczynię, co w mojej mocy, *madame*.

Mimo to nadal się wahała. Wreszcie z wysiłkiem przeszła do rzeczy, a jej bezpośredniość przypomniała mi zachowanie Jane Wilkinson tamtej pamiętnej nocy w Savoyu.

— Panie Poirot, chcę, by dopilnował pan, żeby mój syn nie poślubił tej aktorki, Jane Wilkinson.

Jeśli Poirot odczuł zdumienie, pohamował się i nie okazał go. Przypatrzył się jej z namysłem i milczał przez chwilę, nim odpowiedział:

— Może pani określić trochę dokładniej, *madame*, czego właściwie pani ode mnie oczekuje?

— To nie takie proste. Czuję, że to małżeństwo byłoby ogromną katastrofą. Zrujnowałoby mojemu synowi życie.

— Tak pani sądzi, *madame*?

— Jestem tego pewna. Mój syn jest idealistą. W rzeczywistości niewiele wie o świecie. Nigdy nie zwracał uwagi na dziewczęta ze swojej klasy społecznej. Uważał je za pustogłowe trzpiotki. Lecz jeśli chodzi o tę kobietę... cóż, jest bardzo piękna, przyznaję. Ma władzę nad mężczyznami. Zauroczyła go. Miałam nadzieję, że jego zadurzenie minie, jak zawsze. Na szczęście nie była wolna. Lecz teraz, skoro jej mąż nie żyje... — urwała. — Zamierzają się pobrać za kilka miesięcy. Szczęście mojego syna wisi na włosku — mówiła teraz bardziej stanowczo. — Trzeba temu zaradzić, panie Poirot.

Poirot wzruszył ramionami.

— Nie twierdzę, że nie ma pani racji, *madame*. Zgadzam się, że ich małżeństwo nie byłoby odpowiednie. Lecz cóż można zrobić?

— Musi pan coś wymyślić. Poirot wolno potrząsnął głową.

— Tak, tak, musi mi pan pomóc.

— Wątpię, czy cokolwiek poskutkuje, *madame*. Muszę przyznać, że pani syn nie zgodzi się słuchać argumentów przeciwko tej damie. Uważam też, że niewiele złego można o niej powiedzieć. Wątpię, by w jej przeszłości można by znaleźć jakiegokolwiek kompromitujące zdarzenia. Zawsze była... jak by to określić... ostrożna?

— Wiem — potwierdziła ponuro księżna.

— Aha! Więc poczyniła już pani pewne dochodzenia w tym kierunku.

Zaczerwieniła się lekko pod jego uważnym spojrzeniem.

— Nie ma nic, czego bym nie zrobiła, panie Poirot, by uratować mego syna przed tym małżeństwem. — Po chwili powtórzyła z naciskiem: — Nic! — Umilkła na chwilę. — Pieniądze nie mają znaczenia. Proszę podać kwotę. Trzeba ich powstrzymać, i pan może to uczynić.

Poirot wolno pokręcił głową.

— Nie chodzi o pieniądze. Nie mogę nic zrobić, wyjaśniałem pani, dlaczego. Nie widzę też, co można by uczynić. Nie potrafię pani pomóc, księżno. Czy uzna mnie pani za impertynenta, jeśli coś pani poradzę?

— Co takiego?

— Niech pani nie sprzeciwia się synowi! Jest już w wieku, w którym mężczyzna sam decyduje o sobie. Niech pani nie zakłada, że to pani ma rację, ponieważ jego wybór nie zgadza się z pani wyborem. Jeśli jest to nieszczęście, proszę je zaakceptować. I być pod ręką, kiedy będzie potrzebował pomocy. Lecz niech pani nie nastawia go przeciw sobie.

— Nic pan nie rozumie.

Podniosła się. Jej usta drżały.

— Ależ tak, *madame*, doskonale rozumiem. Rozumiem serce matki. Nikt nie rozumie go lepiej niż ja, Herkules Poirot. Powtarzam pani z całą odpowiedzialnością: proszę zachować cierpliwość. Cierpliwość i spokój, i proszę ukryć to, co pani czuje. Nadal istnieje szansa, że sprawa sama upadnie. A sprzeciw wzmocni jedynie upór pani syna.

— Żegnam, panie Poirot — powiedziała chłodno księżna. — Rozczarował mnie pan.

— Niezmiernie żałuję, *madame*, że nie mogę pani służyć. Jestem w trudnym położeniu. Widzi pani, lady Edgware uczyniła mi ten zaszczyt i radziła się mnie pierwsza.

— Ach tak! Rozumiem — jej głos był ostry jak nóż. — Należy pan do przeciwnego obozu. To bez wątpienia wyjaśnia, dlaczego lady Edgware do tej pory nie została aresztowana za zabójstwo męża.

— *Comment*, księżno?

— Słyszał pan przecież, co powiedziałam. Dlaczego jej nie aresztowano? Była tam owego wieczoru. Widziano, jak wchodziła do domu... i do jego gabinetu. Czy ktoś jeszcze go odwiedził, zanim znaleziono ciało? A jednak nie aresztowano jej! Nasza policja musi być skorumpowana do szpiku kości.

Drżącymi dłońmi ułożyła szal wokół szyi, a potem, ledwo skinąwszy głową, wyszła z pokoju.

— Fiuu! — wykrzyknąłem. — Co za głaz! Mimo to podziwiam ją, a ty?

— Dlatego że chce ułożyć świat wedle swego konceptu?

— Przecież chodzi jej tylko o dobro syna. Poirot skinął głową.

— To prawda, jednak czy poślubienie Jane Wilkinson będzie rzeczywiście taką złą rzeczą dla księcia?

— Chyba nie sądzisz, że ona naprawdę go kocha?

— Prawdopodobnie nie. Prawie na pewno nie. Lecz jest bardzo zakochana w jego tytule. Starannie zagra swoją rolę. Jest wyjątkowo piękną i bardzo ambitną kobietą. To nie będzie aż tak wielka katastrofa. Księżę łatwo mógłby poślubić dziewczynę ze swojej sfery, która wyszłaby za niego z tych samych powodów, lecz nikt nie robiłby wokół tego zamieszania.

— To prawda, ale...

— A przypuśćmy, że ożeniłby się z dziewczyną namiętnie w nim zakochaną. Czy to taka wielka korzyść? Często zauważyłem, że zakochana żona jest dla mężczyzny wielkim nieszczęściem. Robi mu sceny zazdrości, ośmiesza go, żąda całego jego czasu i uwagi. Och, nie jest to łożo usłane różami!

— Jesteś starym, nieuleczalnym cynikiem, Poirot — orzekłem.

— *Mais non, mais non*. Potrafię jedynie obserwować. W rzeczywistości stoję po stronie dobrej mamusi.

Nie mogłem powstrzymać się od śmiechu, słysząc ten opis wyniosłej księżnej.

Poirot natomiast zachował powagę.

— Nie powinieneś się śmiać. To wszystko ma wielką wagę. Muszę pomyśleć. Mam sporo do przemyślenia.

— Nie wiem, co mógłbyś zrobić — powiedziałem.

Poirot nie zwrócił na mnie uwagi.

— Zauważyłeś, jak dobrze księżna była poinformowana? I jak żądna zemsty. Wiedziała o wszystkim, co może świadczyć przeciwko Jane Wilkinson.

— Niezbędne dla oskarżenia, lecz nie dla obrony — przyznałem z uśmiechem.

— Skąd się tyle dowiedziała?

— Jane opowiedziała księciu, a księżę matce — podsunąłem.

— To możliwe. Jednak ja sam...

Nagle rozległ się ostry dzwonek telefonu. Podniosłem słuchawkę.

Moja rola ograniczała się do mówienia „tak” w różnych odstępach czasu. Wreszcie rozmowa się skończyła i podniecony zwróciłem się do Poirota:

— To Japp. Po pierwsze, jak zawsze okazało się, że masz rację. Po drugie, dostał telegram z Ameryki. Po trzecie, ma taksówkarza. Po czwarte, czy chciałbyś przyjść posłuchać, co taksówkarz ma do powiedzenia. Po piąte, znowu miałeś rację i Japp jest pewien, że trafiłeś w dziesiątkę, sugerując istnienie jakiegoś mężczyzny za całą aferą! Zapomniałem mu powiedzieć, że właśnie mieliśmy gościa, którego zdaniem policja jest skorumpowana.

— Tak więc Japp wreszcie się przekonał — mruknął Poirot. — Dziwne, że teoria o istnieniu tajemniczego mężczyzny została udowodniona, właśnie gdy skłaniałem się ku innej.

— To znaczy jakiej?

— Że motyw mordercy nie miał nic wspólnego z samym lordem Edgware'em. Wyobraź sobie, że ktoś nienawidzi Jane Wilkinson, i to tak bardzo, że doprowadziłby do powieszenia jej za morderstwo. *C'est une idée, ça!* — Westchnął, a potem dodał, wstając: — Chodźmy, Hastings, posłuchajmy, co Japp ma do powiedzenia.

Taksówkarz

Japp przesłuchiwał właśnie starszego mężczyznę— z nierówno przystrzyżonymi wąsami i w okularach, który mówił ochryłym, jęklwym głosem.

— A, jesteście! — rzucił inspektor. — Cóż, wszystko staje się jasne. Ten człowiek, nazwiskiem Jobson, w noc dwudziestego dziewiątego czerwca zabrał dwoje ludzi na Long Acre.

— Tak jest — potwierdził chrapliwie Jobson. — To była piękna noc. Księżycowa i tak dalej. Młoda dama i dżentelmen zatrzymali mnie przy stacji metra.

— Byli w wieczorowych strojach?

— Tak, on w białej kamizelce, panienska w białej sukni haftowanej w ptaki. Pewnie wyszli z opery.

— Która to była godzina?

— Coś po jedenastej.

— I co się stało dalej?

— Kazali mi jechać na Regent Gate; mieli wskazać dom, kiedy już tam dotrzemy. Mówili, żebym jechał szybko. Ludzie zawsze to mówią, zupełnie jakbym zamierzał się wlec. Im szybciej dotrzesz na miejsce i złapiesz kolejnych klientów, tym lepiej. Nigdy im to nie przyjdzie do głowy. Ale jeśli zdarzy się wypadek, to ja będę odpowiadał za złamanie przepisów!

— Pomińmy to — rzucił niecierpliwie Japp. — Tym razem nie doszło przecież do wypadku?

— Nnie... — zgodził się kierowca, jakby niechętnie porzucając temat. — Nie, nie doszło. Dojechałem na Regent Gate, co nie zajęło mi więcej niż siedem minut. Wtedy ten dżentelmen zastukał w szybę. Zatrzymałem się gdzieś koło numeru osiem. Wysiedli, mężczyzna został przy samochodzie i kazał mi czekać. Dama przeszła przez jezdnię i cofnęła się o kilka domów. Mężczyzna stał na chodniku plecami do mnie i patrzył w ślad za nią. Ręce trzymał w kieszeniach. Po jakichś pięciu minutach dosłyszałem, jak coś mówi... chyba wykrzyknął coś do siebie i też odszedł. Śledziłem go wzrokiem, bo nie chciałem, żeby zostawili mnie bez zapłaty. Zdarzało mi się to już wcześniej, tak więc nie spuszczałem go z oka. Wszedł na stopnie jednego z domów po drugiej stronie ulicy i zniknął w środku.

— Czy drzwi były otwarte?

— Nie, miał klucz.

— Jaki był numer domu?

— Siedemnaście lub dziewiętnaście. Wydało mi się dziwne, że kazali mi czekać tam, gdzie stanąłem. Pilnowałem ich. Jakies pięć minut później on i młoda dama wyszli razem. Wrócili do taksówki i kazali mi jechać z powrotem do Covent Garden. Zatrzymali mnie tuż przed operą i zapłacili; przyznam, że napiwek był przyzwoity. Ale widzę, że wpakowałem się w jakieś kłopoty... Nic, tylko kłopoty.

— Wszystko będzie w porządku — zapewnił go Japp. — Niech pan tylko rzuci okiem na te zdjęcia i powie mi, czy widzi pan na którymś tę młodą damę.

Rozłożył przed nim sześć zdjęć kobiet o podobnym typie urody. Z zaciekawieniem zajrzałem mu przez ramię.

— To ta — powiedział Jobson. Zdecydowanie wskazywał palcem na fotografię Geraldine Marsh w wieczorowej sukni.

— Jest pan pewien?

— Jasne. Miała jasną cerę i ciemne włosy.

— A teraz mężczyzna.

Japp wręczył taksówkarzowi kolejne zdjęcia. Ten obejrzał je uważnie i potrząsnął głową.

— Nie jestem pewien. Może to któryś z tych dwóch.

Między fotografiami było zdjęcie Ronalda Marsha, ale Jobson go nie wybrał. Zamiast tego wskazał dwóch podobnych do Marsha mężczyzn. Potem wyszedł, a Japp rzucił zdjęcia na stół.

— Wystarczy. Szkoda, że nie zidentyfikował jego lordowskiej mości. To oczywiście stare zdjęcie, zrobione siedem lub osiem lat temu. Tylko takie mogłem zdobyć. Tak, potrzebna mi jednoznaczna identyfikacja, choć sama sprawa jest już dostatecznie jasna. Alibi dwóch osób rozbija się w proch. Sprytne, że wpadł pan na to, Poirot.

Poirot przybrał skromną minę.

— Kiedy odkryłem, że i ona, i jej kuzyn byli w operze, wydało mi się całkiem możliwe, że spotkali się podczas przerwy. Oczywiście nikt z towarzystwa, z którym przyszli, nie podejrzewałby, że opuścili budynek. Jednak półgodzinna przerwa zostawia dość czasu, by dostać się na Regent Gate i wrócić. Byłem pewien, że coś się nie zgadza już w chwili, gdy nowy lord Edgware tak dobitnie podkreślił swoje alibi.

— Podejrzliwy z pana gość, co? — rzucił z uznaniem Japp. — Właściwie ma pan rację. W dzisiejszym świecie nie sposób przesadzić z podejrzliwością. Lord to nasz człowiek. Niech pan

spojrzy.

Wyciągnął kartkę papieru.

— To telegram z Nowego Jorku. Skontaktowaliśmy się z panną Lucie Adams. List doręczono jej rano z dzisiejszą pocztą. Nie chciała dać nam oryginału, chyba że będzie to absolutnie konieczne, lecz pozwoliła policjantowi zrobić kopię i przesłać do nas. Oto on. Jest tak obciążający, jak tylko mógłby pan pragnąć.

Poirot wziął kartkę z wielkim zaciekawieniem. Czytał nad jego ramieniem.

List był wysłany do Lucie Adams, datowany na 29 czerwca, adres: Rosedew Mansions 8, Londyn, S.W.3.

Najdroższa Siostrzyczko, przykro mi, że w zeszłym tygodniu napisałam tak krótko, lecz byłam dość zajęta i musiałam dopilnować wielu spraw. Cóż, kochanie, powiodło mi się we wszystkich Recenzje wspaniałe, bilety wyprzedane, ludzie przemili. Mam tu paru dobrych przyjaciół i zamierzam wziąć angaż na dwa miesiące w przyszłym roku. Skecz z rosyjską baletnicą udał się świetnie, podobnie jak ten o Amerykance w Paryżu, jednak sądzę, że największym powodzeniem wciąż cieszą się sceny w hotelu za granicą. Jestem tak podniecona, że ledwo wiem, co piszę; zaraz dowiesz się o wszystkim, lecz najpierw muszę ci przekazać, co mi mówiono. Pan Hergsheimer był przemiły, ma zamiar zaprosić mnie na lunch, bym poznała sir Montagu Cornera, który mógłby mi bardzo pomóc. Zeszłego wieczoru poznałam Jane Wilkinson, zachwyciła się moim przedstawieniem i sposobem, w jaki ją sparodiowałam. Tak naprawdę nie bardzo ją lubię, ponieważ niedawno słyszałam o niej sporo od znajomego. Opowiedział mi, jak okrutnie i podstępnie się zachowała, ale nie będę się teraz w to zagłębiać. Wiesz, że naprawdę nazywa się lady Edgware? Ostatnio słyszałam też wiele o jej mężu i mogę cię zapewnić, że nie należy do wspaniałych mężczyzn. W bezwstydnym wprost sposób potraktował swojego bratanka, kapitana Marsha, o którym ci wcześniej pisałam. Dosłownie wyrzucił go z domu i cofnął mu pensję. Kapitan opowiedział mi o wszystkim, a mnie zrobiło się go okrutnie żal. Mówi, że wysoko ocenia mój występ. „Sam lord Edgware by się nabrał. Posłuchaj, pomogłabyś mi wygrać pewien zakład?”. Roześmiałam się i spytałam: „Za ile?”. Lucie, kochana, odpowiedź po prostu zbiła mnie z nóg: dziesięć tysięcy dolarów. Dziesięć tysięcy, pomyśl tylko! Jedyne za to, że pomogę komuś wygrać głupi zakład. „Zrobiłabym kawał nawet królowi w Pałacu Buckingham, ryzykując obrazę majestatu” — powiedziałam. I natychmiast przystąpiłam do omawiania szczegółów.

Opowiem ci wszystko w przyszłym tygodniu, to znaczy, czy rozpoznano mnie, czy nie. W każdym razie, kochana Lucie, niezależnie od tego, czy powiedzie mi się, czy zawiodę, zdobędę dziesięć tysięcy dolarów. Och, Lucie, to tyle dla nas znaczy! Nie mam czasu na więcej, właśnie wyruszam na moją maskaradę. Mnóstwo całusów, moja malutka siostrzyczko.

Twoja Carlotta

Poirot odłożył list. Widziałem, że go wzruszył. Jednakże Japp zareagował zupełnie inaczej.

— Mamy go — rzucił triumfalnie.

— Tak — zgodził się Poirot. Jego głos brzmiał dziwnie bezbarwnie.

Japp spojrział na niego z zaciekawieniem.

— O co chodzi, Poirot?

— O nic. Coś jest nie tak, jak myślałem, to wszystko. Wyglądał wyjątkowo nieszczęśliwie.

— A jednak tak musi być — powiedział na poły do siebie. — Tak, tak musi być.

— Oczywiście, że tak. Przecież od początku tak pan mówił!

— Nie, nie, źle mnie pan zrozumiał.

— Czy nie mówił pan, że za całą sprawą stoi mężczyzna, który namówił niewinną dziewczynę do maskarady?

— Tak.

— Czego jeszcze pan chce?

Poirot tylko westchnął bez słowa.

— Dziwny z pana jegomość. Nic nie może pana zadowolić. Mieliśmy szczęście, że dziewczyna napisała ten list.

Poirot przytaknął z większym ożywieniem.

— *Mais oui*, tego się morderca nie spodziewał. Kiedy panna Adams przyjęła dziesięć tysięcy dolarów, podpisała na siebie wyrok śmierci. Morderca sądził, że przedsięwziął wszystkie środki ostrożności, a jednak przechytrzyła go przez swoją niewinność. Martwi potrafią mówić. Tak, czasami martwi potrafią mówić.

— Nigdy nie uważałem, że zrobiła to na własną rękę — oznajmił Japp, wcale się nie rumieniąc.

— Ależ oczywiście — rzucił z roztargnieniem Poirot.

— Cóż, muszę zakończyć sprawę.

— Zamierza pan aresztować kapitana Marsha, to znaczy lorda Edgware'a?

— A czemu nie? Dowody przeciwko niemu są bezsporne.

— To prawda.

— Wydaje się pan bardzo niezadowolony, Poirot. Prawda jest taka, że lubi pan, kiedy sprawa jest trudna. A tu pańska własna teoria zostaje potwierdzona i nawet to pana nie satysfakcjonuje. Widzi pan jakąś lukę w zebranych przez nas dowodach?

Poirot przecząco potrząsnął głową.

— Nie wiem, czy panna Marsh brała w tym udział — ciągnął Japp.

— Wygląda na to, że musiała coś wiedzieć, skoro razem wyszli z opery. Po co by ją zabierał, gdyby nic nie wiedziała? Cóż, wysłuchamy, co oboje mają do powiedzenia.

— Czy mogę być przy tym? — Poirot zapytał niemal pokornie.

— Oczywiście. Panu zawdzięczam rozwiązanie.

Japp podniósł telegram z blatu stołu. Odciągnął przyjaciela na bok.

— O co chodzi, Poirot?

— Jestem bardzo nieszczęśliwy, Hastings. Wszystko wydaje się jasne i pewne. Ale coś się nie zgadza. Jest jakiś fakt, który przeoczyliśmy. Wszystko do siebie pasuje, stało się tak, jak to sobie wyobrażałem, a jednak, przyjacielu, coś się nie zgadza. — Popatrzył na mnie żałośnie.

Nie wiedziałem, co powiedzieć.

Wersja RONALDA

Trudno mi było zrozumieć postawę Poirota: przecież potwierdziły się jego podejrzenia.

W drodze na Regent Gate siedział zamyślony, ze zmarszczonym czołem, nie zwracając uwagi na przechwałki Jappa.

Wreszcie z westchnieniem przerwał zadumę.

— Cokolwiek się stało — wymruczał — przynajmniej sprawdzimy, co ma do powiedzenia.

— Prawie nic, o ile jest sprytny — odparł Japp. — Wielu oskarżonych zawisło na szubienicy, ponieważ zbyt chętnie składali zeznania. A nie można powiedzieć, żeśmy ich nie ostrzegli! Wszystko mówimy jasno i wyraźnie. Tymczasem im bardziej są winni, tym bardziej palą się do opowiadania kłamstw, które ułożyli sobie, by stawić czoło śledztwu. Nie wiedzą, że kłamstwa trzeba najpierw uzgodnić z adwokatem.

Westchnął i mówił dalej:

— Adwokaci i koronerzy to najwięksi wrogowie policji. Bez przerwy zdarza się tak, że koroner swoimi kręctwami miesza mi zupełnie jasny przypadek i w efekcie obwiniony wymyka się na wolność. Nie można dziwić się adwokatom, w końcu im płaci się za spryt i naginanie faktów.

Po przybyciu na Regent Gate zastaliśmy naszą ofiarę w domu. Cała rodzina siedziała jeszcze przy lunchu. Japp poprosił o prywatną rozmowę z lordem Edgware'em, na co wprowadzono nas do biblioteki.

Młody człowiek zjawił się po jakichś dwóch minutach. Na jego twarzy widniał miły uśmiech, który zmienił się, kiedy pośpiesznie obrzucił nas wzrokiem. Zacisnął usta.

— Witam, inspektorze — powiedział. — Co się stało?

Japp wypowiedział swoją formułkę w klasycznym stylu.

— Więc o to chodzi?

Przysunął krzesło do inspektora i usiadł. Wyciągnął papierosnicę.

— Myślę, inspektorze, że chciałbym złożyć oświadczenie.

— Jak pan sobie życzy, milordzie.

— To znaczy, że to cholernie głupie z mojej strony? Jednak zrobię to. „Nie mając powodów bać się prawdy”, jak mówią bohaterowie powieści.

Japp nie odezwał się. Jego twarz pozostała bez wyrazu.

— Jest tu poręczny stolik i krzesło — kontynuował młodzieniec. — Pański pomocnik może usiąść i wszystko stenografować.

Nie sądzę, by Japp przywykł, że tak troskliwie przygotowuje mu się miejsce pracy. Zastosował się do propozycji lorda.

— Na początek: ponieważ mam trochę inteligencji, podejrzewam, że moje wspaniałe alibi rozpadło się w proch. Poszło z dymem. Na nic użyteczni Dortheimerowie. Zdradził taksówkarz?

— Dobrze wiemy, co robił pan tamtej nocy — stwierdził sztywno Japp.

— Mam wielki podziw dla Scotland Yardu. Tylko że, widzi pan, gdybym rzeczywiście planował zbrodnię, nie wynająłbym taksówki i nie pojechał prosto na miejsce, każąc kierowcy czekać. Pomyślał pan o tym? Aha! Widzę, że pan Poirot pomyślał.

— Przyszło mi to do głowy — przyznał Poirot.

— Nie tak popełnia się morderstwo z premedytacją — ciągnął Ronald. — Lepiej przykleić sobie rude wąsy, włożyć okulary w rogowej oprawie, podjechać na sąsiednią ulicę i odprawić taksówkę. Albo wsiąść do metra... cóż, nie będę się w to wgłębiał. Mój adwokat za pensję rzędu kilku tysięcy gwinei uczyni to lepiej niż ja. Zgaduję, oczywiście, pańską odpowiedź. Zbrodnia pod wpływem impulsu. Oto ja, czekający w taksówce, i tak dalej, i tak dalej. W którymś momencie wpada mi do głowy: „Teraz, mój chłopcze, wstawaj i do roboty”.

Zamierzam powiedzieć panu prawdę. Potrzebowałem pieniędzy, co, jak sądzę, jest zupełnie jasne. Byłem w dość rozpaczliwym położeniu. Musiałem zdobyć pieniądze do następnego dnia albo wypadałem z interesu. Spróbowałem u wuja. Nie darzył mnie miłością, lecz pomyślałem, że może zależeć mu na honorze naszego nazwiska. Czasami tak dzieje się z mężczyznami w średnim wieku. Wuj jednak udowodnił, że jest żałośnie wprost nowoczesny w swojej cynicznej obojętności.

Cóż mogłem zrobić: tylko zagryźć zęby i znieść to. Przyszło mi do głowy, żeby wydobyć forszę od Dortheimera, ale wiedziałem, że nie ma na to nadziei. A nie mógłbym poślubić jego córki, zresztą i tak jest zbyt rozsądna, by wziąć mnie za męża. Potem w operze natknąłem się na moją kuzynkę. Nieczęsto ją widywałem, lecz kiedy jeszcze u nich mieszkałem, była przyzwoitym dzieciakiem. Opowiedziałem jej o wszystkim. Sama słyszała już co nieco od ojca. Dowiodła, że ma charakter: zaproponowała, żebym zastawił perły, które należały do jej matki.

Umilkł. W jego głosie dosłyszałem prawdziwe uczucie. Chyba że udawał lepiej, niż uznałbym za możliwe.

— Cóż, przyjąłem ofertę Geraldine, niech ją Bóg błogosławi. Mogłem otrzymać za nie sumę, której potrzebowałem. Przysiągłem, że odzyskam perły, nawet gdyby oznaczało to ciężką harówkę. Lecz

naszyjnik był w domu przy Regent Gate. Zdecydowaliśmy, że najlepiej od razu po niego pojechać. Wskoczyliśmy do taksówki i ruszyliśmy. Kazaliśmy taksówkarzowi zatrzymać się po drugiej stronie ulicy, żeby nikt nie dosłyszał podjeżdżającego pod drzwi samochodu. Geraldine wysiadła i przeszła przez jezdnię. Miała ze sobą klucz. Zamierzała wejść po cichu, wziąć perły i przynieść je. Nie spodziewała się, że natknie się na kogokolwiek, prócz, co było możliwe, służby. Panna Carroll, sekretarka wuja, kładła się spać o wpół do dziesiątej. On sam siedział najprawdopodobniej w bibliotece.

Tak więc Dina poszła. Stałem na chodniku, paląc papierosa. Co trochę spoglądałem w stronę domu, sprawdzając, czy nie wraca. Teraz dochodzę do tej części historii, w którą uwierzycie lub nie, wedle woli. Minał mnie jakiś mężczyzna. Odwróciłem się za nim. Ku mojemu zdziwieniu wszedł po schodkach i zniknął w drzwiach domu numer siedemnaście. Przynajmniej tak myślałem, choć znajdowałem się w pewnej odległości od budynku. To zaskoczyło mnie z dwóch powodów. Po pierwsze, ponieważ człowiek ten miał klucz, a po drugie wydało mi się, że rozpoznaję w nim pewnego znanego aktora.

Byłem tak zdumiony, że postanowiłem to zbadać. Przypadkiem miałem klucz do domu numer siedemnaście w kieszeni. Myślałem, że zgubiłem go trzy lata temu, lecz znalazłem go nieoczekiwanie jakieś dwa dni wcześniej i zamierzałem zwrócić wujowi rano. Umknęło to jednak mojej pamięci w gorączce dyskusji. Kiedy zmieniałem ubranie, przełożyłem go do nowych spodni razem z resztą rzeczy.

Kazałem taksówkarzowi poczekać i pośpiesznie podążyłem chodnikiem, przeciąłem ulicę, wspiąłem się po schodach domu i otworzyłem drzwi swoim kluczem. Hol był pusty. Nie było śladu niedawnego gościa. Przez minutę stałem, rozglądając się wokół, a potem ruszyłem ku drzwiom biblioteki. Być może mężczyzna siedział z moim wujem. Powinienem usłyszeć szmer głosów. Stałem pod drzwiami biblioteki, lecz nic nie usłyszałem.

Nagle poczułem, że zrobiłem z siebie kompletnego głupca. Na pewno ten człowiek wszedł do innego domu, prawdopodobnie numer dalej. Regent Gate jest słabo oświetlona w nocy. Czuję się jak idiota. Nie wiedziałem, co mnie, u diabła, napadło, żeby śledzić tego faceta. Koniec był taki, że stałem w korytarzu i miałbym się z pyszna, gdyby wuj nagle wyszedł z biblioteki i natknął się na mnie. Wpakowałbym Geraldine w kłopoty i tylko dołałbym oliwy do ognia. A wszystko dlatego, że coś w zachowaniu mężczyzny kazało mi myśleć, że zajmował się czymś, o czym nikt nie powinien się dowiedzieć. Na szczęście nikt mnie nie przyłapał. Chciałem wydostać się stamtąd najszybciej jak mogłem.

Na palcach wycofałem się do drzwi i w tej samej chwili Geraldine zeszła po schodach z perłami w ręku.

Oczywiście, zaskoczył ją mój widok. Wyciągnąłem ją z domu i dopiero potem wszystko wyjaśniłem. — Umilkł na chwilę. — Szybko wróciliśmy do opery. Dotarliśmy, właśnie gdy podnoszono kurtynę. Nikt nie podejrzewał, że wychodziliśmy. Noc była parna i parę osób wyszło na dwór zaczerpnąć powietrza. — Znów przerwał. — Wiem, co pan powie: Dlaczego nie powiedziałem tego od razu? Odpowiadam panu: Czy pan, z motywem zbrodni widocznym na milę, przyznałby beztrąsko, że był pan na miejscu zbrodni w noc, kiedy ją popełniono? Szczerze mówiąc,

miałem pietra. Nawet gdyby nam uwierzono, oboje z Geraldine wpakowalibyśmy się w kłopoty. Nie mamy nic wspólnego z morderstwem, niczego nie widzieliśmy ani nie słyszeliśmy. Oczywiście myślałem, że zrobiła to ciotka Jane. Po co miałem się w to mieszać? Opowiedziałem o kłótni i braku pieniędzy, ponieważ wiedziałem, że i tak się o tym dowiedzie. Jednocześnie usiłowałem ukryć wszystko, co wywołałoby o wiele większe podejrzenia i zmusiłoby was do dokładniejszego zbadania mojego alibi. Zakładałem, że jeśli będę dostatecznie głośno mówił o awanturze, pan na pewno będzie uważał, że wszystko jest w porządku. Wiedziałem, że Dortheimerowie są szczerze przekonani, iż przez cały czas byłem w operze. Nie uznaliby za podejrzanego, że jedną przerwę spędziłem z kuzynką. A ona zawsze mogła powiedzieć, że byliśmy cały czas razem i nie opuściliśmy budynku.

— Panna Marsh zgodziła się na... zatajenie faktów?

— Tak. Jak tylko dowiedziałem się o morderstwie, porozumiałem się z nią i ostrzegłem, żeby nie wspominała słowem o wycieczce na Regent Gate. Powinniśmy zgodnie twierdzić, że podczas ostatniego antraktu w Covent Garden byliśmy razem. Na chwilę wyszliśmy na ulicę, i to wszystko. Zrozumiała i zgodziła się. — Umilkł na chwilę. — Wiem, źle, że wszystko wychodzi na jaw po czasie. Ale cała historia jest prawdziwa. Mogę podać panu nazwisko i adres człowieka, który dziś rano dał mi gotówkę w zamian za perły Geraldine. A jeśli ją pan spyta, potwierdzi każde moje słowo.

Oparł się plecami o krzesło i spojrzał na Jappa. Twarz inspektora pozostawała bez wyrazu.

— Więc sądził pan, że to Jane Wilkinson popełniła morderstwo, lordzie Edgware? — zapytał.

— A pan by tak nie pomyślał? Po opowieści lokaja?

— A pana zakład z panną Adams?

— Zakład z panną Adams? Chodzi panu o Carlottę Adams? A co ona ma z tym wspólnego?

— Zaprzecza pan, że zaproponował jej sumę dziesięciu tysięcy dolarów w zamian za to, żeby poszła do domu lorda Edgware'a, przebrana za jego żonę?

Ronald wytrzeszczył oczy.

— Ja miałem zaproponować jej dziesięć tysięcy dolarów? Bzdura. Ktoś pana nabrał. Nie mam dziesięciu tysięcy dolarów do oddania. Ktoś podrzucił panu kukułcze jajo. Czy ona tak twierdzi? O cholera, zapomniałem, że nie żyje, prawda?

— Tak — odezwał się cicho Poirot. — Nie żyje.

Ronald przenosił wzrok z jednego z nas na drugiego. Wcześniej zachowywał się pogodnie, teraz jego twarz zbladła, a w oczach pojawiło się przerażenie.

— Nie rozumiem tego — rzucił. — Powiedziałem wam prawdę. Pewnie żaden z was mi nie wierzy.

Wtedy, ku mojemu zaskoczeniu, Poirot wystąpił krok naprzód i powiedział:

— Ja panu wierzę.

Herkules Poirot zachowuje się dziwnie

Wróciliśmy do siebie.

— Co u licha... — zacząłem.

Poirot powstrzymał mnie najbardziej ekstrawaganckim gestem, jaki kiedykolwiek widziałem w jego wykonaniu. Wymachiwał ramionami w powietrzu.

— Błagam cię, Hastings, nie teraz! Nie teraz.

Po czym pochwycił kapelusz, wsadził na głowę, jakby nigdy nie słyszał o porządku ani metodzie, i jak szalony wypadł z pokoju. Nie było go jeszcze, gdy godzinę później zjawił się Japp.

— Nasz mały przyjaciel wyszedł? — spytał. Przytaknąłem ruchem głowy.

Japp opadł na krzesło. Otarł czoło chustką. Dzień był ciepły.

— Co go, u diabła, napadło? — rzucił. — Mówię panu, kapitanie Hastings, można mnie było zbić z nóg jednym palcem, gdy podszedł do tego człowieka i powiedział: „Ja panu wierzę”. Na Boga, zupełnie jakby grał w romantycznym melodramacie. To mnie dobija.

Podobnie jak mnie, co wyraziłem na głos.

— A potem wychodzi, jakby nigdy nic — ciągnął Japp. — Wyjaśnił coś panu?

— Nic — oparłem.

— W ogóle nic?

— Zupełnie nic. Kiedy tylko się odezwałem, kazał mi umilknąć. Uznałem, że najlepiej zostawić go w spokoju. Gdy doszliśmy tutaj, chciałem go wypytać, ale zamachał rękami, złapał kapelusz i znów gdzieś popędził.

Wymieniliśmy spojrzenia. Japp znacząco postukał się w czoło.

— Na pewno — powiedział.

Po raz pierwszy musiałem się z nim zgodzić. Japp już przedtem sugerował często, że Poirot jest, jak to mówił, „pomyłony”. Lecz wówczas po prostu nie rozumiał, do czego mój przyjaciel zmierza. Tym razem jednak, muszę wyznać, sam nie rozumiałem zachowania Poirota. Nawet jeśli nie był pomyłony, reagował w sposób podejrzenie niezrównoważony. Jak tylko jego własna teoria została

triumfalnie potwierdzona, natychmiast ją odrzucił.

To wystarczyłoby, żeby skonsternować i zdenerwować jego najwytrwalszych zwolenników. Potrząsnąłem z zakłopotaniem głową.

— Zawsze uważałem go za dziwaka — ciągnął Japp. — Ma własny, wyjątkowy sposób patrzenia na sprawy, i to nader osobliwy. Przyznaję, że w pewnym sensie jest geniuszem. Ale mówi się, że ludzie genialni stoją bardzo blisko granicy szaleństwa i mogą przekroczyć ją w każdej chwili. Zawsze lubił komplikacje. Prosty przypadek nie był dla niego dość dobry. Nie, sprawa musiała być zagmatwana. Stracił kontakt z rzeczywistością. Gra we własną grę. Zupełnie jak starsza dama układająca pasjansa. Jeśli jej nie wychodzi, oszukuje. Tyle że z nim jest odwrotnie. Jeśli wszystko układa się zbyt łatwo, oszukuje, by to skomplikować. Tak właśnie to widzę.

Trudno mi było coś na to odpowiedzieć. Sam uważałem, że Poirot jest nieobliczalny. A ponieważ byłem bardzo przywiązany do mojego małego, dziwnego przyjaciela, martwiło mnie to bardziej, niż mógłbym wyrazić.

W tej ponurej ciszy do pokoju wkroczył Poirot.

Był, jak z radością zauważyłem, zupełnie spokojny.

Ostrożnie ściągnął kapelusz i razem z laską umieścił go na stole, po czym usiadł na swoim ulubionym krześle.

— Więc jest pan, drogi inspektorze. Cieszę się. Przez cały czas myślałem o tym, że muszę się z panem jak najprędzej zobaczyć.

Japp spojrzał na niego bez słowa. Wiedział, że to jedynie początek. Cekał na wytłumaczenie.

Mój przyjaciel przystąpił do tego powoli i rozważnie.

— *Écoutez*, Japp. Myliliśmy się. Zupełnie się myliliśmy. Przykro to wyznać, lecz popełniliśmy błąd.

— Wszystko się zgadza — odparł z pewnością w głosie Japp.

— Ależ nic się nie zgadza. To godne pożałowania. To mnie do głębi zasmuca.

— Niepotrzebnie żałuje pan tego młodego człowieka. Zasluguje na wszystko, co go czeka.

— Nie żal mi jego, lecz... pana.

— Mnie? O mnie nie musi się pan martwić.

— Ale się martwię. Kto pana pchnął na tę drogę? Herkules Poirot. *Mais oui*, to ja naprowadziłem pana na trop. Skierowałem pańską uwagę na Carlottę Adams, wspomniałem panu o liście do Ameryki. To ja wskazałem panu każdy krok!

— I tak bym to odkrył — odparł chłodno Japp. — Odrobinę mnie pan wyprzedził, to wszystko.

— *Cela ce peut*. Lecz to mnie nie uspokaja. Jeśli pański prestiż ucierpi bądź... przeпадnie dlatego, że słuchał pan moich małych pomysłów, będę się bardzo obwiniał.

Japp wydawał się rozbawiony. Myślę, że przypisywał Poirotowi niezbyt szlachetne pobudki. Uważał, że detektyw zazdrości mu zaszczytu wynikającego z udanego rozwiązania sprawy.

— Wszystko w porządku — powiedział. — Nie zapomnę powiadomić wszystkich, że zawdzięczam panu co nieco w doprowadzeniu śledztwa do końca.

Mrugnął do mnie.

— Och! Ależ wcale nie o to chodzi. Nie chcę zaszczytów. Co więcej, powiem panu, że ich nie będzie. Szykuje pan sobie zupełne fiasko, a sprawcą tego jestem ja, Herkules Poirot.

Inspektor, patrząc na ogromnie zasmuconą twarz małego Belga, raptem wybuchnął gromkim śmiechem. Detektyw wydawał się urażony.

— Przepraszam, Poirot. — Japp otarł oczy. — Ale naprawdę wyglądał pan jak kurczak rażony gromem w czasie burzy. Dobrze, zapomnijmy o tym. Chętnie podzielę się z panem zasługami albo winą. Będzie wiele hałasu, tu ma pan rację. Cóż, zamierzam zrobić wszystko, aby wydano wyrok skazujący. Być może sprytny adwokat doprowadzi do uniewinnienia jego lordowskiej mości... Nigdy nie wiadomo, jak zachowają się przysięgli. Jednak nawet to nie wyrządzi mi szkody. Wiadomo będzie, że złapaliśmy właściwego człowieka, nawet jeśli nie zostanie skazany. A jeżeli przypadkiem pokojówka wpadnie w histerię i wyzna, że ona to zrobiła... cóż, przełknę tę gorzką pigułkę i nie będę narzekał, że zaprowadził mnie pan na manowce. To jest zupełnie jasne.

Poirot wpatrywał się w niego ze smutkiem.

— Jest pan tak pewny siebie... zawsze tak pewny! Nigdy nie przystanie pan na chwilę, by zadać sobie pytanie: Czy tak się rzeczywiście stało? Nie wątpi pan... ani nie zastanawia się. Nigdy nie pomyśli pan: To za proste!

— A żeby pan wiedział, że tego nie robię. I tu właśnie pan, proszę mi wybaczyć, za każdym razem się potyka. Dlaczego rzeczy nie mają być proste? Co złego w tym, że coś jest proste?

Poirot spojrział na niego, westchnął, zaczął podnosić w górę ramiona, a potem potrząsnął głową.

— *C'est fini!* Nie powiem już ani słowa.

— Wspaniale — rzucił serdecznie Japp. — Przejdźmy teraz do sedna. Chce pan usłyszeć, co robiłem?

— Oczywiście.

— No więc widziałem się z panią Geraldine. Jej wersja pokrywała się dokładnie z wersją jego

lordowskiej mości. Może siedzą w tym oboje, choć nie sędzę. Według mnie oszukał ją... zresztą jest w nim po uszy zadurzona. Ogromnie się przejęła, kiedy się dowiedziała, że został aresztowany.

— Doprawdy? A sekretarka, panna Carroll?

— Nie była zbyt zdziwiona, jak sędzę. Choć to tylko moje przypuszczenie.

— A co z perłami? — spytałem. — Czy ta część historii jest prawdziwa?

— Absolutnie. Odebrał pieniądze wczesnym rankiem następnego dnia, lecz to nie podważa głównej tezy. Według mnie wpadł na cały pomysł, kiedy spotkał w operze kuzynkę. Ułożył sobie wszystko w mgnieniu oka. Był zdesperowany, a tu widział jakieś wyjście. Pewnie już wcześniej rozważał coś w tym stylu, dlatego miał przy sobie klucz. Nie wierzę, że nagle go znalazł. W czasie rozmowy z kuzynką uświadamia sobie, że wciągając ją w grę, zyskuje dodatkowe zabezpieczenie. Gra na jej uczuciach, napomyka o perłach, ona daje się nabrać i wychodzą razem. Jak tylko ona wchodzi do domu, idzie za nią i kieruje się do biblioteki. Może lord przysnął w fotelu. W ciągu dwóch sekund załatwia sprawę i wychodzi. Liczył, że dziewczyna zastanie go, jak spaceruje tam i z powrotem koło taksówki. Sądził, że taksówkarz nie zauważy, jak wchodzi do domu. Miało to wyglądać tak, jakby cały czas chodził po chodniku, paląc papierosa i czekając na dziewczynę. Niech pan pamięta, że taksówkarz siedział tyłem do niego.

Oczywiście, następnego ranka musiał zastawić perły i nadal udawać, że potrzebuje pieniędzy. Potem, dowiadując się o morderstwie, musiał zastraszyć dziewczynę, żeby zataiła ich pobyt na Regent Gate. Mieli twierdzić, że przerwę spędzili razem w operze.

— Więc dlaczego tak nie zrobili? — spytał ostro Poirot.

Japp wzruszył ramionami.

— Zmienił zdanie albo uznał, że ona sobie nie poradzi. Jest nerwowa.

— Tak — powiedział Poirot, zamyślony. — Jest nerwowa.

Po kilku chwilach zapytał:

— Nie dziwi pana, że kapitanowi Marshowi łatwiej i prościej byłoby opuścić operę samotnie? Wejść po cichu, otworzywszy drzwi własnym kluczem, zabić wuja i wrócić do Covent Garden? Zamiast kazać taksówkarzowi czekać przed domem i bać się, że nerwowa dziewczyna w każdej chwili może zejść po schodach, stracić głowę i wydać go?

Japp wyszczerzył zęby.

— Tak postąpiłby pan czy ja. Ale my jesteśmy ciut sprytniejsi od kapitana Ronalda Marsha.

— Nie jestem tego taki pewien. Według mnie jest bardzo inteligentny.

— Lecz nie tak bardzo, jak Herkules Poirot! Jestem pewien, że sam pan to przyzna! — roześmiał

się Japp.

Poirot spojrzał na niego zimno.

— Jeśli nie jest winny, dlaczego namówił na ten karkołomny wyczyn pannę Adams? — mówił dalej Japp. — Może być tylko jeden powód całej maskarady: ochrona rzeczywistego zabójcy.

— W tym punkcie zupełnie się z panem zgadzam.

— Cóż, cieszy mnie, że w czymkolwiek się zgadzamy.

— Może to rzeczywiście on rozmawiał z panną Adams — zastanawiał się Poirot. — Chyba że naprawdę... nie, to głupota.

Potem, kierując nagle spojrzenie na Jappa, rzucił mu szybkie pytanie:

— Jak pan wyjaśnia jej śmierć? Japp odchrząknął.

— Skłonny jestem wierzyć, że to wypadek. Przyznaję, że dogodny. Nie widzę, jak kapitan Marsh mógłby mieć z tym cokolwiek wspólnego. Jego alibi po operze jest pewne. Był z Dortheimerami u Sobranisa aż do pierwszej. O tej porze ona dawno była w łóżku i spała. Nie, według mnie to szatańskie szczęście, jakie czasem miewają przestępcy. Zapewne planował się jej pozbyć, a tymczasem wyręczył go szczęśliwy przypadek. Najpierw wystraszyłby ją, wmówił, że zostanie aresztowana za morderstwo, jeśli wyzna prawdę. A potem uciszyłby ją sporą sumą pieniędzy.

— Uważa pan — Poirot patrzył prosto przed siebie — naprawdę uważa pan, że panna Adams pozwoliłaby, by powieszono inną kobietę, gdyby miała dowody na jej niewinność?

— Jane Wilkinson nie zostałaby powieszona. Zbyt pewne były zeznania gości sir Montagu Cornera.

— Lecz morderca o tym nie wiedział. Musiał sądzić, że Jane Wilkinson zostanie powieszona, a Carlotta Adams zachowa milczenie.

— Uwielbia pan gadać po próżnicy, co, Poirot? Teraz jest pan przekonany, że Ronald Marsh to niewinny chłopiec, który nie mógłby postąpić źle. Wierzy pan w tę historyjkę o jakimś mężczyźnie wślizgującym się ukradkiem do domu?

Poirot wzruszył ramionami.

— Wie pan, kogo, jak wydało mu się, ujrzał?

— Mogę zgadnąć.

— Pomyślał, że to gwiazdor filmowy, Bryan Martin. I co pan na to? Człowiek, który nigdy nawet nie spotkał lorda Edgware'a.

— W takim razie naprawdę byłoby dziwne, gdyby miał klucz do drzwi.

— No nie! — zawołał głośno Japp, wyrażając swoją pogardę. — I pewnie zdziwi pana wiadomość, że pana Bryana Martina nie było tamtej nocy w Londynie? Zabrał pewną młodą damę na obiad w Molesey. Nie wrócili do miasta przed północą.

— Ach — rzucił spokojnie Poirot. — Nie, nie dziwi mnie to. Czy młoda dama również jest aktorką?

— Nie. Prowadzi sklep z kapeluszami. To była przyjaciółka panny Adams, panna Driver. Chyba zgodzi się pan, że jej zeznanie jest poza podejrzeniem.

— Nie kwestionuję go, przyjacielu.

— W rzeczywistości przegrał pan i dobrze pan o tym wie, staruszk — powiedział ze śmiechem Japp. — Idiotyczna historyjka wymyślona na poczekaniu, oto, czym jest opowieść młodego lorda. Nikt nie wchodził do domu numer siedemnaście... ani do sąsiadujących z nim budynków. Czego to dowodzi? Że jego lordowska mość jest kłamcą.

Poirot ze smutkiem potrząsnął głową.

Japp podniósł się z krzesła. Odzyskał dobry humor.

— Niechże pan da spokój. Mamy rację, przecież pan to wie.

— Co to znaczy: D., Paryż, listopad? Japp wzruszył ramionami.

— Zapewne jakaś dawna historia. Czy dziewczyna nie mogła dostać pół roku temu prezentu, zupełnie niezwiązanego ze zbrodnią? Musimy zachować rozsądek.

— Pół roku temu — wymruczał Poirot z nagłym błyskiem w oku. — *Dieu, que je suis bete!*

— Co on mówi? — zwrócił się do mnie Japp.

— Niech pan słucha. — Poirot wstał i postukał Jappa w pierś. — Dlaczego pokojówka panny Adams nie rozpoznała tego pudełka? Dlaczego nie rozpoznała go panna Driver?

— O co panu chodzi?

— Ponieważ było nowe! Dopiero co je podarowano. Paryż, listopad, wszystko dobrze... bez wątplenia tę datę ma upamiętniać pudełko. Ale otrzymała je niedawno, a nie sześć miesięcy temu! Dopiero co je kupiono! Błagam pana, niech pan to zbada, drogi Jappie. To szansa, i to spora. Kupiono je nie w Anglii, lecz za granicą, prawdopodobnie w Paryżu. Gdyby kupiono je tutaj, zgłosiłby się jakiś jubiler. Sfotografowano je, a zdjęcie opublikowano w prasie. Tak, tak, Paryż. Może inne miasto, ale według mnie Paryż. Niech pan to sprawdzi, błagam. Proszę to zbadać. Chcę... bardzo chcę dowiedzieć się, kim jest tajemniczy D.

— Nie zaszkodzi — powiedział dobrodusznie Japp. — Nie mogę powiedzieć, żeby mnie to ciekawiło. Jednak zrobię, co mogę. Im więcej wiemy, tym lepiej.

Skinął nam wesoło głową i wyszedł.

XXIII

List

— A teraz pójdziemy zjeść lunch — powiedział Poirot. Wziął mnie pod ramię i uśmiechnął się. — Odzyskałem nadzieję — wyjaśnił.

Cieszyło mnie, że na powrót stał się dawnym Poirotem, choć sam byłem przekonany o winie młodego Ronalda. Zastanawiałem się, czy i Poirot nie powrócił do tego poglądu pod wpływem argumentów Jappa. Być może poszukiwanie nabywcy puzderka było ostatnią próbą ratowania twarzy.

W przyjaznych nastrojach udaliśmy się na lunch.

Ku pewnemu rozbawieniu dostrzegłem przy stoliku po drugiej stronie sali Bryana Martina i Jenny Driver. Pamiętając, co mówił inspektor, węszyłem jakiś romans.

Zauważyli nas i Jenny pomachała ręką.

Kiedy popijaliśmy kawę, dziewczyna opuściła towarzysza i podeszła do naszego stolika. Była jak zawsze żywa i pełna energii.

— Mogę się przysiąc i porozmawiać z panem chwilę, panie Poirot?

— Oczywiście, *mademoiselle*. Jestem zachwycony, że panią widzę. Czy pan Martin nie przyłączy się do nas?

— Zabroniłam mu. Widzi pan, przyszłam porozmawiać o Carlocie.

— Tak, *mademoiselle*?

— Chciał pan dowiedzieć się czegoś o jej przyjacielu, prawda?

— Tak, tak.

— No więc zastanawiałam się nad tym. Czasem trudno wpaść na coś od razu. Żeby wyjaśnić sytuację, trzeba cofnąć się w przeszłość, przypomnieć sobie rzucane mimochodem słowa, na które wówczas nie zwróciło się uwagi. To właśnie robiłam. Myślałam i przypominałam sobie wszystko, co Carlotta mówiła. I doszłam do pewnego wniosku.

— Słucham, *mademoiselle*?

— Myślę, że mężczyzną, na którym jej zależało... albo zaczynało zależeć, był Ronald Marsh. Wie pan, ten, który odziedziczył właśnie tytuł.

— Co każe pani tak myśleć?

— Na przykład któregoś dnia Carlotta mówiła, że jeśli ktoś ma ciężkie życie, wpływa to na jego charakter. Że można być przyzwoitym człowiekiem, a jednak się stoczyć. Zna pan to powiedzenie: więcej przeciw niemu zgrzeszono, niżby sam zgrzeszył. Właśnie tak kobieta się oszukuje, kiedy zakocha się w mężczyźnie. Tak często słyszałam tę starą śpiewkę! Carlotta miała zdrowy rozsądek, a mimo to wyskoczyła z tym jak kompletna idiotka, która nie ma pojęcia o życiu. „Ejże — powiedziałam sobie — coś się szykuje”. Nie wymieniła żadnego nazwiska, to były same ogólniki. Lecz niemal natychmiast potem zaczęła mówić o Ronaldzie Marshu i o tym, jak źle według niej go potraktowano. Zachowywała się bardzo obojętnie, bezosobowo. Wtedy nie połączyłam obu rzeczy ze sobą. Lecz teraz zastanawiam się. Wydaje mi się, że mówiła o Ronaldzie Marshu. A co pan sądzi, panie Poirot? — Spojrzała z przejęciem w jego oczy.

— Myślę, *mademoiselle*, że najprawdopodobniej udzieliła mi pani bardzo cennej informacji.

— Świetnie! — Jenny klasnęła w dłonie. Poirot spojrzał na nią zyczliwie.

— Może nie słyszała pani, że dżentelmen, o którym mówimy, Ronald Marsh... lord Edgware, właśnie został aresztowany.

— Och! — Otworzyła ze zdumienia usta. — Więc moje wnioski są trochę spóźnione.

— Nigdy nie jest za późno — zaprzeczył Poirot. — Nie, jeśli ja jestem obecny. Dziękuję pani, *mademoiselle*.

Pożegnała nas i wróciła do Bryana Martina.

— I co, Poirot — zacząłem — to musiało zachwiać twoją wiarą.

— Nie, Hastings. Wprost przeciwnie: to ją umocniło.

Mimo tych odważnych słów czułem, że jego pewność siebie osłabła.

Podczas następnych dni ani razu nie wspomniał o sprawie Edgware'a. Jeśli sam zaczynałem o niej mówić, odpowiadał monosylabami, bez zainteresowania. Innymi słowy, Poirot umył ręce. Cokolwiek krążyło po tej jego pełnej fantazji głowie, obecnie musiał przyznać, że się nie sprawdziło. Że jego pierwsza koncepcja była prawdziwa i aż nazbyt słusznie oskarżono o zbrodnię Ronalda Marsha. Tyle że będąc tym, kim był, nie mógł otwarcie tego przyznać. Dlatego też udawał brak zainteresowania.

Tak właśnie tłumaczyłem sobie jego zachowanie. Tak wynikało z faktów. W najmniejszym stopniu nie ciekawiła go rozprawa w sądzie, zupełnie formalna zresztą. Zajął się innymi sprawami i, jak już wspomniałem, nie okazywał śladu zaciekawienia, gdy wspomniano wiadomy temat.

Minęły niemal dwa tygodnie od wydarzeń opisanych w poprzednim rozdziale, kiedy uświadomiłem sobie, że moja interpretacja postępowania Poirota była zupełnie błędna.

Stało się to w porze śniadania. Przy talerzu Poirota jak zwykle leżał okazały stos listów.

Przerzucił je pobieżnie. Nagle wydał krótki okrzyk zadowolenia i wziął do ręki kopertę z amerykańskim znaczkiem. Otworzył ją nożykiem do papieru. Podniosłem wzrok z zaciekawieniem, gdyż jego poruszenie było wyraźne. W kopercie znajdował się list i sporej grubości załącznik.

Poirot przeczytał list dwukrotnie, a potem podniósł głowę.

— Chcesz to zobaczyć, Hastings?

Odebrałem od niego kartkę. Brzmiała następująco:

Szanowny panie Poirot!

Bardzo wzruszył mnie pański miły... naprawdę niezwykle miły list. Jestem zupełnie oszołomiona i przygnębiona tym, co się wydarzyło. Poza tym uraziły mnie aluzje dotyczące' Carlotty — najdroższej, najśłodziej siostry, jaką można mieć. Nie, panie Poirot, nie brała narkotyków. Jestem tego pewna. Przerażały ją takie rzeczy i często słyszałam, jak to mówi. Jeśli odegrała jakąś rolę w śmierci tego biedaka, była to rola całkowicie niewinna, zresztą dowodzi tego jej list do mnie. Przesyłam panu oryginał, jak pan prosił. Z niechęcią rozstaję się z ostatnim listem, jaki do mnie napisała, jednak wiem, że zatroszczy się pan o niego i zwróci, a jeśli pomoże on panu wyjaśnić tajemnicę jej śmierci, jak pan pisał, oczywiście musi go pan otrzymać.

Pyta pan, czy Carlotta wspominała w swoich listach o kimś szczególnym. Pisała o wielu ludziach, lecz nikt nie wybijał się na plan pierwszy. Bryan Martin, którego znała wiele lat temu, dziewczyna nazwiskiem Jenny Driver i kapitan Ronald Marsh byli tymi, których widywała najczęściej.

Żałuję, że nie przychodzi mi na myśl nic, co mogłoby panu pomóc. Pisze pan tak życzliwie, z takim zrozumieniem i najwyraźniej jest pan świadom, ile ja i Carlotta znaczyłyśmy dla siebie.

Z wyrazami wdzięczności, Lucie Adams

PS Właśnie jakiś oficer przyszedł po list. Powiedziałam, że już go wysłałam, co, oczywiście, nie było prawdą, lecz mam wrażenie, że to bardzo ważne, by pan zobaczył go pierwszy. Wygląda na to, że Scotland Yardowi potrzebny jest jako dowód przeciwko mordercy. Przekáže pan list policji, lecz proszę, bardzo proszę dopilnować, by go panu zwrócili. Rozumie pan: to ostatnie słowa Carlotty.

— Więc sam do niej napisałeś — odezwałem się, odkładając kartkę. — Dlaczego, Poirot? I czemu prosiłeś o oryginał listu Carlotty?

Poirot pochylał głowę nad dołączonymi do listu stronami, o których wspomniałem.

— Prawdę rzekłszy, nie potrafię tego wytłumaczyć, Hastings... poza tym, że wbrew nadziei liczyłem, że oryginał listu może wyjaśnić to, co niewytłumaczalne.

— Nie rozumiem, jak mógłbyś wydobyć coś jeszcze z jego treści. Carlotta Adams sama przekazała go pokojówce, by ta zniosła go na pocztę. Nie było w tym żadnych sztuczek. List z całą pewnością wygląda na autentyczny i zwyczajny.

Poirot westchnął.

— Wiem, wiem. I dlatego jest to takie trudne. Ponieważ, jeśli sprawy mają się tak, jak się mają, ten list nie może istnieć, Hastings.

— Bzdura.

— *Si, si*, naprawdę. Jak ci tego dowiodłem, pewne rzeczy po prostu muszą się zdarzyć. Następują po sobie metodycznie i są całkiem zrozumiałe. I nagle ten list. Nie pasuje do reszty. W takim razie kto się myli? Herkules Poirot czy list?

— I nie przypuszczasz, że myli się Herkules Poirot? — podsunąłem z całą delikatnością, do jakiej byłem zdolny.

Poirot rzucił mi pełne nagany spojrzenie.

— Zdarzają się chwile, kiedy jestem w błędzie, lecz to nie jedna z nich. Wobec tego, skoro list wydaje się niemożliwością, to jest niemożliwością. Przeoczyliśmy pewien związany z nim fakt. Staram się odkryć, jaki.

Po czym ponownie zagłębił się w studiowaniu omawianego listu przez lupę.

Skończywszy oglądanie kolejnych stron, przekazał je mnie, lecz ja oczywiście nie mogłem znaleźć w nich nic nowego. Kartki zapisano czytelnym pismem i słowo w słowo pokrywały się z telegramem.

Poirot westchnął głęboko.

— Nie ma tu śladu fałszerstwa, wszystko napisano tą samą ręką. A jednak skoro mówię, że to niemożliwe, to jest niemożliwe... —urwał. Gwałtownym gestem zażądał, bym oddał mu kartki. Przekazałem je, a on ponownie przejrzał je uważnie.

Nagle wydał okrzyk.

Wstałem od stołu, podszedłem do okna i zacząłem patrzeć na zewnątrz. Na ten dźwięk odwróciłem się gwałtownie.

Poirot dosłownie trząsł się z podniecenia. Oczy mu pozieleniały jak u kota. Wskazywał coś drżącym palcem.

— Widzisz, Hastings? Spójrz tutaj, szybko, chodź i spójrz na to. Podbiegłem do jego krzesła. Przed Poirotem leżała jedna ze środkowych stron listu. Nie dostrzegłem w niej nic niezwykłego.

— Nie widzisz? Wszystkie pozostałe zostały ucięte równo, to pojedyncze kartki. Lecz ta, popatrz, z

jednej strony jest poszarpana, więc została oddarta. Widzisz teraz, o co mi chodzi? To była podwójna kartka i brakuje jej drugiej strony.

Gapilem się niewątpliwie jak idiota.

— Ale jak to możliwe? Przecież list jest zrozumiały.

— Tak, tak, jest zrozumiały. Na tym polegała mądrość całego pomysłu. Przeczytaj, a sam się przekonasz.

— Rozumiesz teraz? — spytał Poirot. — Kartka kończy się w miejscu, w którym Carlotta wspomina o kapitanie Marshu. Współczuje mu, a potem pisze: „Mówi, że wysoko ocenia mój występ”. Od tego zdania zaczyna się nowa strona. Lecz między nimi, *mon ami*, brakuje jednej kartki. Osoba ze strony następnej niekoniecznie musi oznaczać tę z poprzedniej. Ktoś zupełnie inny zaproponował maskaradę. Zauważ, że nigdzie później nie został już wspomniany. *Ah, c'est epatant!* W jakiś sposób nasz morderca zdobył ten list, list, który go zdradzał. Niewątpliwie najpierw chciał go zniszczyć, a potem, po przeczytaniu, znalazł inne rozwiązanie. Usunął jedną stronę, a cały list stał się jednoznacznym oskarżeniem innego człowieka, i to takiego, który miał motyw, by zabić lorda Edgware'a. To dopiero szczęście! Podarunek losu, jak ty to mówisz. Oderwał stronę i wysłał list.

Spojrzałem na Poirota z podziwem. Nie byłem do końca przekonany, że jego teoria jest słuszna. Wydawało mi się całkiem możliwe, że Carlotta pisała na pojedynczej kartce papieru, którą wcześniej sama oddarła. Lecz Poirot był ogarnięty taką radością, że po prostu nie miałem serca podsuwać mu równie prozaicznej możliwości. Zresztą mógł mieć rację.

Jednakże zaryzykowałem i wskazałem kilka komplikacji stojących na drodze jego teorii.

— W jaki sposób ten człowiek, kimkolwiek jest, zdobył list? Panna Adams wyjęła go z torebki i sama przekazała pokojówce. Tak powiedziała nam służąca.

— Dlatego też musimy przyjąć jedną z dwóch możliwości. Albo pokojówka kłamała, albo tamtego wieczoru Carlotta Adams spotkała się z mordercą.

Skinąłem głową.

— Wydaje mi się, że druga możliwość jest bardziej prawdopodobna. Nadal nie wiemy, gdzie panna Adams była między godziną, w której opuściła swoje mieszkanie, a dziewiątą, kiedy to zostawiła walizkę na dworcu Euston. Przypuszczam, że spotkała się wówczas z mordercą w umówionym miejscu, prawdopodobnie zjedli coś razem. Przekazał jej ostatnie instrukcje. Co dokładnie stało się z listem, nie wiemy. Możemy jedynie zgadywać. Może trzymała go w ręku, zamierzając wysłać, i położyła na stoliku w restauracji. On mógł zauważyć adres i przewidzieć niebezpieczeństwo, zręcznie pochwycić list, przeprosić i wyjść do toalety, otworzyć go, przeczytać, oderwać stronę i albo odłożyć na stolik, albo podać jej, gdy się żegnali, mówiąc, że nie zauważyła, jak go upuściła. Jak to się stało, nie jest ważne. Dwie rzeczy wydają się wystarczająco oczywiste. Po pierwsze, Carlotta Adams spotkała się tamtego wieczoru z mordercą, albo przed śmiercią lorda Edgware'a, albo później — po wyjściu z Corner House miała czas na krótką rozmowę.

Przypuszczam, choć mogę się tu mylić, że to morderca dał jej złote puzderko, być może jako sentymentalną pamiątkę ich pierwszego spotkania. W takim wypadku mordercą jest D.

— Nie rozumiem, jakie znaczenie ma złote puzderko.

— Carlotta Adams nie była uzależniona od weronalu, Hastings. Tak twierdzi Lucie Adams i ja uważam, że ma rację. Carlotta była rozsądną, zdrową dziewczyną, bez skłonności do nałogów. Ani jej przyjaciele, ani pokojówka nie rozpoznali pudełka. Dlaczego więc znaleziono je wśród jej rzeczy po śmierci? Aby stworzyć wrażenie, że naprawdę brała weronal, i to od dłuższego czasu, co najmniej od sześciu miesięcy. Załóżmy, że spotkała mordercę choćby w kilka minut po zbrodni. Wypili coś razem, by uczcić sukces przedsięwzięcia. A on wsypał do drinka dziewczyny dość weronalu, by mieć pewność, że następnego ranka się nie obudzi.

— To okropne — powiedziałem z drżeniem.

— Tak, to nie było miłe — zgodził się sucho Poirot.

— Zamierzasz powiedzieć o tym Jappowi? — spytałem po chwili.

— Nie teraz. Co właściwie mam do powiedzenia? Nasz wspaniały Japp odparłby: „Kolejny wymysł. Dziewczyna użyła oddartej kartki”. *C'est tout.*

Spuściłem wzrok w poczuciu winy.

— Co mam na to powiedzieć? Nic. To mogło się wydarzyć. Wiem jedynie, że tak się nie stało, ponieważ tak nie mogło się stać. — Poirot umilkł. Przez chwilę na jego twarzy pojawił się wyraz rozmarzenia. — Pomyśl tylko, Hastings, gdyby tylko ten mężczyzna był metodyczny, odciąłby stronę zamiast wydierać. I niczego byśmy nie zauważyli. Absolutnie niczego!

— Możemy więc przypuszczać, że z natury jest niedbały — zauważyłem z uśmiechem.

— Nie, nie. Prawdopodobnie się śpieszył. Popatrz, jak niestarannie oddarto stronę. Och, na pewno czas go naglił. — Po chwili milczenia dodał: — Mam nadzieję wszakże, że jedną rzecz dostrzegłeś. Ten człowiek, ten D., musi mieć świetne alibi na tamten wieczór.

— Nie rozumiem, jak mógłby mieć jakiegokolwiek alibi, jeśli spędził wieczór najpierw na Regent Gate, dokonując zbrodni, a potem z Carlottą Adams.

— Właśnie — rzekł Poirot. — O to mi chodzi. Ogromnie potrzebował alibi, więc niewątpliwie je sobie zapewnił. Kolejna sprawa: czy jego nazwisko naprawdę zaczyna się na D.? A może D. oznacza przezwisko, pod jakim ona go znała?

Po chwili powiedział łagodnie:

— Mężczyzna, którego inicjał lub przezwisko zaczyna się na D. Musimy go znaleźć, Hastings. Tak, musimy go znaleźć.

XXIV

Więści z Paryża

Następnego dnia złożono nam nieoczekiwaną wizytę.

Zaansowano Geraldine Marsh.

Poirot powitał ją i usadził na krześle. Było mi jej żal. Olbrzymie czarne oczy wydawały się jeszcze większe i ciemniejsze niż zwykle, podkrążone, jakby nie spała. Jej twarz nosiła ślady wyczerpania i znużenia wyjątkowego jak na kogoś tak młodego — niemal dziecko.

— Przyszłam do pana, panie Poirot, ponieważ nie wiem, jak sobie dalej radzić. Jestem potwornie zmartwiona i zdenerwowana.

— Tak, *mademoiselle*?

Zachowywał się z powagą i współczuciem.

— Ronald przekazał mi, co mu pan powiedział tamtego dnia, to znaczy tamtego okropnego dnia, kiedy został aresztowany. — Wzdrygnęła się. — Podobno niespodziewanie podszedł pan do niego, właśnie gdy pojął, że prawdopodobnie żaden z was mu nie wierzy, i powiedział: „Ja panu wierzę”. Czy to prawda, panie Poirot?

— To prawda, *mademoiselle*, tak powiedziałem.

— Wiem, ale nie pytam, czy tak pan powiedział, lecz czy pańskie słowa były szczerze. To znaczy, czy uwierzył pan w jego historię?

Wyglądała na okropnie zdenerwowaną. Pochyliła się, zaciskając dłonie.

— Moje słowa były szczerze, *mademoiselle* — odparł cicho Poirot. — Nie wierzę, że pani kuzyn zabił lorda Edgware’a.

— Och! — Na jej policzki wróciły kolory, oczy rozwarły się szeroko. — W takim razie uważa pan... że zabił go ktoś inny!

— *Évidemment, mademoiselle* — uśmiechnął się Poirot.

— Jestem głupia. Źle mówię. Pytam o to, czy wie pan, kto to zrobił?

— Naturalnie, mam swoje przypuszczenia... powiedzmy raczej, podejrzenia.

— Nie zdradzi ich pan? Proszę... proszę.

Poirot potrząsnął głową.

— Byłoby to... być może... niesprawiedliwe.

— W takim razie podejrzewa pan kogoś konkretnego? Poirot nieobowiadająco pokręcił głową.

— Gdybym tylko wiedziała odrobinę więcej — błagała dziewczyna. — Byłoby mi o tyle łatwiej. I być może mogłabym panu pomóc. Naprawdę mogłabym pomóc.

Jej prośba była rozbijająca, lecz Poirot nadal kręcił głową.

— Księżna Merton wciąż jest przekonana, że zrobiła to moja macocha — powiedziała z namysłem. Rzuciła delikatne, pytające spojrzenie Poirotowi, lecz on nie zareagował.

— Chociaż nie sądzę, żeby było to możliwe.

— Jakie ma pani o niej zdanie? O pani macosze?

— Cóż... ledwie ją znam. Uczyłam się w szkole w Paryżu, kiedy ojciec się z nią ożenił. Była całkiem miłą, kiedy wróciłam do domu. To znaczy po prostu nie zauważała, że tam jestem. Uważałam ją za osobę bezmyślną i... chciwą.

Poirot skinął głową.

— Mówiła pani o księżnej Merton. Często ją pani widywała?

— Tak. Traktowała mnie bardzo życzliwie. Spędziłam z nią dużo czasu w ciągu ostatnich dwóch tygodni. To było straszne: rozmowy, reporterzy, Ronald w więzieniu... — Wstrząsnął nią dreszcz. — Mam wrażenie, że brak mi prawdziwych przyjaciół. Ale księżna zachowała się cudownie, podobnie jak on... to znaczy jej syn.

— Lubi go pani?

— Chyba jest nieśmiały. Sztywny, trudno z nim rozmawiać. Lecz matka wiele o nim mówi, więc czuję, że znam go lepiej niż naprawdę.

— Rozumiem. Proszę mi powiedzieć, *mademoiselle*, lubi pani swojego kuzyna?

— Ronalda? Oczywiście. Nie widziałam go często przez ostatnie dwa lata, ale wcześniej mieszkał w naszym domu. Ja... ja zawsze uważałam, że jest wspaniały. Żartował i wymyślał szalone rzeczy. To stanowiło ogromną odmianę w naszej ponurej rodzinie.

Poirot przytaknął ze współczuciem, lecz następnie rzucił uwagę, której brutalność mnie zaszokowała:

— Wobec tego nie chce pani, żeby go powieszono?

— Nie, nie. — Dziewczyna zadrżała gwałtownie. — Tylko nie to. Och, gdyby tylko mordercą okazała się ona... moja macocha. To na pewno ona. Tak mówi księżna.

— Aha! Szkoda, że kapitan Marsh nie został w taksówce, prawda?

— Tak, w każdym razie... o co panu chodzi? — Zmarszczyła brwi. — Nie rozumiem.

— Szkoda, że wszedł do domu za tym mężczyzną. A właściwie, czy słyszała pani, jak ktoś wchodzi do domu?

— Nie, nic nie słyszałam.

— Co zrobiła pani po wejściu do środka?

— Pobiegłam prosto na górę, żeby przynieść perły, przecież pan wie.

— Oczywiście. To zajęło pani jakiś czas.

— Tak. Nie mogłam od razu znaleźć klucza do szkatułki z klejnotami.

— To się często zdarza. Im bardziej się spieszymy, tym wolniej nam idzie. Minęło parę minut, nim zesłała pani na dół, a wtedy zobaczyła pani w holu kuzyna?

— Tak, wychodził z biblioteki. — Przełknęła ślinę.

— Rozumiem. To panią zdziwiło.

— Tak. — Spojrzała na niego wdzięczna za pełen współczucia ton. — Byłam zaskoczona.

— Oczywiście.

— Ronnie odezwał się za moimi plecami: „Jak tam, Dina, masz je?”. A ja aż podskoczyłam.

— Tak — powiedział łagodnie Poirot. — Jak wspomniałem, szkoda, że nie został na zewnątrz. Wówczas taksówkarz mógłby przysiąc, że kapitan Marsh nie wchodził do domu.

Skinęła głową. Do oczu napłynęły jej łzy. Wstała. Poirot wziął ją za rękę.

— Chce pani, żebym go dla pani uratował? O to chodzi?

— Tak, tak... błagam. Nie wie pan...

Stała, usiłując się opanować, zaciskając dłonie.

— Nie miała pani łatwego życia, *mademoiselle* — zauważył z sympatią Poirot. — Rozumiem to. Hastings, wezwiesz dla pani taksówkę?

Zszedłem z dziewczyną na dół i wsadziłem ją do samochodu. Odzyskała już spokój i podziękowała

mi z wdziękiem.

Po powrocie zastałem Poirota przemierzającego pokój tam i z powrotem, z brwiami uniesionymi w zamyśleniu. Wyglądał na nieszczęśliwego.

Ucieszyłem się, kiedy jego skupienie przerwał dzwonek telefonu.

— Kto mówi? A, Japp. *Bonjour, mon ami.*

— I co ma do powiedzenia? — spytałem, podchodząc do aparatu. Po kilku krótkich okrzykach Poirot wreszcie przemówił.

— Dobrze, a kto ją wezwał? Czy wiedzą?

Odpowiedź, która padła, nie była tą, której się spodziewałem. Twarz Poirota przybrała śmieszny wyraz.

— Jest pan pewien?

— Nie, to tylko trochę denerwujące.

— Tak, muszę powtórnie wszystko przemyśleć.

— *Comment?*

— Mimo to miałem rację. Tak, to szczegóły, jak pan mówi.

— Nie, nadal jestem tego samego zdania. Błagam, proszę sprawdzić restauracje w sąsiedztwie Regent Gate i Euston, Tottenham Court Road, może jeszcze Oxford Street.

— Tak, kobieta i mężczyzna. Proszę popytać też na Strandzie. Tuż przed północą. *Comment?*

— Ależ tak, wiem, że kapitan Marsh był z Dortheimerami. Lecz na świecie żyją jeszcze inni ludzie prócz kapitana Marsha.

— Nieładnie mówić, że mam barani łeb. *Tout de même*, bardzo pana o to proszę.

Odłożył słuchawkę.

— I co? — rzuciłem niecierpliwie.

— Zastanawiam się. Hastings, to złote puzderko naprawdę zostało zakupione w Paryżu. Zamówiono je listownie w znanym sklepie, który specjalizuje się w takich drobiazgach. List pochodził od lady Ackerley. Podpisano go Constance Ackerley. Oczywiście, taka osoba nie istnieje. List dotarł na dwa dni przed morderstwem. Zamówiono inicjały, jak przypuszczano — autorki listu, wysadzane rubinami, a także napis w środku. Było to zlecenie pilne, do odebrania następnego dnia. To jest na dzień przed morderstwem.

— I ktoś się zgłosił?

— Tak, i zapłacił gotówką.

— Kto? — zapytałem podniecony. Czułem, że zbliżamy się do prawdy.

— Kobieta, Hastings.

— Kobieta? — powtórzyłem ze zdumieniem.

— *Mais oui*. Kobieta: niska, w średnim wieku, z pince-nez. Popatrzyliśmy na siebie, nic nie rozumiejąc.

XXV

Lunch

Chyba następnego dnia poszliśmy na lunch organizowany przez Widburnów w Claridge'u.

Ani Poirot, ani ja nie mieliśmy na to zbytnej ochoty. Prawdę mówiąc, było to już szóste zaproszenie, jakie otrzymaliśmy. Pani Widburn była upartą kobietą i lubiła uroczystości. Niezrażona odmowami, zaproponowała nam wybór dogodnej daty, tak że nasza kapitulacja była nieunikniona. W tych okolicznościach, im wcześniej byśmy przez to przeszli, tym lepiej.

Poirot był niekomunikatywny od chwili otrzymania wiadomości z Paryża.

Na moje uwagi na ten temat zawsze dawał tę samą odpowiedź:

— Jest tu coś, czego nie rozumiem. A raz czy dwa mruknął do siebie:

— Pince-nez. Jedno w Paryżu, drugie w torebce Carlotty Adams. Naprawdę cieszył mnie ten lunch jako sposób na zwrócenie jego uwagi w inną stronę.

Na miejscu był Donald Ross, który podszedł i powitał mnie radośnie. Ponieważ zaproszono więcej panów niż pań, posadzono go obok mnie.

Jane Wilkinson siedziała niemal na wprost, a między nią i panią Widburn zasiadł młody książę Merton.

Miałem wrażenie, choć oczywiście było to tylko wrażenie, że czuję się trochę niezręcznie. Uznałem, że towarzystwo, w jakim się znalazłem, niezbyt mu odpowiada. Był młodzieńcem bardzo konserwatywnym, może nawet trochę reakcyjnym. Taka postać za sprawą smutnej pomyłki mogła zjawić się w naszym wieku prosto ze średniowiecza. Jego zauroczenie na wskroś nowoczesną Jane Wilkinson było jednym z tych anachronicznych żartów, w jakich lubuje się natura.

Nie mogłem się dziwić jego kapitulacji, widząc urodę Jane i doceniając czar jej pięknego matowego głosu, którym wygłaszała największe banały. Lecz do niezwykłej piękności i uwodzicielskiego głosu można przywyknąć! Przeszło mi przez myśl, że może już teraz promyczek zdrowego rozsądku rozwiewa opary szalonej miłości księcia. To wrażenie podsunęła mi przypadkowa uwaga, a właściwie dość upokarzająca gafa, jaką popełniła Jane.

Ktoś, nie pamiętam kto, wspomniał o „sądzie Parysa” i na to zaraz odezwał się zachwycający głos Jane.

— Paryż? Och, ależ Paryż nie ma już żadnego znaczenia. Teraz liczą się Londyn i Nowy Jork.

Jak to się czasem zdarza, słowa te padły akurat w czasie chwilowej przerwy w rozmowie. Sytuacja stała się niezręczna. Usłyszałem, jak po mojej prawej Donald Ross gwałtownie wciąga powietrze. Pani Widburn zaczęła szybko mówić o rosyjskiej operze. Wszyscy pośpiesznie zwrócili się do swoich sąsiadów. Tylko Jane przesuwiała spokojny wzrok po zebranych, zupełnie nieświadoma, że powiedziała coś niewłaściwego.

Wtedy właśnie zauważyłem wyraz twarzy księcia. Wargi zacisnął mocno, zaczerwienił się i wydało mi się, jakby lekko odsunął się od Jane. Dla niego to był przedsmak tego, jak niezręczne sytuacje czekają mężczyznę z jego pozycją, kiedy poślubi taką Jane Wilkinson.

Jak inni, ja też usiłowałem zatrzeć gafę Jane, pośpiesznie zwracając się do sąsiadki po lewej, damy wyniosłej i utytułowanej, która zajmowała się organizacją przedpołudniowych przedstawień dla dzieci. Jak to się zdarza, powiedziałem pierwszą rzecz, jaka mi przyszła do głowy. Pamiętam, że moja uwaga brzmiała następująco: „Kim jest ta dziwna kobieta w okropnej purpurowej sukni na drugim końcu stołu?” — spytałem. Oczywiście, była to siostra mojej sąsiadki! Wykrztusiwszy przeprosiny, odwróciłem się i zacząłem gawędzić z Rossem, który odpowiadał monosylabami.

Odrzucony przez obie strony, zwróciłem swoją uwagę na Bryana Martina. Musiał się spóźnić, gdyż nie zauważyłem go wcześniej.

Siedział parę krzeseł ode mnie i pochylony w przód rozmawiał z ożywieniem z ładną blondynką.

Minęło trochę czasu, odkąd widziałem go z bliska, i natychmiast uderzyła mnie ogromna poprawa w jego wyglądzie. Niemal zniknęły ślady znużenia. Wydawał się młodszy i pod każdym względem zdrowszy. Śmiał się i żartował z siedzącą naprzeciw rozmówczynią, najwyraźniej w doskonałym nastroju.

Nie miałem czasu na dalsze obserwacje, gdyż w tej chwili moja wyniosła sąsiadka wybaczyła mi i łaskawie pozwoliła wysłuchać długiego monologu na temat piękna dziecięcych przedstawień, które organizowała dla instytucji dobroczynnej.

Poirot był umówiony i musiał wyjść wcześniej. Zajmował się sprawą tajemniczego zniknięcia butów pewnego ambasadora i miał spotkanie o wpół do trzeciej. Zobowiązał mnie, bym pożegnał się w jego imieniu z panią Widburn. Kiedy czekałem, by to uczynić (co nie było łatwe, gdyż w tamtej chwili otaczała ją grupka wychodzących już przyjaciół, rzucających głośne „moja droga”), ktoś dotknął mojego ramienia. Był to młody Ross.

— Czy jest tu pan Poirot? Chciałbym z nim pomówić.

Wyjaśniłem, że Poirot przed chwilą wyszedł.

Ross wydawał się zaskoczony. Przyjrzawszy się mu bliżej, dostrzegłem, że wyraźnie coś wytrąciło go z równowagi. Był blady, zmieszany, patrzył wokół błędnym wzrokiem.

— Bardzo chce go pan zobaczyć? — spytałem.

Odparł powoli:

— Ja... nie wiem.

Odpowiedź była tak dziwaczna, że spojrzałem na niego ze zdumieniem. Zaczerwienił się.

— Wiem, że to brzmi dziwnie. Rzecz w tym, że wydarzyło się coś dość osobliwego. Coś, czego nie potrafię zrozumieć. Chciałbym... chciałbym poradzić się pana Poirota. Widzi pan, nie wiem, co robić, a nie chcę zawracać mu głowy. Jednakże...

Wyglądał na tak zagubionego i nieszczęśliwego, że pośpieszyłem na pomoc.

— Poirot udał się na umówione spotkanie, ale wiem, że zamierza wrócić o piątej. Może zadzwoni pan do niego albo wpadnie?

— Dzięki. Wie pan, chyba tak zrobię. O piątej?

— Najpierw proszę zadzwonić i upewnić się przed przyjściem.

— Dobrze, tak zrobię. Dzięki, panie Hastings. Widzi pan, myślę, że to może... po prostu... być bardzo ważne.

Skinąłem głową i odwróciłem się z powrotem w stronę pani Widburn, rozdającej wokół słodkie słówka i miękkie uściski dłoni.

Spełniwszy swój obowiązek, zmierzałem właśnie do wyjścia, kiedy jakaś ręka wślizgnęła się pod ramię.

— Proszę mnie nie odtrącać — powiedział wesoły głos.

Była to Jenny Driver, wyglądająca zresztą ogromnie szykownie.

— Witam — rzekłem. — Skąd się pani tu wzięła?

— Jadłam lunch przy sąsiednim stole.

— Nie zauważyłem pani. Jak interesy?

— Kwitnąco, dziękuję.

— Talerze do zupy dobrze się sprzedają?

— Talerze do zupy, jak je pan niegrzecznie nazywa, sprzedają się bardzo dobrze. Kiedy wszyscy będą już mieli ich dość, trzeba będzie wymyślić coś potwornego. Na przykład balon z piórkiem pośrodku czoła.

— Jest pani pozbawiona skrupułów — zauważyłem.

— Ależ nie. Ktoś musi przyjść na ratunek strusiom. Wszystkie są na zasiłku. — Roześmiała się i

odsunęła. — Do widzenia. Biorę sobie wolne popołudnie i jadę na wycieczkę na wieś.

— Doskonały pomysł — powiedziałem z uznaniem. — Dziś w Londynie jest dość parno.

Sam przespacerowałem się leniwie po Hyde Parku. Do domu dotarłem koło czwartej. Poirot jeszcze się nie zjawił. Wrócił dwadzieścia po piątej. Oczy mu błyszczały i najwyraźniej był w dobrym humorze.

— Jak widzę, Holmesie, odnalazłeś buty ambasadora — zauważyłem.

— Chodziło o szmugiel kokainy. Bardzo oryginalny. Ostatnią godzinę spędziłem w salonie piękności. Była tam dziewczyna o kasztanowych włosach, która z miejsca podbiłaby twoje wrażliwe serce.

Poirot jest przekonany, że szczególnie reaguję na kasztanowe włosy. Nie zwracałem sobie głowy zaprzeczaniem. Zadzwoił telefon.

— To prawdopodobnie Donald Ross — powiedziałem, podchodząc do aparatu.

— Donald Ross?

— Tak, ten młody człowiek, którego spotkaliśmy w Chiswick. Chce się z tobą widzieć w jakiejś sprawie.

Podniosłem słuchawkę.

— Tu kapitan Hastings.

To był Ross.

— To pan, panie Hastings? Czy pan Poirot wrócił?

— Tak, jest tutaj. Chce pan z nim pomówić, czy też od razu pan przyjdzie?

— To nic wielkiego. Równie dobrze mogę mu to powiedzieć przez telefon.

— Dobrze. Niech pan chwilę poczeka.

Poirot podszedł i wziął słuchawkę. Stałem tak blisko, że mogłem słyszeć, chociaż słabo, głos Rossa.

— Czy to pan Poirot? — padło pełne podniecenia i napięcia.

— Tak, to ja.

— Nie chcę zwracać panu głowy, ale pewna rzecz wydaje mi się dość dziwna. To łączy się ze śmiercią lorda Edgware'a.

Dostrzegłem, że Poirot zeszytywniał.

— Proszę dalej.

— Może pan uznać to za bzdurę...

— Nie, nie. Niech pan mówi.

— Podsunęła mi to ta wzmianka o Parysie. Widzi pan... — Dosłyszałem słaby dźwięk dzwonka.

— Jedną chwilę — rzucił Ross. Odłożono słuchawkę.

Czekaliśmy, Poirot przy aparacie, ja tuż obok.

Jak powiedziałem: czekaliśmy...

Minęły dwie minuty... trzy... cztery... pięć...

Poirot niecierpliwie przestąpił z nogi na nogę. Zerknął na zegar. Potem nacisnął na widełki i połączył się z centralą. Obrócił się do mnie.

— Słuchawka wciąż jest odłożona, ale nie ma odpowiedzi. Nie mogą się skontaktować z rozmówcą. Szybko, Hastings, sprawdź adres Rossa w książce telefonicznej. Musimy tam natychmiast jechać.

XXVI

Paryż?

Kilka chwil później wskakiwaliśmy do taksówki. Poirot miał poważną minę.

— Boję się, Hastings — powiedział. — Boję się.

— Nie myślisz chyba... — zacząłem i urwałem.

— Ścigamy kogoś, kto popełnił dwie zbrodnie i nie zawaha się popełnić trzeciej. Miota się jak szczur walczący o życie. Ross stanowi zagrożenie, więc trzeba go wyeliminować.

— Czy to, co chciał powiedzieć, było tak ważne? — spytałem z powątpiewaniem. — On sam tak nie uważał.

— W takim razie się mylił. Najwyraźniej to, co miał do powiedzenia, było ogromnie ważne.

— Jak ktoś mógł się o tym dowiedzieć?

— Mówisz, że rozmawiał z tobą w Claridge'u. Wokół stało mnóstwo ludzi. To było szaleństwo, kompletne szaleństwo. Dlaczego nie przyprowadziłeś go tu ze sobą, nie strzegłeś go, nie dopuściłeś do niego nikogo, zanim mogłem usłyszeć, co miał do powiedzenia!

— Nie sądziłem... nie wyobrażałem sobie nawet... — zająknąłem się.

Poirot machnął ręką.

— Nie obwiniaj się. Skąd miałeś wiedzieć? Ja bym wiedział. Widzisz, Hastings, morderca jest sprytny i bezlitosny jak tygrys. Ach! Czy nigdy nie dotrzemy na miejsce?

Jednak dojechaliśmy. Ross mieszkał na pierwszym piętrze domu usytuowanego na dużym placu w Kensington. Informację o numerze uzyskaliśmy dzięki wizytówce wetkniętej w szparę przy dzwonku. Drzwi wejściowe były otwarte, a za nimi zaczynała się szeroka klatka schodowa.

— Łatwo tu wejść, nikt tego nie zauważy — mruknął Poirot i rzucił się na schody.

Na pierwszym piętrze znajdowało się coś w rodzaju przegrody i wąskie drzwi z zamkiem yale. Wizytówka Rossa wisiała na środku drzwi.

Zatrzymaliśmy się. Wokół panowała martwa cisza.

Pchnąłem drzwi, które ku mojemu zaskoczeniu ustąpiły.

Weszliśmy do środka.

Wewnątrz ciągnął się wąski korytarz z otwartymi drzwiami po jednej stronie, drugimi na wprost, prowadzącymi najwyraźniej do saloniku. Tam podążyliśmy. Stanowił połowę wydzieloną z dużego, frontowego pokoju dziennego. Umeblowano go tanio, lecz wygodnie. Nie było tam nikogo. Na stoliczku stał telefon, a słuchawka leżała obok aparatu.

Poirot postąpił szybko krok naprzód, rozejrzał się, potem potrząsnął głową.

— Nie tu. Chodźmy, Hastings.

Cofnęliśmy się i wróciwszy do holu, przekroczyliśmy drugie drzwi. Za nimi znajdowała się maleńka jadalnia. Za stołem, zsunięty bokiem z krzesła, z głową opartą na blacie siedział Ross.

Poirot pochylił się nad nim.

Po chwili wyprostował się z pobladłą twarzą.

— Nie żyje. Zadano cios nożem u podstawy czaszki.

Przez długi czas potem wydarzenia, jakie miały miejsce tamtego popołudnia, wydawały mi się koszmarem. Nie mogłem się pozbyć przerażającego poczucia odpowiedzialności.

Wieczorem tego samego dnia, kiedy wreszcie zostaliśmy sami, jękając się, powiedziałem Poirotowi, jak bardzo się obwiniam. Zareagował z miejsca.

— Nie, nie, nie oskarżaj się. Jak mogłeś to podejrzewać? Po pierwsze, dobry Bóg nie obdarzył cię podejrzliwą naturą.

— Ale ty coś podejrzewałeś?

— To ogromna różnica. Widzisz, ja przez całe życie tropiłem morderców. Za każdym razem rozpoznaję, jak impuls do zbrodni staje się coraz silniejszy, aż wreszcie z trywialnej przyczyny... — urwał.

Od naszego okropnego odkrycia zachowywał się bardzo cicho. Pozostał nieobecny duchem przez cały czas, włączając w to przybycie policji, przepytывanie pozostałych mieszkańców domu, tysiąc jeden przerażających drobiazgów, jakie rutynowo następują po odkryciu zbrodni. Był dziwnie spokojny, a jego wzrok kierował się gdzieś w dal, w zamyśleniu. To spojrzenie powróciło, gdy tak nagle umilkł.

— Nie mamy czasu na próżne żale, Hastings — rzekł cicho — ani na gdybanie. Ten zabity biedak miał nam coś do powiedzenia. A teraz wiemy, że miało to ogromną wagę, gdyż w innym przypadku nie zostałby zamordowany. Ponieważ nie może nam już nic powiedzieć, sami musimy to odgadnąć. Musimy to odgadnąć, a mamy tylko jedną wskazówkę.

— Paryż — rzuciłem.

— Tak, Paryż. — Wstał i zaczął przechadzać się tam i z powrotem. — W toku sprawy pojawił się kilkakrotnie, choć, niestety, w różnym kontekście. Na złotym puzderku wygrawerowano nazwę tego miasta. Paryż w listopadzie zeszłego roku. Była tam wówczas panna Adams, być może był tam także Ross. Czy był ktoś jeszcze, kogo Ross znał? Kogo zobaczył razem z panną Adams w dość szczególnych okolicznościach?

— Tego nigdy się nie dowiemy — powiedziałem.

— Ależ możemy się dowiedzieć, i zrobimy to! Moc ludzkiego umysłu jest niemal nieograniczona, Hastings. Co jeszcze łączy Paryż z naszą sprawą? Niska kobieta w binoklach, która odebrała puzderko od tamtejszego jubilera. Czy Ross ją znał? Księżę Merton przebywał w Paryżu, kiedy popełniono zbrodnię. Paryż, ciągle ten Paryż. Lord Edgware wybierał się do Paryża... Ach! W tym może coś być. Czy zabito go, by powstrzymać przed wyjazdem?

Ponownie usiadł, ściągnął brwi. Niemal wyczuwałem jego napięcie.

— Co takiego stało się podczas przyjęcia? — mruknął. — Jakieś przypadkowe słowo musiało wskazać Donaldowi Rossowi wagę posiadanej przezeń informacji, którą do tej pory uważał za nieistotną. Czy padła jakaś uwaga o Francji? O Paryżu? Mówię o twoim końcu stołu.

Opowiedziałem mu o gafie Jane Wilkinson.

— To zapewne wszystko wyjaśnia — ocenił z namysłem. — Pomyłka Parys–Paryż wystarczyłaby... w połączeniu z czymś jeszcze. Ale czym? Na co patrzył Ross? Albo o czym wtedy mówił?

— O szkockich przesądach.

— A jego wzrok skierowany był... gdzie?

— Nie jestem pewien. Chyba patrzył na szczyt stołu, gdzie siedziała pani Widburn.

— Kogo widziałeś obok niej?

— Księcia Merton, dalej Jane Wilkinson, potem jakiegoś mężczyznę, którego nie znam.

— A więc księżę. Możliwe, że Ross patrzył wówczas na księcia. Pamiętaj, że w czasie zbrodni księżę był w Paryżu, przynajmniej tak twierdzi. Załóżmy, że Ross przypomniał sobie nagle coś, co dowodziło, że księżę wcale tam nie pojechał.

— Ależ, Poirot!

— Tak, uważasz, że to absurdalne, jak wszyscy zresztą. Czy księżę miał motyw do zbrodni? Tak, i to bardzo silny. Lecz założenie, że mógł ją popełnić... Ach! To już jest absurdalne. Jest tak bogaty, ma tak pewną pozycję i słynie z wyniosłego charakteru. Nikt nie badałby zbyt dokładnie jego alibi. A jednak nietrudno udawać, że mieszkało się w dużym hotelu. Popłynąć popołudniowym promem i wrócić — to jest wykonalne. Czy Ross nie powiedział czegoś, kiedy padło słowo Paryż? Nie okazał

żadnych emocji?

— Pamiętam, że dość gwałtownie wciągnął oddech.

— A sposób, w jaki potem z tobą rozmawiał? Był zakłopotany? Zmieszany?

— Dokładnie tak.

— *Precisement*. Wpadł na jakiś pomysł. Uznał go za niedorzeczny. Absurdalny. A jednak... waha się go wypowiedzieć na głos. Najpierw chce porozmawiać ze mną. Lecz kiedy decyduje się, mnie już tam nie ma.

— Gdyby tylko powiedział mi coś więcej — jęknąłem.

— Tak. Gdyby tylko... Kto stał wówczas koło ciebie?

— Właściwie wszyscy. Żegnali się z panią Widburn. Nie zwróciłem uwagi.

Poirot wstał.

— Czyżbym zupełnie się mylił? — wymruczał i znów zaczął przechadzać się w tę i z powrotem.

— Przez cały czas się myliłem?

Spojrzałem na niego ze współczuciem. Nie wiedziałem, co dokładnie chodzi mu po głowie. Japp mówił, że Poirot milczy jak grób, i te słowa dokładnie opisywały mojego przyjaciela. Czuję jedynie, że w tej chwili walczy sam ze sobą.

— W każdym razie — odezwałem się — tym morderstwem nie można obciążyć Ronalda Marsha.

— To punkt na jego korzyść — odparł z roztargnieniem Poirot — lecz w tej chwili nie to nas zajmuje.

Usiadł gwałtownie.

— Nie mogę się zupełnie mylić. Pamiętasz, Hastings, że postawiłem pięć pytań?

— Coś sobie niejasno przypominam.

— Brzmiały: Dlaczego lord Edgware zmienił zdanie w kwestii rozwodu? Jakie jest wyjaśnienie listu, który miał napisać do żony, a którego ona, jak twierdzi, nigdy nie otrzymała? Dlaczego jego twarz wyrażała wściekłość tamtego dnia, gdy wychodziliśmy z jego domu? Co robiły binokle w torebce Carlotty Adams? Po co ktoś zadzwonił do Chiswick do lady Edgware i natychmiast się rozłączył?

— Tak, to te pytania — powiedziałem. — Teraz pamiętam.

— Przez cały czas miałem pewien mały pomysł. Dotyczył tego, kim jest mężczyzna — mężczyzna

stojący za całą sprawą. Odpowiedziałem na trzy z moich pytań, a odpowiedzi zgadzają się z moją teorią. Lecz nie potrafię odpowiedzieć na ostatnie dwa pytania, Hastings.

Rozumiesz więc, co to oznacza. Albo myślę się co do osoby mordercy, albo odpowiedź na dwa pytania, której nie mogę znaleźć, przez cały czas leży tuż pod moim nosem. Co jest prawdą, Hastings? Co?

Wstał i podszedł do biurka, otworzył kluczem szufladę i wyciągnął list, który Lucie Adams przysłała mu z Ameryki. Poprosił Jappa o zgodę na zatrzymanie go dzień lub dwa, na co Japp przystał. Położył list na biurku przed sobą i pochylił się nad nim.

Mijały minuty. Ziewnąłem i wziąłem do ręki jakąś książkę. Nie sądziłem, że Poirot dowie się czegoś więcej z oględzin. Wielokrotnie już badaliśmy list. Zakładając, że nie obciążał Ronalda Marsha, nic nie wskazywało na faktycznego inicjatora maskarady.

Przewracałem strony książki...

Może trochę przysnąłem...

Nagle Poirot krzyknął cicho. Wyprostowałem się gwałtownie.

Patrzył na mnie z wyrazem twarzy niemożliwym do opisanego, a jego zielone oczy błyszczały.

— Hastings, Hastings!

— Tak, o co chodzi?

— Pamiętasz, mówiłem ci, że gdyby morderca był człowiekiem skrupulatnym, odciąłby tę stronę, zamiast ją oddzierać.

— Owszem?

— Myliłem się. Cała zbrodnia została starannie przemyślana. Tę stronę trzeba było oderwać. Sam popatrz.

Spojrzałem.

— *Eh bien*, widzisz to? Potrząsnąłem przecząco głową.

— Śpieszył się?

— Pośpiech nie miał tu nic do rzeczy. Naprawdę tego nie widzisz, przyjacielu? Ta strona musiała zostać oddarta...

Ponownie potrząsnąłem głową. Poirot powiedział cicho:

— Byłem głupi. Byłem ślepy. Ale teraz... teraz nam się powiedzie!

Sprawa binokli

W chwilę później jego nastrój uległ zmianie. Poderwał się na równe nogi. Ja zrobiłem to samo, zupełnie nie rozumiałem, o co chodzi, ale byłem gotów do czynu.

— Weźmiemy taksówkę. Jest dopiero dziewiąta, więc nie za późno na wizytę.

Pospieszyłem za nim na dół po schodach.

— Komu złożymy wizytę?

— Jedziemy na Regent Gate.

Osądziłem, że mądrzej będzie zachować spokój. Widziałem, że Poirot nie jest w nastroju do odpowiadania na pytania. Jego podniecenie było oczywiste. Kiedy siedzieliśmy obok siebie w taksówce, bębnił palcami o kolana z nerwowym zniecierpliwieniem, zupełnie niepodobnym do zwykłego mu opanowania.

W myślach powtórzyłem sobie każde słowo listu Carlotty Adams do siostry. Teraz znałem go już niemal na pamięć. Bez przerwy wracałem do uwagi Poirota na temat oddartej strony.

Bez efektu. Jeśli chodzi o mnie, słowa Poirota po prostu nie miały sensu. Dlaczego ta strona musiała zostać oddarta? Nie, nie wiedziałem.

Drzwi otworzył nam nowy lokaj. Poirot zapytał o pannę Carroll, a kiedy szliśmy za służącym po schodach, po raz setny zastanawiałem się, gdzie teraz jest „grecki bóg”? Jak dotąd policji nie udało się wpaść na jego ślad. Przeszedł mnie nagły dreszcz, kiedy pomyślałem, że może i on nie żyje...

Widok panny Carroll, zwawej, schludnej i wyjątkowo rozsądnej, wyrwał mnie z tych niedorzecznych rozważań. Była zaskoczona wizytą detektywa.

— Cieszę się, że nadal tu panią zastaję, *mademoiselle* — powiedział Poirot, pochylając się nad jej dłonią. — Bałem się, że nie będzie już pani w tym domu.

— Geraldine nie chce słyszeć o moim odejściu — wyjaśniła panna Carroll. — Błagała, bym została. A w takiej chwili jak obecna to biedne dziecko naprawdę kogoś potrzebuje. A przynajmniej ochrony. Mogę pana zapewnić, panie Poirot, że kiedy to konieczne, potrafię ją ochronić. — Przybrała srogą minę. Czulem, że krótko rozprawi się z każdym reporterem lub poszukiwaczem sensacji.

— *Mademoiselle*, zawsze uważałem panią za wzór kompetencji. Podziwiam ludzi kompetentnych, zwłaszcza że jest ich tak niewiele. Panna Marsh, z drugiej strony, nie ma praktycznego umysłu.

— To marzycielka — zgodziła się panna Carroll. — Zupełnie niepraktyczna, już od dziecka. To szczęście, że nie musi zarabiać na życie.

— Tak, to prawda.

— Lecz chyba nie przyszedł pan tu rozmawiać o tym, kto jest praktyczny, a kto nie. Co mogę dla pana zrobić, panie Poirot?

Nie sądzę, żeby Poirotowi spodobał się sposób, w jaki kazano mu przejść do rzeczy. W pewnym sensie był przywiązany do rozbudowanych wstępów. Takie podejście nie skutkowało jednak w przypadku panny Carroll. Zerknęła na niego podejrzliwie zza swoich silnych szkielek.

— Potrzebuję konkretnych informacji w kilku kwestiach. Wiem, że mogę polegać na pani pamięci, panno Carroll.

— Nie byłabym kompetentną sekretarką, gdybym nie miała dobrej pamięci — zauważyła chłodno panna Carroll.

— Czy lord Edgware był w Paryżu w listopadzie zeszłego roku?

— Tak.

— Może mi pani podać datę?

— Muszę sprawdzić.

Podniosła się, otworzyła szufladę, wyjęła mały notesik, przewróciła kilka stron i w końcu oznajmiła:

— Lord Edgware pojechał do Paryża trzeciego listopada i wrócił siódmego. Po raz drugi pojechał dwudziestego listopada i wrócił czwartego grudnia. Coś jeszcze?

— Tak. W jakim celu wyjechał?

— Za pierwszym razem pojechał obejrzeć kilka posążków, nad których kupnem się zastanawiał, a które później wystawiono na aukcję. Za drugim razem, o ile wiem, nie miał określonego celu.

— Czy *mademoiselle* Marsh towarzyszyła ojcu w którejś podróży?

— Nigdy mu nie towarzyszyła, panie Poirot. Lordowi Edgware'owi nawet by to nie przyszło do głowy. W owym czasie była w szkole klasztornej w Paryżu, ale nie sądzę, by ojciec odwiedził ją lub zabrał stamtąd na trochę... W każdym razie bardzo by mnie to zdziwiło.

— Pani również mu nie towarzyszyła?

— Nie.

Spojrzała na niego z zaciekawieniem i rzuciła gwałtownie:

— Dlaczego zadaje mi pan te pytania, panie Poirot? W jakim celu?

Poirot nie odpowiedział, zamiast tego zapytał:

— Panna Marsh bardzo lubi swojego kuzyna, prawda?

— Doprawdy, panie Poirot, nie rozumiem, dlaczego miałoby to pana interesować.

— Odwiedziła mnie dwa dni temu. Wiedziała pani o tym?

— Nie, nie wiedziałam. — Wydawała się zaskoczona. — Co mówiła?

— Powiedziała mi, choć nie dosłownie, że bardzo lubi swojego kuzyna.

— Dlaczego więc mnie pan o to pyta?

— Gdyż potrzebna mi jest pani opinia.

Tym razem panna Carroll zdecydowała się na odpowiedź.

— Według mnie lubiła go aż za bardzo. Zawsze tak było.

— Nie podoba się pani obecny lord Edgware?

— Tego nie mówię. Po prostu nie mam do niego przekonania. Jest niepoważny, choć nie przeczę, że na swój sposób sympatyczny. Może przekabacić człowieka na swoją stronę. Ale wolałabym, żeby Geraldine zainteresowała się kimś bardziej rozsądnym.

— Takim jak księżę Merton?

— Nie znam księcia. Jednak wydaje się, że poważnie traktuje obowiązki związane ze swoją pozycją. On jednak ugania się za tatą bezecną Jane Wilkinson.

— Jego matka...

— Och! Powiem śmiało, że jego matka wolałaby, żeby ożenił się z Geraldine. Lecz co mogą matki? Synowie nigdy nie chcą poślubić dziewcząt, które podobają się ich matkom.

— Czy sądzi pani, że kuzyn panny Marsh jest do niej przywiązany?

— To nie ma znaczenia, biorąc pod uwagę jego sytuację.

— Uważa więc pani, że zostanie skazany?

— Nie, wcale nie. Nie sądzę, że to zrobił.

— Mimo to mogą go skazać?

Panna Carroll nie odpowiedziała.

— Nie powinienem pani przeszkadzać. — Poirot wstał. — A propos, znała pani może Carlottę Adams?

— Widziałam, jak gra. Bardzo inteligentna dziewczyna.

— Tak, była bardzo inteligentna. — Poirot sprawiał wrażenie pogrążonego w myślach. — Ach! Zostawiłem rękawiczki.

Kiedy pochylił się, by wziąć je ze stołu, zahaczył mankietem o łańcuszek od binokli panny Carroll i rzucił je na podłogę. Podniósł okulary razem z upuszczonymi rękawiczkami, przepaszając ze zmieszaniem.

— Muszę jeszcze raz prosić o wybaczenie za to, że pani przeszkodziłem — powiedział. — Myślałem, że znajdę jakąś wskazówkę w rozmowie, jaką lord Edgware prowadził z kimś w zeszłym roku. Stąd moje pytania o Paryż. Obawiam się, że była to próżna nadzieja, lecz *mademoiselle* wydawała się tak pewna, że to nie jej kuzyn popełnił zbrodnię. Wyjątkowo pewna. Cóż, dobranoc pani, po stokroć przepraszam, że zabrałem pani czas.

Dotarliśmy już do drzwi, kiedy zatrzymał nas głos panny Carroll.

— Panie Poirot, to nie moje okulary. Nic przez nie nie widzę.

— *Comment?* — Poirot spojrzał na nią ze zdumieniem. A potem jego twarz rozjaśniła się w uśmiechu.

— Ależ ze mnie głupiec! Kiedy się pochyliłem, by podnieść rękawiczki i pani szkła, z kieszeni wypadły moje własne okulary. Pomyliłem obie pary. Widzi pani, są bardzo podobne.

Dokonano wymiany i wyszliśmy.

— Poirot — zacząłem na zewnątrz — przecież nie nosisz szkieł. Rozpromienił się.

— Jesteś niezwykle przenikliwy! Błyskawicznie to dostrzegłeś.

— To te binokle znalazłem w torebce Carlotty Adams?

— Zgadza się.

— Dlaczego myślałeś, że mogą należeć do panny Carroll?

Poirot wzruszył ramionami.

— Jest jedyną osobą w tej sprawie, która nosi okulary.

— A jednak nie są jej własnością — powiedziałem z zastanowieniem.

— Tak twierdzi.

— Ty stary, podejrzliwy diable.

— Wcale nie. Prawdopodobnie mówiła prawdę. Myślę, że mówiła prawdę. Inaczej nie zauważyłaby zamiany. Zrobiłem to bardzo zręcznie, mój drogi.

Spacerowaliśmy ulicą bez określonego celu. Zaproponowałem taksówkę, ale Poirot pokręcił głową.

— Muszę się zastanowić, przyjacielu, a spacer mi pomaga.

Nie odezwałem się już. Zbliżała się noc i nie śpieszyło mi się do domu.

— Czy twoje pytania o Paryż były zwykłym kamuflażem? — spytałem po chwili z zaciekawieniem.

— Niezupełnie.

— Nadal nie rozwiązaliśmy tajemnicy inicjałów — zauważyłem z namysłem. — Dziwne, że nikt związany z morderstwem nie ma nazwiska lub imienia zaczynającego się od D... poza... och! Tak, to rzeczywiście dziwne: poza Donaldem Rossem. A on nie żyje.

— Tak — przyznał ponuro Poirot — nie żyje. Przypomniałem sobie inny wieczór, kiedy to spacerowaliśmy w trójkę. Przypomniałem sobie coś jeszcze i wciągnąłem raptownie oddech.

— Na Jowisza, Poirot! — zawołałem. — Pamiętasz to?

— Co, przyjacielu?

— Co Ross mówił o trzynastu osobach przy stole. On wstał pierwszy.

Poirot nie zareagował. Poczułem się trochę niezręcznie, jak każdy, kogo przesady się sprawdzają.

— Dziwne — rzuciłem cicho. — Musisz przyznać, że to dziwne.

— *Eh?*

— Mówiłem, że to dziwne, mam na myśli Rossa i trzynastu gości. Poirot, o czym ty myślisz?

Ku mojemu pełnemu zaskoczeniu i, muszę przyznać, po części zdegowaniu, Poirot zaczął raptem trząść się ze śmiechu. Śmiał się i śmiał. Najwyraźniej coś wprawiło go w niesamowitą radość.

— Z czego, u diabła, się śmiejesz? — spytałem ostro.

— Och! Och! Och! — Poirot z trudem łapał oddech. — Nic takiego. Przypomniałem sobie

zagadkę, którą usłyszałem parę dni temu. Już ci mówię. Co to jest: ma dwie nogi, pióra i szczeka jak pies?

— Kurczak, oczywiście — powiedziałem znużonym głosem. — Znałem to już w przedszkolu.

— Jesteś zbyt dobrze poinformowany, Hastings: Powinieneś był powiedzieć: „Nie wiem”. A na to ja bym wyjaśnił: „Kurczak”. Wtedy ty byś powiedział: „Ależ kurczak nie szczeka jak pies”, a na to ja: „Dodałem to tylko dla utrudnienia”. Załóżmy, Hastings, że takie jest wyjaśnienie litery D.?

— Co za bzdura!

— Dla większości osób tak, lecz dla pewnego typu umysłowości... Och! Gdybym tylko miał kogo zapytać...

Mijaliśmy duże kino, z którego wylał się strumień ludzi, dyskutujących o własnych sprawach, służbie, sympatiach, bardzo rzadko o obejrzanym przed chwilą filmie.

Weszliśmy na Euston Road z całą grupą.

— Zakochałam się — westchnęła jakaś dziewczyna. — Bryan Martin był po prostu cudowny. Nie przepuszcze już ani jednego filmu, w którym gra. Ta scena, kiedy jechał konno wzdłuż klifu i w ostatniej chwili zdążył dostarczyć dokumenty...

Jej towarzysz nie był nastawiony równie entuzjastycznie.

— Idiotyczna historia. Gdyby tylko mieli na tyle rozumu, by od razu zapytać Ellis, co zrobiłby każdy z odrobiną rozsądku...

Nie dosłyszałem reszty. Kiedy dotarłem na chodnik, odwróciłem się i zobaczyłem, że Poirot stoi na środku drogi, a z obu stron nadjeżdżają wprost na niego autobusy. Instynktownie zakryłem oczy dłońmi. Rozległ się pisk hamulców, soczyste przekleństwa kierowców. Poirot z godnością doszedł do krawężnika. Wyglądał jak lunatyk.

— Poirot! — wykrzyknąłem. — Oszalałeś?

— Nie, *mon ami*. Coś mi właśnie przyszło do głowy. Właśnie w tej chwili.

— Cholernie nieodpowiedniej — zauważyłem. — O mały włos byłaby to twoja ostatnia chwila.

— Nieważne. Ach, *mon ami*, byłem ślepy, głuchy, bez rozumu. Teraz znam odpowiedź na wszystkie pytania. Tak jest, na wszystkie pięć. Wszystko rozumiem... To takie proste, takie dziecinnie proste...

XXVIII

Poirot zadaje kilka pytań

Do domu wracaliśmy w dość osobliwy sposób.

Poirot najwyraźniej pochłonięty był własnym tokiem myśli. Od czasu do czasu mruczał coś pod nosem. Dosłyszałem ze dwie uwagi. Raz powiedział „świece”, a raz coś, co brzmiało jak *douzaine**. Przypuszczani, że gdybym był dość bystry, dostrzegłbym kierunek, w którym zmierzały jego rozważania. Rozumowanie było rzeczywiście proste, jednakże wówczas brzmiało dla mnie jak zwyczajny bełkot.

Gdy tylko znaleźliśmy się w domu, popędził do telefonu. Zadzwoił do Savoyu i poprosił o połączenie z lady Edgware.

— Nie rób sobie nadziei, staruszkę — odezwałem się z pewnym rozbawieniem.

Poirot, co często mu mówiłem, jest jednym z najgorzej poinformowanych ludzi na świecie.

— Nie wiesz? — ciągnąłem. — Gra w nowej sztuce. Na pewno jest w teatrze. Dopiero wpół do jedenastej.

Poirot nie zwracał na mnie uwagi. Rozmawiał z recepcjonistą, który najwyraźniej powtarzał to, co sam powiedziałem przed chwilą.

— Ach! Doprawdy? W takim razie chciałbym porozmawiać z pokojówką lady Edgware.

Po kilku chwilach połączono go.

— Czy to pokojówka lady Edgware? Mówi Poirot, Herkules Poirot. Pamięta mnie pani?

— *Tres bien*. Otóż wyniknęła pewna bardzo istotna sprawa. Chciałbym, żeby pani natychmiast do mnie przyszła.

— Ależ tak, to bardzo ważne. Podam pani adres. Proszę uważnie słuchać.

Powtórzył go dwukrotnie, po czym, zamyślony, odwiesił słuchawkę.

— Co to za pomysł? — spytałem z zaciekawieniem. — Naprawdę masz jakieś nowe informacje?

— Nie, Hastings, to ona mi ich udzieli.

— Co to za informacje?

— Dotyczące pewnej osoby.

— Jane Wilkinson?

— Och, jeśli chodzi o nią, wiem wszystko, czego mi trzeba. Znam ją na wylot, jak ty to mówisz.

— W takim razie kogo dotyczą?

Poirot rzucił mi jeden z tych swoich wyjątkowo irytujących uśmiezków i kazał mi czekać.

Potem zabrał się pośpiesznie do porządkowania pokoju.

Dziesięć minut później nadeszła pokojówka. Wyglądała na lekko zdenerwowaną i niepewną. Była to drobna, schludna, ubrana na czarno kobieta. Rozglądała się wokół pełnym wątpliwości wzrokiem.

Poirot ruszył w jej stronę.

— Ach! Przyszła pani. To ogromnie miło z pani strony. Proszę tu usiąść, *mademoiselle*... Ellis, prawda?

— Tak, proszę pana, Ellis.

Usiadła na krześle, które podsunął jej detektyw.

Ręce splotła na brzuchu i przenosiła spojrzenie z jednego z nas na drugiego. Jej drobna, pozbawiona kropli krwi twarz była zupełnie spokojna, a cienkie wargi zaciśnięte.

— Na początek, panno Ellis, od jak dawna pracuje pani dla lady Edgware?

— Od trzech lat, proszę pana.

— Tak myślałem. Dobrze zna pani jej sprawy?

Ellis nie odpowiedziała. Najwyraźniej nie podobało jej się pytanie Poirota.

— Chodziło mi o to, że powinna pani wiedzieć, kto mógłby być jej wrogiem.

Ellis jeszcze mocniej zacisnęła usta.

— Większość kobiet usiłowała wyrządzić jej jakąś przykrość, proszę pana. Wszystkie są przeciwko niej, potwornie zazdrosne.

— Nie lubią jej przedstawicielki jej własnej płci?

— Nie, proszę pana. Jest zbyt ładna i zawsze dostaje to, co chce. W teatrze ludzie są okropnie o siebie zazdrośni.

— A mężczyźni?

Na zwiędłej twarzy pokojówki pojawił się kwaśny uśmiech.

— Robi z nimi, co jej się podoba, proszę pana, to fakt.

— Zgadzam się z panią — powiedział z uśmiechem Poirot. — Jednak mimo wszystko, wyobrażam sobie, że zdarzały się takie okoliczności... — urwał, a potem innym tonem zapytał: — Zna pani pana Bryana Martina, tego aktora filmowego?

— O tak, proszę pana.

— Bardzo dobrze?

— Bardzo dobrze.

— Jak sądzę, nie myłę się, mówiąc, że niecały rok temu pan Bryan Martin był głęboko zakochany w pani chlebodawczyni?

— Po uszy, proszę pana. A według mnie jest nadal zakochany.

— Wówczas wierzył, że za niego wyjdzie, co?

— Tak, proszę pana.

— Czy panna Wilkinson kiedykolwiek poważnie rozważała możliwość małżeństwa z nim?

— Myślała o tym. Gdyby uwolniła się od lorda, pewnie by za niego wyszła.

— A potem zapewne na scenie pojawił się książę Merton?

— Tak. Odbywał podróż po Stanach. Zakochał się od pierwszego wejrzenia.

— Tak więc szanse Bryana Martina przepadły?

Ellis skinęła głową.

— Oczywiście, pan Martin zarabiał ogromne pieniądze — wyjaśniła. — Ale książę Merton miał jeszcze do tego pozycję. A milady bardzo to sobie ceni. Gdyby wyszła za księcia, byłaby jedną z pierwszych dam w kraju.

W głosie pokojówki słychać było zadowolenie mieszczyki, co mnie rozbawiło.

— Tak więc pan Bryan Martin został... jak to ująć... odrzucony? Czy bardzo się tym przejął?

— Zrobił coś potwornego, proszę pana.

— Aha!

— Kiedyś groził jej rewolwerem. A jakie sceny urządzał! Naprawdę się bałam. Do tego sporo pił.

Zupełnie się załamał.

— Lecz ostatecznie uspokoił się.

— Na to wygląda, proszę pana. Ale nadal kręcił się w pobliżu. Nie podobał mi się wyraz jego oczu. Ostrzegałam milady, ale ona tylko się śmiała. Lubi czuć swoją władzę, jeśli wie pan, o co mi chodzi.

— Tak — potwierdził z namysłem Poirot. — Chyba wiem, o co pani chodzi.

— Ostatnio nie widywałyśmy go często, proszę pana. Według mnie to dobrze. Mam nadzieję, że zaczyna mu przechodzić.

— Być może.

Chyba uderzyło ją coś w tonie, jakim Poirot wypowiedział te słowa. Spytała zaniepokojona:

— Nie myśli pan chyba, że grozi jej niebezpieczeństwo?

— Tak jest — powiedział poważnie Poirot. — Uważam, że grozi jej wielkie niebezpieczeństwo. Sama je na siebie sprowadziła.

Jego dłoń, błądząca dotąd bez celu po półce nad kominkiem, natrafiła na wazon z różami, który się przewrócił. Woda spłynęła na twarz i włosy Ellis. Rzadko widywałem, by Poirot zachowywał się niezgrabnie, wydedukowałem więc, że był w wielkim napięciu. Bardzo się zdenerwował, popędził po ręcznik i troskliwie pomógł pokojówce otrzeć twarz i szyję, powtarzając przeprosiny.

W końcu jeden banknot przeszedł z ręki do ręki, po czym Poirot odprowadził pannę Ellis do drzwi, dziękując jej za przybycie.

— Wciąż jeszcze jest wczesnie — rzucił, spoglądając na zegar. — Wróci pani przed powrotem lady Edgware.

— Och, wszystko w porządku, proszę pana. Milady wybierała się na kolację, zresztą nigdy nie oczekuje, że będę na nią czekać, o ile specjalnie o to nie poprosi.

Nagle Poirot zmienił temat.

— Przepraszam, ale pani kuleje, *mademoiselle*.

— To nic, proszę pana. Stopy trochę mnie bolą.

— Odciski? — wymruczał Poirot tonem osoby cierpiącej na podobne dolegliwości.

Najwyraźniej były to odciski. Poirot doradził jej pewne lekarstwo, które według niego sprawiało cuda. Wreszcie Ellis wyszła. Byłem pełen ciekawości.

— I co, Poirot? — zapytałem. — I co? Zareagował uśmiechem na moją niecierpliwość.

— Dziś wieczór nie zdarzy się nic więcej, przyjacielu. Jutro wczesnym rankiem zadzwonimy do Jappa. Poprosimy go, by nas odwiedził. Zadzwonimy także do pana Martina. Myślę, że będzie mógł powiedzieć nam coś interesującego. Chcę równocześnie zwrócić dług, jaki u niego zaciągnąłem.

— Naprawdę?

Spojrzałem na Poirota kątem oka. Uśmiechał się do siebie w dość osobliwy sposób.

— W każdym razie nie możesz go podejrzewać o zamordowanie lorda Edgware'a — powiedziałem. — Zwłaszcza po tym, co usłyszeliśmy dzisiejszego wieczoru. Żaden mężczyzna nie byłby zainteresowany zabiciem męża, by żona mogła poślubić kogoś innego.

— Cóż za przemyślany osąd!

— Nie bądź sarkastyczny — rzuciłem z rozdrażnieniem. — Czym ty się, u diabła, przez cały czas bawisz?

Poirot podniósł do góry wspomniany przedmiot.

— Binoklami naszej poczciwej Ellis, przyjacielu. Zapomniała ich.

— Bzdura! Miała je na nosie, kiedy stąd wychodziła.

Pokręcił spokojnie głową.

— Mylisz się! Bardzo się mylisz! Na nosie, mój drogi Hastings, miała binokle, które znaleźliśmy w torebce Carlotty Adams.

Dech mi zaparło.

Poirot zaczyna mówić

Następnego ranka mnie przypadło w udziale zadzwonić do inspektora Jappa.

W jego głosie brzmiało przygnębienie.

— A, to pan, kapitanie Hastings. Skąd wieją wiatry? Przekazałem mu wiadomość od Poirota.

— Mam przyjść o jedenastej? Chyba mogę. Ale Poirot nie znalazł niczego, co mogłoby nam pomóc w sprawie śmierci młodego Rossa? Nie waham się wyznać, że coś by się przydało. Brakuje jakichkolwiek wskazówek. Nadzwyczaj tajemnicza sprawa.

— Zdaje się, że ma coś dla pana — rzuciłem nieobowiązująco. — Wygląda na bardzo zadowolonego z siebie.

— To więcej, niż mogę powiedzieć o sobie. Dobrze, kapitanie Hastings, przyjdę.

Moim następnym zadaniem był telefon do Bryana Martina. Jemu powiedziałem to, co mi kazano: że Poirot odkrył coś interesującego, co, jak sądzi, mogłoby go zainteresować. Kiedy zapytał mnie, o co chodzi, wyznałem, że nie mam pojęcia. Poirot nie zwierzył mi się. Zapadło milczenie.

— Dobrze — powiedział w końcu Bryan Martin. — Przyjdę. Rozłączył się.

Po czym, ku mojemu zdziwieniu, Poirot zadzwonił do Jenny Driver i ją także poprosił o przybycie.

Był cichy i poważny. Nie zadawałem mu pytań.

Pierwszy zjawił się Bryan Martin. Wyglądał zdrowo, ale czuł się troszeczkę nieswojo, choć może była to tylko moja wyobraźnia. Niemal zaraz po nim nadeszła Jenny Driver. Zdziwił ją widok Bryana, podobnie zresztą jak jego zaskoczyła obecność dziewczyny.

Poirot wysunął dwa krzesła i poprosił ich, by usiedli. Spojrzał na zegarek.

— Spodziewam się, że inspektor Japp będzie tu lada chwila.

— Inspektor Japp? — Bryan wydawał się zaniepokojony.

— Tak. Poprosiłem, by przyszedł tu nieoficjalnie, jako przyjaciel.

— Rozumiem.

Pogrążył się w milczeniu. Jenny rzuciła mu krótkie spojrzenie i szybko odwróciła wzrok. Tego

ranka wyglądała na osobę pochłoniętą jakimiś sprawami.

Moment później do pokoju wkroczył Japp.

Musiała go zaskoczyć obecność Bryana Martina i Jenny Driver, ale nie okazał tego. Ze zwykłą sobie żartobliwością przywitał się z Poirotem.

— A więc, Poirot, o co chodzi? Pewnie ma pan jakąś kolejną cudowną teorię.

Poirot uśmiechnął się do niego.

— Nie, nie, nic cudownego. Tylko historyjkę tak prostą, że wstyd mi, iż nie zrozumiałem jej od razu. Jeśli pan pozwoli, chciałbym, by przeszedł pan wraz ze mną całą sprawę od samego początku.

Japp westchnął i spojrzął na zegarek.

— Jeśli nie zajmie to więcej jak godzinę...

— Może pan się nie martwić — odparł Poirot. — To nie potrwa nawet tyle. Chce pan przecież wiedzieć, kim był człowiek, który zabił lorda Edgware'a, pannę Adams, Donalda Rossa?

— Chciałbym wiedzieć, kto popełnił to ostatnie morderstwo — powiedział ostrożnie Japp.

— Proszę mnie wysłuchać, a dowie się pan wszystkiego. Zamierzam zachować się z pokorą.

Mało prawdopodobne, pomyślałem z niedowierzaniem.

— Chcę przedstawić panu każdy krok wiodący do rozwiązania — ciągnął Poirot — i pokazać, jak dałem się nabrać, jak dowiodłem własnej głupoty, a wreszcie jak rozmowa z moim przyjacielem Hastingsem i przypadkowa uwaga osoby zupełnie obcej naprowadziły mnie na właściwy trop. — Na chwilę umilkł, a potem odchrząknął i zaczął mówić, jak to nazywałem, tonem wykładowcy. — Zacznę od kolacji w Savoyu. Lady Edgware zagadnęła mnie i poprosiła o rozmowę na osobności. Chciała się pozbyć męża. W trakcie naszego spotkania powiedziała, co uznałem za niezbyt rozsądne, że być może będzie musiała wezwać taksówkę i zabić go osobiście. Słowa te usłyszał pan Bryan Martin, który właśnie w tamtej chwili nadszedł.

Odwrócił się.

— Zgadza się?

— Wszyscy to słyszeliśmy — powiedział aktor. — Widburnowie, Marsh, Carlotta... wszyscy.

— Och, nie przeczę. Zgadzam się całkowicie. *Eh bien*, nie miałem szansy zapomnieć tych słów. Zaraz następnego ranka pan Bryan Martin odwiedził mnie, aby uświadomić mi ich znaczenie.

— Wcale nie — zawołał ze złością Martin. — Przyszedłem, żeby...

Poirot wyciągnął rękę.

— Rzekomo przyszedł pan, żeby opowiedzieć mi zmyśloną historyjkę o tym, że ktoś pana śledził. Taką bajeczkę przejrzałoby dziecko. Pewnie zaczerpnął pan pomysł z jakiegoś starego filmu. Dziewczyna, której pozwolenie musiał pan otrzymać, mężczyzna, którego rozpoznał pan po złotym zębie... *Mon ami*, żaden młody człowiek nie ma złotego zęba. Dzisiaj już się ich nie wstawia, zwłaszcza w Ameryce. Złoty ząb to beznadziejnie anachroniczny przeżytek stomatologii. Cała historia była absurdalna. Opowiedziawszy swoją bajeczkę, przeszedł pan do właściwego celu wizyty: nastawienia mnie przeciwko lady Edgware. Mówiąc jasno, przygotowywał pan grunt na chwilę, gdy zamorduje swego męża.

— Nie wiem, o czym pan mówi — mruknął Bryan Martin. Jego twarz była śmiertelnie blada.

— Wyśmiał pan pomysł, że lord może zgodzić się na rozwód. Sądził pan, że zamierzam zobaczyć się z nim następnego dnia, jednak porę spotkania zmieniono. Wybrałem się do niego tego samego ranka i on się zgodził. Zniknął jakikolwiek motyw, dla którego lady Edgware miałyby popełnić zbrodnię. Co więcej, lord Edgware powiedział mi, że powiadomił już żonę listownie.

Jednak lady Edgware oświadcza, że nigdy nie otrzymała takiego listu. Albo kłamie ona, albo jej mąż, albo też ktoś trzeci przechwycił list. Lecz kto?

Pytam samego siebie: dlaczego pan Martin zadaje sobie tyle trudu, przychodzi do mnie i kłamie? Co nim kieruje? I dochodzę do wniosku, *monsieur*, że nadal jest pan szaleńczo zakochany w lady Edgware. Lord Edgware wspomniał mi, iż żona powiedziała mu, że chce wyjść za aktora. Załóżmy, że było tak rzeczywiście, lecz potem lady zmieniła zdanie. Kiedy dociera do niej list ze zgodą lorda Edgware'a na rozwód, ona chce już wyjść za kogoś innego, nie za pana! To byłby powód do przechwycenia listu.

— Nigdy nie...

— Za chwilę powie pan wszystko, na co ma pan ochotę. Teraz proszę mnie wysłuchać. Jaka więc będzie pańska reakcja? Pana: zepsutego gwiazdora, któremu nigdy niczego nie odmówiono? Według mnie wściekłość, pragnienie wyrządzenia lady Edgware jak największej krzywdy. A jak mógłby jej pan zaszkodzić bardziej, niż sprawiając, by oskarżono ją i powieszono... za morderstwo?

— Dobry Boże! — wykrzyknął Japp.

Poirot obrócił się ku niemu.

— Ależ tak, taki właśnie pomysł przyszedł mi do głowy. Przemawiało za nim kilka rzeczy. Carlotta Adams przyjaźniła się głównie z dwoma mężczyznami: kapitanem Marshem i Bryanem Martinem. Możliwe więc, że to bogaty Bryan Martin był osobą, która zaproponowała jej maskaradę i dziesięć tysięcy dolarów. Wydało mi się nieprawdopodobne, by panna Adams uwierzyła, że taką sumę może dać jej Ronald Marsh. Wiedziała, jak bardzo brakuje mu pieniędzy. Bryan Martin był rozwiązaniem po stokroć bardziej prawdopodobnym.

— Nie... mówię panu... — rozległ się ochryply głos aktora.

— Kiedy treść listu panny Adams do siostry przetelegrafowano z Waszyngtonu... *Oh, la, la!* Bardzo się zdenerwowałem. Wyglądało na to, że całe moje rozumowanie było błędne. Lecz później dokonałem pewnego odkrycia. Otrzymałem oryginalny list, w którym brakowało jednej kartki. Mężczyzną, którego opisano, nie musiał być kapitan Marsh.

Był jeszcze jeden dowód. Po aresztowaniu kapitan Marsh wyraźnie oświadczył, że wydawało mu się, iż widział, jak do domu wchodzi Bryan Martin. Ponieważ słowa te pochodziły od oskarżonego, nie miały żadnej wagi. Poza tym pan Martin miał alibi. Oczywiście! Tego należało oczekiwać. Jeśli to pan Martin popełnił morderstwo, alibi było niezbędne. A to alibi potwierdzała tylko jedna osoba: panna Driver.

— I co z tego? — rzuciła ostro dziewczyna.

— Nic, *mademoiselle* — odparł z uśmiechem Poirot. — Tyle że tego samego dnia widziałem, jak jadła pani lunch z panem Martinem, a także, że zadała sobie pani trud i przyszła, usiłując przekonać mnie, że pani przyjaciółka panna Adams bardzo interesowała się Ronaldem Marshem, a nie, jak byłem pewien, Bryanem Martinem.

— Na pewno nie — powiedział zdecydowanym tonem gwiazdor.

— Być może nie był pan tego świadom, *monsieur* — ciągnął cicho Poirot — lecz według mnie to prawda. To wyjaśnia jej niechęć do lady Edgware. Czują ją niejako w pańskim imieniu. Opowiedział jej pan o tym, że został odrzucony, prawda?

— Cóż... tak... czułem, że muszę komuś o tym powiedzieć, a ona...

— Okazała współczucie. Tak, sam zauważyłem, że panu współczuje. *Eh bien*, co się dzieje potem? Ronald Marsh zostaje aresztowany. Natychmiast poprawia się panu nastrój. Wszelki niepokój, jaki mógł pan odczuwać, minął. Choć pański plan się nie powiódł, ponieważ lady Edgware w ostatniej minucie zmieniła zdanie i wybrała się na przyjęcie, znaleziono kozła ofiarnego, co uwalniało pana od strapiień. Ale później, na lunchu, słyszy pan, jak Donald Ross, sympatyczny, lecz dość głupi młody człowiek, mówi coś Hastingsowi, co zdaje się wskazywać, że nie jest pan zupełnie bezpieczny.

— To nieprawda! — wrzasnął aktor. Po jego twarzy sływały krople potu. Oczy miał oszalałe z przerażenia. — Mówię panu, nic nie słyszałem... nic... i nic nie zrobiłem.

I wtedy przeżyliśmy największe zaskoczenie ze wszystkich, jakie było nam dane doświadczyć tego dnia.

— To prawda — powiedział spokojnie Poirot. — I myślę, że został pan już dostatecznie ukarany za to, że przyszedł pan do mnie... do mnie, Herkulesa Poirota, ze swoją bajeczką.

Wszyscy wstrzymaliśmy oddech. Poirot kontynuował w rozmarzeniu.

— Widzi pan, pokazuję wszystkie swoje błędy. Postawiłem sobie pięć pytań, Hastings je zna.

Odpowiedź na trzy świetnie pasowała do sytuacji. Kto przechwycił list? Odpowiedzią na to pytanie było: Bryan Martin. Kolejna zagadka: co skłoniło lorda Edgware'a do zmiany zdania i zgody na rozwód? Miałem pewną teorię. Albo sam chciał kogoś poślubić... choć na to nie mogłem znaleźć żadnych dowodów... albo w grę wchodził szantaż. Lord Edgware miał szczególne upodobania. Być może wyszły na jaw pewne sprawy, które, nawet jeśli nie upoważniały jego żony do otrzymania rozwodu w Anglii, mogłyby wykorzystać, grożąc ich opublikowaniem. To właśnie, jak sądzę, miało miejsce. Lord Edgware nie chciał, by z jego nazwiskiem łączył się publiczny skandal. Poddał się, choć odczuwana z tego powodu wściekłość znalazła wyraz w morderczym spojrzeniu, jakie rzucił za nami, sądząc, że nie jest obserwowany. To wyjaśnia także podejrzaną szybkość, z jaką powiedział: „Nie z powodu czegokolwiek, co było w jej liście” — zanim nawet zasugerowałem, że to mogło być przyczyną jego zgody.

Pozostały mi dwa pytania. Jedno dotyczące okularów w torebce panny Adams, które nie były jej własnością, i drugie: dlaczego ktoś zadzwonił do lady Edgware w czasie obiadu w Chiswick? Do żadnego nie potrafiłem dopasować pana Martina.

Zostałem więc zmuszony do wyciągnięcia wniosku, że albo myliłem się co do niego, albo co do pytań. W rozpaczy jeszcze raz uważnie przeczytałem list panny Adams. I znalazłem coś! Tak jest, coś znalazłem.

Zobaczcie sami, oto on. Widzicie oddartą stronę? Nierówno, jak często się zdarza. Założmy, że na górze strony widniało jeszcze zniszczone oddarciem „ona”...

Zrozumieliście! No właśnie: nie „on”, lecz „ona”! To kobieta zaproponowała wiadomy figiel Carlotcie.

Cóż, spisałem listę wszystkich kobiet choćby luźno powiązanych ze sprawą. Prócz Jane Wilkinson było ich cztery: Geraldine Marsh, panna Carroll, panna Driver i księżna Merton.

Z tej czwórki najbardziej interesowała mnie panna Carroll. Nosila okulary, była tamtej nocy w domu, już wcześniej złożyła nieprawdziwe zeznania, pragnąc obciążyć lady Edgware, była też osobą bardzo kompetentną i trzeźwą — mogła więc dokonać takiej zbrodni. Powód nie był zbyt wyraźny, lecz przecież pracowała dla lorda Edgware'a od kilku lat i mogła mieć motyw, o którego istnieniu nie mieliśmy najmniejszego pojęcia.

Czułem też, że nie mogę zupełnie wykluczyć Geraldine Marsh. Nienawidziła ojca, sama mi to powiedziała. Była neurotyczką, nerwy miała napięte do granic wytrzymałości. Przypuśćmy, że kiedy tamtej nocy wróciła do domu, z premedytacją zabiła ojca, a potem spokojnie weszła na górę po perły. Wyobraźmy sobie jej rozpacz, kiedy odkryła, że kuzyn, którego głęboko kochała, nie pozostał na zewnątrz w taksówce, lecz wszedł za nią do domu. To wyjaśniałoby jej poruszenie... choć równie dobrze wyjaśniała je jej niewinność i obawa, że to kuzyn popełnił zbrodnię. Była jeszcze jedna drobna rzecz: złote pudełko znalezione w torebce panny Adams, opatrzone inicjałem D. Słyszałem, jak kapitan Marsh zwraca się do Geraldine „Dina”. Poza tym w listopadzie przebywała na pensji w Paryżu i tam mogła spotkać się z Carlottą Adams.

Uznacie zapewne za przesadę dodanie do listy księżnej Merton. Lecz kiedy mnie odwiedziła,

rozpoznałem w niej fanatyczkę. Miłość całego jej życia koncentrowała się na synu, mogła więc uknuć spisek, by zniszczyć kobietę, która miała zrujnować mu życie.

Kolej na pannę Jenny Driver... — Umilkł i spojrzał na Jenny. Oddała mu spojrzenie, zuchwale przechylając na bok głowę.

— Co ma pan na mnie? — spytała.

— Nic, *mademoiselle*, poza faktem, że przyjaźni się pani z Bryanem Martinem i że pani nazwisko zaczyna się na literę D.

— To niewiele.

— Jeszcze jedno. Jest pani dość sprytna i odważna, by popełnić taką zbrodnię. Wątpię, by znalazł się ktoś pani równy.

Dziewczyna zapaliła papierosa.

— Proszę mówić dalej — rzuciła wesoło.

— Czy alibi pana Martina było prawdziwe? Musiałem to sprawdzić. Jeśli tak, kogo Ronald Marsh widział w drzwiach domu? I nagle coś sobie przypomniałem. Przystojny lokaj z Regent Gate odznaczał się wyjątkowym podobieństwem do pana Martina. To jego zobaczył kapitan Marsh. Na podstawie tego założenia sformułowałem pewną teorię. Uważam, że to on znalazł zwłoki swojego pana. Przy ciele leżała koperta z francuskimi banknotami w wysokości równej stu funtom. Wziął je, wymknął się z domu, powierzył je zaprzyjaźnionemu łajdakowi i wrócił, otwierając sobie drzwi kluczem lorda. Począł, aż następnego ranka zbrodnię odkryje pokojówka. Nie czuł się zagrożony, gdyż był przekonany, że morderstwo popełniła lady Edgware, a banknoty zniknęły z domu i zostały wymienione, zanim zauważono ich brak. Jednak gdy lady Edgware przedstawiła swoje alibi, a Scotland Yard zaczął badać jego przeszłość, zwierzył niebezpieczeństwo i zniknął.

Japp z aprobatą skinął głową.

— Wciąż jednak szukałem odpowiedzi na pytanie dotyczące okularów. Jeśli panna Carroll była ich właścicielką, odpowiedź była jasna. Mogła przechwycić list, a ustalając szczegóły maskarady z Carlottą Adams lub spotkawszy się z nią po morderstwie, mogła mimochodem wsunąć binokle do torebki Carlotty.

Lecz binokle najwyraźniej nie należały do panny Carroll. Wraciałem piechotą do domu wraz z Hastingsem, dość przygnębiony, usiłując uporządkować wszystko w myślach. I wtedy zdarzył się cud!

Najpierw Hastings zaczął mówić o związanych ze sprawą wydarzeniach. Napomknął, że Donald Ross był jednym z trzynastu gości sir Montagu Cornera i pierwszym, który wstał od stołu. Śledziłem własny tok myśli i nie zwracałem zbyt wiele uwagi na jego słowa. Przemknęło mi tylko przez głowę, że właściwie nie była to prawda. Mógł wstać pierwszy po zakończeniu obiadu, lecz przed nim wstawała lady Edgware, wezwana do telefonu. Kiedy myślałem o niej, przypominała mi się pewna

zagadka. Pasowała do dość dziecinnego usposobienia lady Edgware. Zadałem ją Hastingsowi, lecz nie rozbawiła go, podobnie jak królowej Wiktorii. Zacząłem się zastanawiać, kogo mógłbym spytać o to, co dokładnie czuł pan Martin do Jane Wilkinson. Wiedziałem, że sama nic mi nie powie. Przechodziliśmy właśnie przez jezdnię, gdy ktoś idący obok wypowiedział proste zdanie. Zwrócił się do swojej towarzyszki, mówiąc, że ktoś tam „powinien zapytać Ellis”. I nagle zrozumiałem wszystko!

Rozejrzał się wokół.

— Tak, tak: okulary, telefon, niska kobieta, która w Paryżu odebrała puzderko. Oczywiście Ellis, pokojówka Jane Wilkinson. Prześledziłem każdy krok... świece, półmrok, pani van Dusen... wszystko. I już wiedziałem!

Opowiadanie

Spojrzał po nas.

— Cóż, przyjaciele — powiedział łagodnie — pozwólcie, że opowiem wam prawdę o tym, co wydarzyło się tamtej nocy. Carlotta Adams wychodzi z mieszkania o siódmej. Bierze taksówkę i jedzie do Piccadilly Pałace.

— Co takiego? — wykrzyknąłem.

— Piccadilly Pałace. Wcześniej tego dnia zarezerwowała tam pokój jako pani van Dusen. Nosi parę bardzo silnych szkieł, które, jak wszyscy wiemy, zupełnie zmieniają wygląd. Jak mówiłem, rezerwuje pokój, zaznaczając, że wyjeżdża nocnym pociągiem do Liverpoolu, a jej bagaż jest już na dworcu. O wpół do dziewiątej zjawia się lady Edgware i pyta o panią van Dusen. Zostaje zaprowadzona do jej apartamentu. Tam zamieniają się ubraniami. W blond peruce, białej taftowej sukni i etoli Carlotta Adams — a nie Jane Wilkinson — opuszcza hotel i jedzie do Chiswick. Tak, tak, to jest możliwe. Byłem wieczorem u sir Montagu Cornera. Stół w jadalni oświetlają tylko świece, lampy nie rozpraszają półmroku, nikt nie zna dobrze Jane Wilkinson. Wszyscy widzą złote włosy, charakterystyczne zachowanie, słyszą słynny matowy głos. Och! To było całkiem proste. A gdyby się nie powiodło, gdyby ktoś rozpoznał oszustwo... cóż, i na to lady Edgware była przygotowana. Sama w ciemnej peruce, ubraniu Carlotty, w okularach, płaci rachunek, każe zanieść walizkę do taksówki i jedzie na dworzec Euston. W toalecie zdejmuje perukę i zostawia kuferek w przechowalni. Zanim wyruszy na Regent Gate, dzwoni do Chiswick i prosi do aparatu lady Edgware, jak między sobą ustaliły. Jeśli wszystko poszło dobrze i Carlotta nie została rozpoznana, ma odpowiedzieć tylko: „Zgadza się”. Nie muszę chyba nadmieniać, że panna Adams zupełnie nie zdawała sobie sprawy z rzeczywistego powodu tego telefonu. Usłyszawszy te słowa, lady Edgware idzie na całego. Jedzie na Regent Gate, pyta o lorda Edgware’a, podaje swoje nazwisko i wchodzi do biblioteki. Po czym popełnia pierwsze morderstwo. Nie wie oczywiście, że panna Carroll zauważyła ją z piętra. Sądzi, że będzie miała przeciw sobie tylko słowa lokaja (a pamiętajcie, że on jej nigdy nie widział; poza tym kapelusz osłania ją przed jego wzrokiem), przeciwstawione zeznaniom dwunastu znanych i szanowanych ludzi.

Wychodzi, wraca na Euston, z powrotem wkłada ciemną perukę i odbiera walizkę. Musi poczekać, aż Carlotta wyjdzie z przyjęcia. Umówiły się na konkretną godzinę. Udaje się do Corner House, od czasu do czasu zerka na zegarek, gdyż czas mija powoli. Potem przygotowuje się do drugiego morderstwa. Wkłada do torebki Carlotty — którą, oczywiście, ma przy sobie — zamówione w Paryżu złote pudierko. Być może wtedy właśnie znajduje list, a może znalazła go już wcześniej. W każdym razie, gdy tylko odczytuje adres, wyczuwa niebezpieczeństwo. Otwiera kopertę i jej podejrzenia okazują się w pełni uzasadnione.

Być może w pierwszej chwili chce zniszczyć cały list, lecz szybko znajduje lepszy sposób. Usuwając jedną stronę, zmienia jego treść w oskarżenie Ronalda Marsha, który ma bardzo silny motyw do popełnienia zbrodni. Nawet jeśli Ronald przedstawi alibi, tekst będzie przemawiał przeciwko jakiemuś mężczyźnie. Odrywa zatem jedną kartkę, wkłada list z powrotem do koperty, a kopertę do torebki.

Następnie, ponieważ nadszedł już czas, wyrusza w stronę Savoyu. Kiedy widzi mijający ją samochód z Jane Wilkinson (pozornie) w środku, przyśpiesza kroku, wchodzi równocześnie z Carlottą i idzie prosto na górę. Jej czarne ubranie nie rzuca się w oczy i jest mało prawdopodobne, by ktoś ją zapamiętał.

Na piętrze wchodzi do pokoju, do którego chwilę wcześniej dotarła Carlotta Adams. Jeszcze przed wyjściem powiedziała pokojówce, żeby na nią nie czekała, tylko udała się spać. Jane i Carlotta ponownie wymieniają ubrania, a potem, jak zgaduję, lady Edgware proponuje drinka, by uczcić sukces. W szklance jest weronal. Gratuluje swojej ofierze, obiecuje, że następnego dnia prześle czek. Panna Adams wraca do domu. Jest bardzo śpiąca, próbuje zadzwonić do przyjaciela, prawdopodobnie pana Martina lub kapitana Marsha, gdyż obaj mieszkają w okolicach Victorii, lecz rezygnuje. Idzie spać... i nigdy się już nie obudzi. Druga zbrodnia powiodła się. Teraz trzecia. Trwa przyjęcie. Sir Montagu Corner nawiązuje do rozmowy, jaką prowadził z lady Edgware w noc morderstwa. To proste. Jednak przeznaczenie dopada ją później. Ktoś wspomina o sędzi Parysa, a ona przyjmuje, że chodzi o Paryż — centrum mody i rozrywki.

Naprzeciwko siedzi młody człowiek, który uczestniczył w obiadowym przyjęciu — młody człowiek, który słyszał wtedy, jak lady Edgware rozprawia o Homerze i cywilizacji greckiej. Carlotta Adams była wykształconą i odczytaną kobietą. Nie potrafi zrozumieć nagłej ignorancji Jane Wilkinson. Wpatruje się w nią. I nagle dostrzega wyjaśnienie: to nie ta sama kobieta. Jest zupełnie wytracony z równowagi. Niepewny. Potrzebuje rady. Przychodzi mu do głowy, żeby przyjść do mnie, i zwraca się w tej sprawie do Hastingsa.

Lecz słyszy to lady Edgware. Jest dość szybka i przebiegła, by uświadomić sobie, że w jakiś sposób się zdradziła. Słyszy, jak Hastings mówi, że nie wrócę przed piątą. Za dwadzieścia piątą idzie do mieszkania Rossa. On otwiera drzwi, jest zaskoczony, ale nie przychodzi mu na myśl, by się bać. Silny, sprawny młodzieniec nie musi się bać kobiet. Idzie z nią do jadalni. Ona wymyśla jakąś bajeczkę. Może pada na kolana i obejmuje go za szyję, a potem, błyskawicznie i pewnie zadaje cios... jak poprzednio. Może wyrwał mu się zduszony okrzyk, lecz nic ponad to. On także zostaje uciszony.

Zapadło milczenie. Po chwili przerwał je Japp.

— To znaczy, że wszystko zrobiła... ona? — spytał ochryłym głosem.

Poirot skinął głową.

— Ale dlaczego? Przecież zgodził się na rozwód?

— Ponieważ książe Merton jest filarem kościoła katolickiego. Ponieważ nie odważyłby się

poślubić kobiety, której mąż żyje. To młody człowiek o fanatycznych przekonaniach. Jako wdowa może być pewna, że za niego wyjdzie. Niewątpliwie próbowała zasugerować rozwód, lecz on nie chwycił przynęty.

— Dlaczego więc posłała pana do lorda Edgware’a?

— *Ah, parbleu!* — Poirot, dotąd bardzo poprawny i angielski, powrócił raptem do swego prawdziwego „ja”. — By zamącić mi w głowie! By zmusić mnie do poświadczenia, iż nie miała żadnego motywu! Tak jest, ośmieliła się zrobić swojego totumfackiego ze mnie, Herkulesa Poirot! *Ma foi*, i udało się jej! Co za dziwny umysł, dziecinny i jednocześnie przebiegły. Ma talent aktorski! Jak świetnie odegrała zdziwienie, kiedy powiedziałem jej o liście od męża. Zaklinała się, że nigdy go nie otrzymała. Czy odczuła najmniejszy wyrzut sumienia z powodu którejś z trzech zbrodni? Mogę przysiąc, że nie.

— Mówiłem panu, co to za kobieta — odezwał się Bryan Martin. — Mówiłem. Wiedziałem, że zamierza go zabić, czułem to. I bałem się, że uda się jej uciec. Jest sprytna, diabelsko sprytna, jak trafia się czasem półdiotom. Chciałem, żeby cierpiała. Chciałem tego. Chciałem, by zawisła na szubienicy.

Jego twarz była purpurowa, a głos niski.

— Uspokój się, uspokój — powtarzała Jenny Driver.

Mówiła takim tonem, jakim nianie w parku zwracają się do małych dzieci, co często sam słyszałem.

— A złote puzderko z inicjałem D. i „Paryż, listopad” na wewnętrznej stronie wieczka? — spytał Japp.

— Zamówiła je listownie i po odbiór wysłała Ellis, swoją pokojówkę. Oczywiście Ellis tylko zgłosiła się po paczuszkę i zapłaciła za nią. Nie miała pojęcia, co jest w środku. Lady Edgware pożyczyła też okulary Ellis, by pomóc Carlocie odegrać panią van Dusen. Zapomniała i zostawiła je w torebce Carlotty. To jej jedyny błąd.

To wszystko uświadomiłem sobie, stojąc na środku drogi. To, co powiedział mi kierowca autobusu, nie było uprzejme, ale warto było się na to narazić. Ellis! Binokle Ellis. Ellis odbierająca pudełko w Paryżu. Ellis, a więc Jane Wilkinson. Bardzo możliwe, że pożyczyła od Ellis coś jeszcze prócz okularów...

— Co?

— Nóż...

Zadrzałem.

Przez chwilę panowała cisza.

Potem Japp powiedział z dziwnym spokojem:

— Panie Poirot, czy to prawda?

— Prawda, *mon ami*.

— Zaraz — rzucił z irytacją Bryan Martin — a co ze mną? Po co mnie pan tu sprowadził? Dlaczego przeraził mnie pan niemal na śmierć?

Poirot spojrział na niego chłodno.

— Żeby ukarać pana, *monsieur*, za impertynencję! Jak śmiał pan próbować stroić sobie żarty z Herkulesa Poirota?

Jenny Driver wybuchnęła śmiechem. Śmiała się i śmiała. Nie mogła przestać.

— Należało ci się, Bryan — wykrztusiła wreszcie. A do Poirota powiedziała:

— Cieszę się ogromnie, że to nie Ronnie Marsh. Zawsze go lubiłam. I cieszę się, i to bardzo, że śmierć Carlotty nie ujdzie mordercy bezkarnie! A jeśli chodzi o Bryana, coś panu powiem, panie Poirot. Zamierzam wyjść za niego za mąż. A jeśli myśli, że będzie mógł rozwodzić się i żenić co dwa lub trzy lata, jak to jest w modzie w Hollywood, cóż... nigdy nie popełnił większego błędu. Ożeni się ze mną i przy mnie zostanie.

Poirot popatrzył na nią, na jej stanowczy podbródek i płomienne włosy.

— Całkiem możliwe, *mademoiselle* — powiedział — że tak będzie. Mówiłem, że ma pani dość siły, by zrobić wszystko. Nawet wyjść za gwiazdora.

Dokument zbrodni

Parę dni później nagle wezwano mnie do Argentyny. Tak się więc złożyło, że nigdy już nie zobaczyłem Jane Wilkinson i jedynie czytałem w prasie o jej procesie i wyroku skazującym. Nieoczekiwanie — przynajmniej dla mnie — poddała się, kiedy stanęła w obliczu prawdy. Póki mogła być dumna ze swojego sprytu i grać swą rolę, nie popełniała błędów, lecz gdy raz opuściła ją pewność siebie, gdyż ktoś ją rozszyfrował, stała się jak dziecko, niezdolna do dalszego oszustwa. Zupełnie się załamała w krzyżowym ogniu pytań.

Jak mówiłem wcześniej, przyjęcie było ostatnią chwilą, kiedy widziałem Jane Wilkinson. Lecz kiedy myślę o niej, zawsze widzę tę samą scenę: pokój w Savoyu i Jane z wyrazem powagi na twarzy, zaabsorbowana przymierzaniem drogich czarnych sukien. Jestem przekonany, że nie była to gra. Zachowywała się naturalnie. Plan się powiódł i nie trapiły jej żadne wątpliwości czy niepokój. Nie sądzę również, by kiedykolwiek odczuła wyrzuty sumienia z powodu trzech zbrodni, jakie popełniła.

Przedstawiam poniżej dokument, który napisała do Poirota z zastrzeżeniem, by otrzymał go po jej śmierci. Według mnie jest bardzo typowy dla tej pięknej i zupełnie pozbawionej sumienia damy.

Drogi panie Poirot!

Przemyślałam wszystko i czuję, że chciałabym to panu opisać. Wiem, że niekiedy publikuje pan raporty swoich spraw. Nie sądzę jednak, by kiedykolwiek opublikował pan dokument napisany przez samego przestępcę. Czuję również, że chciałabym, aby wszyscy dokładnie wiedzieli, jak to zrobiłam. Nadal uważam, że zaplanowałam wszystko bardzo dobrze. Gdyby nie pan, udałoby mi się. Mam do pana żal, lecz przypuszczam, że nie mógł się pan wycofać. Jestem pewna, że kiedy wysłę ten list, nada pan sprawie rozgłos. Zrobi pan to, prawda? Chcę, żeby o mnie pamiętano. I naprawdę uważam siebie za osobę wyjątkową. Tutaj każdy tak sądzi.

Wszystko zaczęło się w Ameryce, gdzie poznałam Mertona. Natychmiast zrozumiałam, że poślubiłby mnie, gdybym była wdową. Na nieszczęście jest dziwacznie uprzedzony do rozwodów. Próbowалаm to przelamać, lecz na próżno, a musiałam być ostrożna, gdyż on ma bardzo trudny charakter.

Szybko uświadomiłam sobie, że mój mąż po prostu musi umrzeć, lecz nie wiedziałam, jak się do tego zabrać. Wyobraża pan sobie oczywiście, że takie rzeczy częściej zdarzają się w Stanach. Myślałam nad tym i myślałam, ale nic nie wymyśliłam. A potem, nagle, zobaczyłam Carlottę Adams parodiującą mnie na scenie i natychmiast dostrzegłam rozwiązanie. Z jej pomocą zapewniłam sobie alibi. Tego samego wieczoru spotkałam pana i pomyślałam, jakim dobrym pomysłem byłoby wysłać

pana do mojego męża z prośbą o rozwód. Jednocześnie zaczęłam mówić głośno o zabiciu go, ponieważ zauważyłam, że jeśli mówi się prawdę w dość głupi sposób, nikt w nią nie wierzy. Często robiłam to przy zawieraniu kontraktów. Dobrze też wyglądać na głupszą, niż jest się naprawdę. W czasie drugiego spotkania z Carlottą Adams poruszyłam ten temat. Powiedziałam, że chodzi o zakład, a ona natychmiast zapaliła się do pomysłu. Miała udawać mnie na jakimś przyjęciu, a gdyby się jej powiodło, otrzymałaby dziesięć tysięcy dolarów. Zareagowała bardzo entuzjastycznie i kilka elementów planu pochodziło od niej, na przykład zamiana ubrań. Nie mogłyśmy zrobić tego w moim mieszkaniu z uwagi na Ellis ani u Carlotty — z powodu jej pokojówki. Ona oczywiście tego nie rozumiała. Było to trochę niezręczne i powiedziałam po prostu „nie”. Uznała, że głupio się upieram, ale poddała się i zaplanowałyśmy spotkanie w hotelu. Wzięłam ze sobą binokle Ellis.

Oczywiście szybko uświadomiłam sobie, że Carlottę należy również usunąć, i to prędko. Szkoda, lecz w końcu jej parodie były naprawdę impertynenckie. Gdyby nie pasowało to do moich planów, byłabym naprawdę zła za sposób, w jaki mnie przedstawiła. Miałam weronał, choć rzadko go zażywam, więc ta część planu stała się zupełnie prosta. Rozumie pan: byłoby o wiele lepiej, gdyby wyglądało na to, że Carlotta jest od niego uzależniona. Zamówiłam puzderko, kopię tego, jakie sama dostałam, razem z jej inicjałami na wieczku i dedykacją w środku. Pomyślałam, że gdybym kazała wygrawerować nieznany nikomu inicjał, a do tego słowa „Paryż” i „listopad”, sprawa stałaby się o wiele trudniejsza do odszyfrowania. Złożyłam pisemne zamówienie w Ritzu, gdzie akurat jadłam lunch. Wysłałam Ellis, by odebrała pudełko. Oczywiście nie wiedziała, co jest w paczce.

Tamtej nocy wszystko poszło dobrze. Kiedy Ellis wyjechała do Paryża, zabrałam jeden z jej nożyków do wycinania odcisków, ponieważ 'był ładny i ostry. Nie zauważyła niczego, gdyż potem odłożyłam go na miejsce. Jeszcze w San Francisco pewien lekarz pokazał mi, gdzie należy wbić nóż, aby zabić. Opowiadał mi o robieniu punkcji lędźwiowej i podpotylicznej; zaznaczył, że trzeba bardzo uważać, gdyż inaczej można uszkodzić rdzeń kręgowy, gdzie znajdują się zwoje najważniejszych nerwów, co spowodowałoby natychmiastowy zgon. Poprosiłam go, by pokazał mi dokładnie to miejsce, i to kilkakrotnie. Uznałam, że pewnego dnia może mi się to przydać, a jemu wyjaśniłam, że chciałabym wykorzystać ten pomysł w filmie.

Napisanie listu do siostry było paskudnym posunięciem ze strony Carlotty. Obiecała mi, że nikomu nie powie. Naprawdę uważam, że bardzo sprytnie zrobiłam, odrywając jedną stronę i zmieniając „ją” w „niego”. Sama to wymyśliłam. Z tego jestem chyba najbardziej dumna. Wszyscy powtarzali mi zawsze, że brak mi inteligencji — a to przecież wymagało naprawdę mądrej głowy.

Przemyślałam wszystko dokładnie i kiedy zjawił się inspektor ze Scotland Yardu, zrobiłam to, co zaplanowałam. Ta cześć nawet mi się podobała. Obawiałam się trochę, że naprawdę mnie aresztuje, ale wiedziałam, że jestem zupełnie bezpieczna, gdyż policja musiała uwierzyć uczestnikom przyjęcia, nie mieli też szansy odkryć, że zamieniłyśmy się z Carlottą ubraniami.

Po wszystkim czułam się taka zadowolona. Dopisało mi szczęście i byłam przekonana, że wszystko pójdzie dobrze. Stara księżna traktowała mnie podle, ale Merton był słodki. Chciał poślubić mnie tak szybko, jak to możliwe, i nie miał najmniejszych podejrzeń.

Chyba nigdy nie byłam równie szczęśliwa, jak przez te parę tygodni. Aresztowanie kuzyna mojego męża sprawiło, że poczułam się zupełnie bezpieczna. Byłam też bardziej niż kiedykolwiek

przedtem dumna z siebie za pomysł z oderwaniem strony z listu Carlotty.

Sprawa z Donaldem Rossem to był zwyczajny pech. Nie jestem pewna, jak się domyślił. Chodziło o jakiegoś Parysa, nie Paryż, jak mi się zdaje. Nadal nie wiem, kim był ten Parys, zresztą to idiotyczne imię dla mężczyzny.

Dziwne, że gdy szczęście raz się odwróci, traci się je na zawsze. Musiałam szybko zrobić coś z Donaldem, i znów mi się powiodło. Mogło się nie udać, gdyż nie miałam czasu, by przemyśleć sprawę albo załatwić sobie alibi. Potem jednak uznałam, że jestem bezpieczna.

Oczywiście, Ellis powiedziała mi, że posłał pan po nią i wypytywał, lecz sądziłam, że ma to związek z Bryanem Martinem. Nie domyślałam się, do czego pan zmierza. Nie zapytał pan, czy sama zgłosiła się po paczkę w Paryżu. Pewnie uznał pan, że gdyby powtórzyła to mnie, wyczułabym pismo nosem. Dlatego też to, co stało się później, było dla mnie pełnym zaskoczeniem. Nie mogłam uwierzyć. Niesamowicie, w jaki sposób odkrył pan wszystko, co zrobiłam.

Czułam, że to nie ma już sensu. Nie można walczyć z losem, prawda? Ciekawe, czy jest panu przykro z powodu tego, co pan zrobił. Przecież w końcu chciałam jedynie być szczęśliwa. I gdyby nie ja, nigdy nie miałby pan nic wspólnego z całą sprawą. Nie sądziłam, że okaże się pan tak przerażająco sprytny.

Śmieszne, że ani trochę nie zbrzydłam — mimo okropnego procesu i potworności, jakie mówił mi prokurator, oraz pytań, którymi mnie zarzucał. Jestem chudsza i bledsza, ale dobrze z tym wyglądam. Wszyscy powtarzają, że jestem bardzo dzielna. Nie wieszają się już ludzie publicznie, prawda? Według mnie nawet szkoda.

Jestem pewna, że nie było równej mi morderczyni.

Teraz, zapewne, muszę się pożegnać. To dziwne, ale chyba nie zdaję sobie sprawy z tego, co mnie czeka. Jutro zobaczę się z kapelanem.

Przebaczam panu (ponieważ muszę przebaczyć swoim wrogom, czyż nie?).

Jane Wilkinson

PS Jak pan myśli: postawią moją podobiznę u Madame Tussaud?

* Aby mój pies myśliwski przyniósł mi zwierzyńkę.

* Tuzin